

## Zapolska Gabriela

### NOWELE

### TOM III

Twój list ostatni wprawił mnie w kłopot nie mały, Zanadtoś ciekawa, panienko moja. Zadajesz pytanie, za które, jak sama się przyznajesz, rumienisz się powyżej uszów. Ej! ej! dziewczynko, czy nie za wcześnie podobne zagadki rozwiązywać pragniesz? Zart na stronę, ależkad w siedemnastoletniej głowie roją się podobne myśli? Czy to pozostałości dortoir'ów klasztornych? marzeń za kotarami pensyonarskich łó żeczek podczas bezsennych nocy?

Czy wśród ciszy niemal religijnej przyszła do ciebie ta nierozwiązana dla nas kobiet zagadka, która się „on” nazywa?

Sfinks to dość milczący, mimo pozorów świegotliwej kumoszki, ale trafić do tego sfinksa łatwo, a gdy się po trąci o czułą strunę, sam resztę dośpiewa.

Dobrze zrobiłaś, zwracając się do mnie; nie jestem pesymistką, a różowe złudzenia nie istnieją dla mnie "Weźmiemy juste milieu i z tego punktu bez uprzedzeń, bezstronnie rozpatrzymy zapytanie twoje.

Pragniesz wiedzieć coś o „nim,” a pod to miano „on” podciągasz istoty znane ci przez kratę klasztoru

lub z ukradkowych spojrzeń wakacyjnych. Lachons le

mot... mężczyzn.

Mężczyzn jest na utrapienie nasze bardzo dużo i bardzo mało na kuli ziemskiej. Bardzo dużo dlatego, aby kobietom dokuczać, bardzo mało dla tej prostej przyczyny, że tyle starych panien chodzi po świecie!... Ten twój „on” ma tyle gatunków, odmian tyle. W kłopotcie jestem prawdziwym, jak ci go przedstawić.

Czy chcesz go we fraku, z szapoklakieni w rękę, pierś zdobna orderami kotylionowemi, wąsik mały, spojrzenie powłóczyście, pokryte pancerzem... czarnej kamizelki? Oto stoi i niagnetyzuje cię wzrokiem. Patrz!... idzie ku tobie, poprosi cię o taniec; spuszczaś główkę zarumieniona, już chcesz wstać, spoglądasz, Boże! on prosi twoje sąsiadkę! Tańczą razem i „on” się uśmiecha. To strategik nielada! pragnie się drożyć — o, patrz! znów stoi opodal; oparł się o konsolę i wachluje szapoklakiem. Zamglony wzrok utkwił w ciebie, biedna dziewczynko, ty się kręcisz jak na rozżarzonych węglach. Znam to! komedia to balowa bez skutku i głębszego znaczenia. Śmieję się z tej melancholii i mglistego spojrzenia. Pójdź lepiej do bufetu i zjedz lody, ochłodnie ci rozpalona buzia, a zresztą „on” chętniej tam podąży za tobą.

Melancholia nie wyklucza dobrego apetytu. A może ten obrazek sprawia ci niemiłe wrażenie? Pragniesz widzieć „go” inaczej. A więc dobrze.

Oto idzie ulicą, w króciuchnym paletocie z cylindrem na lewym uchu, tak zwany „epouseur.” Uśmiecha się do siebie i podnosi jedno ramię znacznie wyżej od drugiego, a to w chwalebny cel utrzymania w równowadze zielonkowatego palta. Jasne, rzadkie bokobro

dy rozweselają jego oblicze. Zadowolony z siebie nu ci walca z „Palestranta” lub piosnkę „Carmeny.” Ko biety przechodzą, „on” idzie dumny ze sprawionego wra żenia. Wyobraża sobie biedak, że każda o „nim” tyl ko myśli i cierpi przez niego.

Patrz! w łoży parterowej rozsiadła się ruina „jego.” Wyczerniony, wysnurowany, róż ma na policzkach!... Binokle podwójnie złożone ułatwiają mu przyglądanie się tobie, a róża w butonierce więdnie od samego sa siedztwa tej zniszczonej twarzy. Ale „on” zadowolony uśmiecha się jak stara kokietka, i rozpowiada znudzo nemu sąsiadowi o zaczepnej wojnie, jaką prowadzi z młodziuchną boną, mieszkającą w tym samym domu. Człowiek ten był lalką i zostanie nią do grobo wej deski.

Są jeszcze inni, ale tych ty, wybranka losu, spotykać nie możesz. Ci inni, to biedni ludzie pracy, talentu, nauki. Ja znam ich bliżej, wierz mi, pomiędzy nimi kryje się „on” prawdziwy.

A jednak źle mówię. Nawet ten bohater balowy, ten epouseur, ta zrujnowana lalka, są temi ideałami, co nam życie w raj lub piekło zmienić mogą.

Ja mam jedno słowo na określenie mężczyzn.

Są to „dorosłe dzieci.”

Tak, powtórzę to nie raz, ale tysiąc razy.

Śmieszne to, gdy drobna kobieta powie na wysokie go, siwiejącego mężczyznę „dziecko,” a przecież wtedy znalazła prawdziwe słowo dla swego ukochanego.

My kobiety pieścimy się, stwarzamy sobie same ten świat pieścizot i uśmiechów, w którym tak chętnie go spodarujemy, a przecież prawdziwym dzieckiem z po między nas dwojga jest „on” — tylko „on.

I każdy z nich, nawet nałogowy pijak, obszarpany wyrobnik, wykwintny szuler ach! złodziej nawet ma w głębi swej duszy czystą, poetyczną nutę, która raz tracona, może mu grać wśród wszystkich życia kolei. Ty, młode, niedoświadczone dziewczę, nawet me możesz wiedzieć, ile kobieta ma sposobów do wydostania jasnej chwili z najsmutniejszego dnia całego.

Trzeba umieć patrzeć w głąb, duszy, szukać, a raz poznawszy słabą stronę, położyć na niej swą dłoń, nie dla zabliznienia rany, ale dla przyniesienia ulgi chwilowej; nie dla powstrzymania nad przepaścią, bo na to dłoń nasza zasłaba, ale dla sprowadzenia na chwilę z bagniska w jaśniejsze, promienniejsze strony.

Widziałam mężczyznę, w którego duszy umarły na pozór wszelkie szlachetniejsze chęci, żył bez jutra, bez Boga, bez czci i honoru; był to istny cygan wśród ludzi, poniewierany i odtrącany przez wszystkich, a przecież cynizm jego milkł wobec prostej piosnki Schuberta, którą posłyszał graną o wieczornym zmroku. Płakał wtedy jak dziecko i słuchał rzewnej melodyi, powtarzając: „po co ja żyję? po co ja żyję?”

Znałam znów człowieka tak gwałtownego, że wszystkie huragany malały i nikły wobec jego gniewu. Szalał z wściekłości za lada drobnostką i rwał się do noża.

Czy wiesz, co go uspakajało?... Oto srebrny promień księżyca. Ten czysty blask robił go małym i powolnym jak jagnię. Patrzył w księżyc i uśmiechał się dobrym, dziecinnym uśmiechem. Zdawało się wtedy, że ten człowiek jest aniołem dobroci.

Studycowałam raz wykwintnego dandysa, który wśród rzeczywistych i olbrzymich trosk materyalnych rozrywał się rysując karykatury samego siebie. Było to

także dobre, miłe dziecko, dowcipne i smutnowesołe. Gdyby go kto zobaczył pochylonego nad ćwiartką papieru, kreślącego coś z zajęciem, sądziłby, że „on” rachunki robi.

Nie! — on rysował swoje karykaturę.

Znałam także człowieka olbrzymiej inteligencji i talentu. Było to coś nakształt Heinego. Pisał drobne, krótkie piosenki. Czytając je, otwierało się niebo — on sam życiem swoim grzązał w błocie. Gdy się go łąjało, uśmiechał się potulnie i patrzył z przymileniem w oczy. Było tyle dziecka w tym dorosłym mężczyźnie, że mu za ten uśmiech darowałyby się drugie tyle win... Usprawiedliwiał się wyrazem czerwonych od bezsenności oczów — oczy te prosiły o przebaczenie tak potulnie, tak miło, że srogie wyrazy milkły na ustach. Dziecko wypraszało od kary mężczyznę.

Patrz na doktora, na tego żelaznego męża o nerwach ze stali. Z jaką zimną krwią tnie świeżo przy niesionego trupa, lub robi niebezpieczną operację. Jeden rys tej twarzy nie drgnie, „on” stoi chłodny i nie wzruszony, brocząc ręką we krwi. Idź za nim do domu. Cóż on robi? Umył ręce w karbolowej wodzie i zasiadł na dywanie ze swym dwuletnim synkiem. Bawi się tekturowym niedźwiedziem i wycina lalki z papieru. Teraz zaprzął kota do wózka i usiłuje wytreścić go do zaprzęgu. Nagle dzwonek odzywa się w przedpokoju. To chory w przystępie gorączki przebrał bandaż. Budzi się mężczyzna w dziecku — lekarz śpieszy ratować konającego, kot tymczasem wraz z wózkiem ucieka.

O tak! są to stare dzieci, pełne fałszu i obłudy, pełne kłamliwych pieszczot i pocałunków, ale zarazem

chwilami tak dobre, tak pocziwe, że ból przez nich przebyty niknie w zapomnieniu, a same chwile szczęścia pozostają nam w pamięci.

Są mężczyźni egoiści, ale są pełni poświęcenia dla drugich. Przed ich wyższością umysłową my kobiety winneśmy ugiąć czoła. Najgłupszy mężczyzna jest mądrzejszy od najrozumnniejszej kobiety. To fakt — emancypacja nic tu nie pomoże...

Tak, dziecko moje, zechciej wreszcie zrozumieć, że „on” przewyższa ciebie. Czy w złem, czy w dobrem—on” wyżej od nas stoi; w przewrotności nikt mu nie dorówna, w zaparciu się siebie, w mrówczej pracy, w miłości podnioślejszej idei żadna z nas mierzyć się z „nim” nie może.

Nawet w kokietery i „on” może być twoim mi strzem.

Uważaj tylko dobrze, gdzie usiedzie mężczyzna wchodzący do salonu. Z pewnością przed lustrem. Rozmawiając, rzuca od czasu do czasu ukradkiem spojrzenie w zwierciadło i poprawia krawat. Znałam człowieka niezmiernie poważnego, piastującego znaczny urząd, szanowanego przez wszystkich, który podczas ważnej rozmowy przypatrywał się sobie w lustrze z niezmiernym zadowoleniem. O wojskowych już nawet nie wspominał, bo sądzę, że ci mogliby swój portret odrysować z zamkniętymi oczami, tak często przypatrują się swej twarzy.

Teraz przystąpmy do najważniejszej kwestyi. Chcesz widzieć jak wygląda „on” — zakochany? Jesteś dziewczyną obdarzoną nadzwyczajnym temperamentem i bujną wyobraźnią.

Naczytałaś się rozwodnionych romansów i marzysz o sztyletach, truciznach, zdradach, wiarołomstwach i t. d.

W rzeczywistości rzecz się nie tak tragicznie przedstawia.

„On” — zakochany!

Rzeczywiście, ciekawe to zjawisko, a naprawdę bardzo obecnie rzadkie, objawia się w tak różnorodny sposób, że w kłopotcie jestem, jakby ci tę rzecz jasno wytłumaczyć. Weź więc takie duże dziecko z wąsami, do daj mu trochę poezji, wyra chowania, słabą dozę melancholii, przyzwoitą porcyę kokieteryi, i oto „on” zakochany!

Zresztą oni pozwalają się kochać, ale rzadko bardzo kochają sami.

Przywiązują się tylko, czasem przywiązują się bardzo. Dowodem te niezliczone pamiątki, które się w ich biurkach znajdują. Porusz którą pamiątkę, zobaczysz jak się rozgniewa.

Wielką rolę gra także przyzwyczajeme. Mimo całej świadomości, z jaką my, ómy biedne, idziemy w płomień, uśmiechamy się na sam widok tego płomienia, choć często wydaje go prosta groszowa łożówka! Życie jest krótkie i smutne, bierzemy je na chwilę; kobieta, mając czulsze nerwy, cierpi więcej i dlatego chętnie wydziera temu życiu jasną chwilę. To tak miło zasnąć na minutę jedną i śnić, że to szczęście trwać będzie całe życie!

Następuje przebudzenie i czasem... łzy — łza osycha i znów zasypia się na nowo: „On” nuci tak piękną kołysankę, dlaczegóż nie zasnąć w takt tej piosenki? Gdy

„on" śpiewać przestanie, zostanie wspomnienie. I to

przecież coś znaczy. Nie bierz nigdy „jego" słów na seryo. Gdy „on" mówi, słuchaj; to bardzo przyjemne, a czasem zabawne. Dziwna rzecz, z kąd on tę elokwencyę bierze? W salonie trzech słów zliczyć nie umie, w zmroku wieczornym mówi bez końca. „On," rozgadany, jest bardzo zajmującym, a co dziwniejsze, że chwilami wierzy w to, co mówi. Patrzy ci w oczy, o! zamknij wtedy swoje; wymowa bawić cię może, wzrok obezwładni. Dziwna siła leży w takim wzroku, pociąga jak przepaść.

Jest jedna wszakże chwila, gdy „on" stanie przed tobą w innej, poważniejszej roli: zawiedzie cię przed ołtarz i przysięgnie miłość dozgonną. Jesteś piękną i młodą, ale masz na nieszczęście znaczny posąg. Stojąc u stopni ołtarza, pomyśl o tem, a gdy ksiądz zwiąże wam ręce stułą, oblicz cyfrę posagowej sumy.

„On" lubi pieniądze, tak jak my lubimy jedwabie i koronki. To cię, ochłodzi i nie pozwoli cgzaltacyi brać górę nad rozsądkiem.

Czasem „on" kocha naprawdę. Ale to nie dla ciebie ta miłość, dziecko moje. „On" wtedy jest biedny i kocha również ubogą dziewczynę. Idą do ołtarza, a w miesiąc później „on" bije ją zapamiętale. Miłość znika, troska o życie zostaje. "Widzisz więc, że lepszo twoje położenie.

Gdyby dziewczęta, idące za męż, zechciały raz zrozumieć, że małżeństwo nie jest romanssem, o, ileż lepiej byłoby na świecie? Ileż dzieci nie tułałoby się bez matek! ileż zniszczonych rodzin nie konałoby z hańby



i wstydu! ileż żon nie biegłoby na schadzki występne, aby w objęciach kochanka szukać dalszego ciągu w wyobraźni stworzonego romansu! Małżeństwo trzeba brać

jak jest, bez przesady w małżeństwie „on” może stanowić nawet pewną piękną stronę, ale .na Boga, nie idealizujmy i nie żądajmy nadzwyczajności.

Jeśli „on” jest rozsądnym, dozwól mu mieć przewagę nad sobą, jeśli brak mu taktu, postępuj według swej woli, lecz udawaj, że dzieje się tylko wola jego. „On” — to istota próżna i nadęta, jak bańka mydlana; udawaj przed nim trwogę — poprowadzisz go na pasku.

Nie wdzieraj się nigdy w tajemnice, czy to męża, czy kochanka. Każdy z nich ma jakiś ciemny kącik, który chroni troskliwie przed okiem obcego.

Uszanuj tę piękną stronę jego charakteru, milcz—gdy jest smutny, śmieję się—gdy wesoły. Jeśli chcesz mieć raj na ziemi, zaprzęj się swej łzy i uśmiechu, rób to, co „on” — będzie ci wdzięczny i odpłaci pieśczęcią lub dobrem słówkiem.

„On” jest egoistą, ale niewdzięczność mu obca — prędzej lub później delikatność twoję ocenić potrafi.

Mówiłam ci już, że „on” jest naturą wrażliwą na wpływy zewnętrzne: dekoracye, akcesorya znaczą u niego wiele. Kobieta, umiejąca używać efektów światła, może być nawet kochaną, naturalnie niedługo.

Wogóle nie potrzeba w żadnych związkach liczyć na ich trwałość. Mężczyźni imponują mi swoją pyszną niestałością. Gdy odchodzi od ciebie, „on” jest zupełnie spokojny, łzy nie robią na nim wrażenia. Denerwują go najwyżej.

Jeśli używam wyrazu „odchodzi,” używam go zupełnie nie stosownie. Nawet w małżeństwie, gdy przysięgą i konwenansem związany pozostaje przy tobie życie całe, „on” wszakże odchodzi.

Trup zimny, przykuty łańcuchem niewoli, wlecze się obok ciebie, a serce jego gdzie?... a uczucie serdeczne?... a przywiązanie istotne?... Masz jego — szacunek!

No tak! to bardzo ładne słowo. Gra ono rolę słoniny w łapce na myszy. Biedna myszka kręci się po klatce, ale słonina uśmiecha się do niej ponętnie. I to coś znaczy.

Mówiliśmy o mężach. Weźmy teraz idealniejszą stronę: mówmy o „nim,” wkradającym się wśród cieni nocnych do gniazd rodzinnych, aby tam kłamaną miłością siać smutek i żalobę, a często zbrodnię. Jesteś tak piękną, w oczach twych migoce tyle fosforycznych świateł, że nawet ołtarz nie uchroni cię od zakazanych pokuszeń... Wtedy „on” jest najniebezpieczniejszy.

Przyjdzie do ciebie z dźwiękiem muzyki balowej, lub uśmiechnie się w koncertowej sali. Jego błękitne lub czarne oczy palić cię będą jak rozpalone żelazo, a dotknięcie dłoni zbudzi płomień w twych żyłach.

„On” kusić cię będzie obietnicą nieznanymi rozkoszami. Szalona! nie wierz temu. Mąż twój da ci to samo bez trwogi i niebezpieczeństw, bez upadku, bez utraty godności twojej własnej. Gdy osuniesz się zwyciężona do stóp kochanka, uczujesz jakby pchnięcie sztyletu w serce. Ból ten straszny, przenikający do głębi, trwać będzie wiecznie, nawet po „jego” zniknięciu.

Wspomnienie o „nim” razić cię będzie do grobu.  
Ty zostaniesz z wieczną dla siebie pogardą, „on”  
z uśmiechem tryumfatora pójdzie dalej łowić w swe  
siatki niedoświadczone ptaszki.  
Oto los twych poszukiwań za nadzwyczajną mi

Czasem rzecz cała kończy się inaczej. Ale to nadto  
bolesne, abym ci o tern mówić miała. Wiedz w każdym  
razie, że „on” niebardzo cierpi; smutną stroną medalu  
będziesz zawsze... ty.

Od czasu do czasu słyszysz o nadzwyczajnych wy-  
padkach. Ach! ktoś się z miłości zastrzelił lub powie-  
sił. Czasem to bywa „on” właśnie. Nie wierz nigdy  
w podobne brednie. Powodem samobójstwa — rozstrój  
umysłowy. „On” z miłości nigdy nie umiera. Podo-  
bno Romeo umarł, ale to pewnie z innych powodów.  
Zresztą to było tak dawno, jeszcze w tych czasach, gdy  
kobiety nosiły bufiaste rękawy; dziś i rękawy są inne,  
i serca mężczyzn zmieniły się zupełnie.

Bądź więc spokojną; gdy „on” mówi „ja się zabi-  
ję!” — śmieję się serdecznie.

„On” żyć będzie i jeszcze nabierze tuszy. To zwy-  
kłe zjawisko u bardzo romansowych osób.

Wytwórz sobie odrębne o „nim” pojęcie. Bierz go  
z następującej strony:

„On” jestto istota złożona z krwi, kości i — tempe-  
ramentu. Jest egoistą w gruncie, a chwilami uniesiony  
ekstazą, zdolny do największych poświęceń. Ma rozum,  
a czasem bardzo ładne wąsy. Jest skończoną kokietką,  
nieznoszącą oporu i szalenie siebie pewną. Gdy mu się  
cokolwiek nie uda, przybiera pozór obojętności, choć

w duszy szaleje z gniewu. Jeśli jest dobrze wychowany, milczy; jeśli źle lub wcale nie jest wychowany, obmawia cię w sposób najfatalniejszy. Ma namiętność chwilową, straszną, podobną do pożaru lasu; gdy zobojętnieje, niczem w obec niego góra lodowa. Honoru swego strzeże jak oka w głowie, z twoim honorem

igra jak kot z myszą. Pieszczoty jego są podobne do łaszenia się pantery, która biorąc jadło z ręki dozorczy, patrzy, w który palec ukąsić swego chlebowodawcę.

Czasami czyni to bezwiednie, bo zdaje mu się chwilami, że cię kocha nad życie. Lubi papierosy i zapach heliotropu. Woli wszakże woń stajenną, a do konia przywiązuje się zapamiętale. Płacze chwilami, ale to więcej ze złości, niż z bólu.

Na wszelkie cierpienia fizyczne niewytrzymały, znosi wszakże rany, otrzymane na polu bitwy, z dziwną cierpliwością.

Idzie w ogień bojowy, a w czasie pokoju boi się psa i kota. Lubi pasyami plotki i ma zawsze spory ich zapasik.

Chętnie biegnie na rendezvous, a mimo to spóźnia się najczęściej. Lubi drzemać po obiedzie i długo czuwać w nocy.

Gra w karty namiętnie, pije czasem do upadłego. Nie mówię o ludziach nałogowych. Ci są choroby.

Jak ci wyżej wspomniałam, każdy ma swą poezję i ta sprowadza go chwilowo do wymiarów dziecka.

Trzeba umieć tę chwilę uchwycić i spożytkować. W tem.

cała sztuka.

A teraz, droga moja, daruj, że zdarłam tę tkanę iluzji, którą dokoła „niego” osnułaś. Życie jest nie ubłagane, rzeczywistość zarysowuje się coraz silniej, ideał lubi ostrygi i szampana. Nie rób z życia tragedie, nie dramatyzuj, a będziesz szczęśliwą. Słuchaj chętnie, co ci „on” mówi, notuj w pamięci i uśmiechaj się z tego. Zobaczysz, że ci niedługo drugi

„on,” jak echo, to samo powtórzy. Powiesz mu wtedy: 'das war schon alles da gewesen' a „on” śmiać się będzie wraz z tobą.

Poezyę możesz sobie wytworzyć, a „on” ci w tym dopomoże. Tylko uważaj te chwile jako antrakt teatralny i podnoś czempredzej kurtynę. Przeciagnię ty antrakt nuży, a strzeż się poziewania — to najzgubniejsze.

"Więcej nie mam ci nic do powiedzenia. Posyłam ci szkic szybko i pobieżnie skreślony — czy trafny? Życie ci odpowie.

sierpnia r., Lwów.

PIERWSZY POCALUNEK.  
OBRAZEK Z ŻYCIA.

Pracowali oboje na kawałek chleba.

On był murarzem, a ona wyrobnicą. Podczas gdy on na kilkupiętrowym rusztowaniu stał zawieszony między niebem a ziemią, ona nosiła na zgiętych plecach pełne deszczułki cegieł, zatrzymując się chwilami dla nabrania oddechu. Pokochali się przy pracy, wśród strasznych upałów lipcowych, gdy słońce zdawało się tchnąć żarem na spieczoną ziemię.

Pracowali przy budowie trzypiętrowej kamienicy.

Roje robotników zatrudniała ta fabryka.

Przechodniom zdawało się, że patrzą na olbrzymie mrowisko ruchliwe, skrzące, pełne życia i pracy.

Czerwony pył ceglany pokrywał deski i belki po rozrzućane dokoła. Przedostawał się przez oparkowanie i osiadał na odzieży przechodniów. Robotnicy byli cali tą ceglana barwa pokryci. Ich nędzne płócienne suknie zdawały się być zrobione z jednego materiału. Było to niby wojsko umundurowane, niby

pułk jakiś zebrany z siwych mężczyzn, starych kobiet, młodych dziewcząt i małych dzieci.

W południe zasiadali do posiłku i nabrania sił do dalszej pracy. Niektórzy spali, znalazłszy sobie trochę

cieniu pod parkanem. Głowy ich tonęły w piasku lub spoczywały na ostrym, wystającym bruku. Czasem zdejmowali ze siebie podarty kaftan i składali go za miast poduszki. Był to jednak zbytek i zamięłowanie w wygodkach niepotrzebne. To też wyśmiewano się z tych wpół nagich sybarytów i nazywano „anazadami" \*). Siadano zwykle rzędem nad wyschniętym rynsztokiem,! jedząc chleb lub strawę z potłuczonych garnków, rozmawiano dużo i głośno. Zdawało się, że to milczenie, które musieli zachować przy pracy ze względu na znużenie, nagromadza tak wielką ilość słów i myśli w ich umysłach, że przepelniona pierś masą zdań musi sobie ulżyć w jednogodzinnej przerwie. Ztąd chaotyczna i bezładna mowa brzmiała w powietrzu, jak dzwon rozbity bez dźwięku, harmonii i porządku. Poza rzędem robotników grupowały się ich żony, czekające na naczynia, w których przyniosły mężom strawę. Były to kobiety młode, najczęściej praczki lub posługaczki. Na suwały na głowy chusteczki, chroniąc się od słońca i pa trzyły ukosem na wyrobnice, rozmawiające poufale z mężami. Te kobiety o bezwstydnym wyrazie twarzy, z ceglastymi rękami i twarzami, przerażały biedne i ciche Fraczki, napełniając serca ich trwogą o wierność małżeńską. Gdy mężowie zjedli już obiad, żony odchodziły, zbierając wyszczerbione puste garnki. Wracały wązkami ulicami, smutne i zamyślane, potykając się \*) Ananasami. (Przyp. aut.)

o przechodniów. Niektórzy z robotników, zwłaszcza młodzi i nieżonaci, szli do poblizkiego szynku. Tam dla ochłodzenia pili wódkę. Niekiedy wśród gwaru

i krzyku wyprowadzano jednego lub dwóch podrapanych, pokrwawionych i odstawiano ich pod eskortą, po licyantów do gmachu policyjnego. Stanowiło to miłą dywersję—nad rynsztokiem rozprawiano wtedy szeroko i gorąco, rozbierając całą sprawę do najdrobniejszych szczegółów. Trwało to do chwili rozpoczęcia robót: później nikły rozmowy, spory odkładano na jutro, i znów chodziły zgarbione kobiety po ważkich deszczułkach, a obdarci mężczyźni kołysali się między niebem i ziemią. Ponad tym bosym i brudnym tłumem świeciło wspaniałe złote słońce, aż krwawe z gorąca, jakie wydzielało z siebie. Jaskrawe promienie czerwieniły się jak purpura kata ponad głowami nieszczęśliwych, przeznaczonych na długie konanie moralne i fizyczne. Słońce torturowało te biedne zniszczone ciała, zawiędłe wśród potu i pyłu. A przecież nie skarżyli się oni wcale—zdawało się, że nie czują nawet tej palącej powodzi, jaka ich wkoło oblewa; szli dalej, kując, lepiąc, wożąc taczki, wyciągając sznury lub mieszając wapno. Z okiem wlepionem bezmyślnie w stosy cegły lub białą powierzchnię wapna, stały tam dziewczyny pełne życia, młodości, a nawet urody. Kształtne usta rozchylały się po to tylko, ażeby wyzionąć jakieś potworne przekleństwo lub wysłać przyjaciółkę do stu dyabłów. Inne brały się pod boki i chichotały cichym, stłumionym śmiechem. Zatykały sobie kułakami usta; i zdawały się być ubawione miłością dwóch przyjaciółek. Zresztą istoty te zatraciły w sobie wszystko, cokolwiek mogły mieć kobiecego. Pod grubą warstwą

ceglanego pyłu znikła płeć i zacierał się wdzięk kobie



cy Wspólność pracy, to zrównanie sił fizycznych, grzebały cały urok, jaki obecność kobiet na robotnikach mogła wywierać. Dlatego zasmucone żony, odchodzące codziennie z troską w sercu, nie powinny były tak bardzo podejrzewać swoich mężów. Ta setka ludzi, żyjąca ze sobą od świtu aż do zmierzchu, nie myślała o miłościach lub nawet o trwalszej przyjaźni. Praca, zamiast uszlachetniać, czyniła z nich zwierzęta domowe, woły w jarzmie, konie w deptaku. Ta cegła przygniatała im serca, wapno zamurowywało umysły, kielnia wygładzała resztki szlachetniejszych popędów. Rozchodzono się bez żalu, bez tęsknoty, bez pragnienia jutra. Rano schodzono się obojętnie, bez uśmiechu i za dowolenia.

Nic ich nie wiązało, nic ich nie łączyło.

Ale i między tymi ludźmi zdarzył się wyjątek.

Wśród tych desek i cegieł, tego pyłu i wapna— pod tem pałacem purpurowem słońcem pokochało się dwoje ludzi.

Ona nie była ładna; można nawet powiedzieć, że była najbrzydszą pomiędzy wszystkimi, a mimo to ona jedna zachowała urok swój niewieści. Była średniego wzrostu i niezmiernie wątej budowy. W losy jasno, czerwone od cegły, przylegały do czoła i spadały w dwóch cieniuchnych warkoczach na ramiona. Z całej tej okrągłej twarzyczki wiała jakaś dobroć i wielka łagodność. Oczy jej szare, smutne, były zwykle spuszczone ku ziemi. Szła wolno, leniwie, ale z dziwnym, niezgrabnym wdziękiem. Uśmiechała się rzadko i nie mówiła prawie nigdy. Koleżanki nie słyszały jej głosu: nazywano ją dla powolnego usposobienia słodkim mia

nem „niedołęgi.” Nie broniła się nigdy, lecz brała ce-  
glę i szła na najwyższe piętro, chyląc się pod ciężarem,  
który dźwigała na sobie. W godzinach odpoczynku  
nie siadała nad rynsztokiem—stawała zwykle pod par-  
kanem, i zjadłszy chleb, patrzyła smutno przed siebie.  
Nikt nie wiedział, co była za jedna i z kąd pochodzi.  
Nazywała się Marysia. Gdy dzwoniło na AniołPań-  
ski, klękała w kąci i modliła się przez chwilę. Pię-  
kniała wtedy—taki wyraz nieprzebranej wiary oblewał  
jej wątłą postać. Inne dziewczyny wyśmiewały tę co-  
dzienną modlitwę. Nie odpowiadała im wcale; powoli  
znużyły się i zostawiły ją w spokoju.

Pomiędzy robotnikami jeden tylko zwrócił jej uwa-  
gę. Był to ładny i smukły chłopiec o ciemnych wło-  
sach i dużych czarnych oczach. Pracował chętnie,  
a praca nie męczyła go wcale. Nieraz z uwielbieniem  
stawała i patrzyła, jak chłopak ten nucąc piosenkę, sta-  
wał na trzypiętrowej wysokości i wygładzał kielnią  
wapno, nie trzymając się nawet ręką zawieszonych sznu-  
rów.

Stojącej na dole dziewczynie serce biło gwałtownie.  
Wszakże i ona sama wchodziła na najwyższe piętra,  
a nie dostawała, zawrotu głowy. Ale to było co innego.  
Ona nie bała się śmierci, nie myślała o niej wcale. Ale  
on!—ach! gdyby on spadł z tej wysokości! Coby wtedy  
się stało!... I cisnęła ręce do piersi, zamykała oczy,  
doznając dziwnego bólu w gardle i w głowie. Nie umia-  
ła sobie zdać sprawy z tego uczucia. Powoli widok  
młodego chłopca stał się jej koniecznie potrzebnym—  
nie pragnęła nic więcej, jak tylko go widzieć. Byłaby  
umarła ze wstydu, gdyby był dostrzegł jej oczy, które  
teraz coraz częściej podnosiła od ziemi. Gdy przecho

dził koło niej, przy ciskała się do desek parkanu, pragnąc się zrobić jaknajmniejszą... Ręce jej zaciskały na piersiach nerwowym ruchem brudny niebieski kaftanik. Ale gdy przeszedł, oddychała głębiej i wiodła za nim tęsknym wzrokiem tak długo, dopóki nie ujrzała go znów na szczycie murów. Wtedy brała cegłę lub szaflik z wapnem i szła po improwizowanych wschodach, śpiesząc się, o ile pozwalał jej powolny temperament, aby jaknajszybciej powrócić na ziemię. Stawała znów, podnosiła oczy, rzucając okiem na młodego murarza. Rzekłbyś, że w tym widoku czerpie siły do nowej pracy. Kochała go, nie zdając sobie sprawy z tej miłości, wyrosłej wśród nędzy i potu. Uczucie to rozwinęło się w jej sercu, jak kwiat na opuszczonej mogile. Życie zaczynało dla niej nabierać uroku — biedne stworzenie poczęło się uśmiechać do słońca i wyciągać ręce po zielone liście kasztanów rosnących w sąsiednim ogrodzie. Miewała teraz chwile zadumy, wśród której uśmiech zakwitał nagle na jej wybladłych wargach. W sercu tej opuszczonej, spracowanej dziewczyny nastąpiła nagle jakaś błogość nieokreślona, rzewność—coś, co jej kazało ocierać uśmiechem łzę, która jak gość nieproszony ci snęła się do jej oczów.

Kochała go.

Dawniej praca męczyła ją, godziny wlokły się z przerażającą powolnością; spoglądała co chwila na słońce, czekając niecierpliwie, kiedy jego wspaniała kula zapadnie w niezmierną głębię. Dziś z żalem spoglądała na gasnące promienie; radaby dzień przedłużyć do niekończoności. Odchodziła wolno, oglądając się czasami. Tam, na rogu, koło parkanu stał chłopak, zapalając papierosa, którego sobie naprędce z ordynarnego skręcał

tytuniu. Puszczając zwolna błękitny dymek, który zakreślając kółka, niknął w powietrzu. Marysię zachwyciły te kółka i stanowiły przedmiot jej rozmyślań niedzielnych. Gdy szła do kościoła wśród gwaru tłumów świątecznie przystrojonych, myślała ciągle o nim i o tym niebieskim obłoczku, który się nad nim unosił. Ludzie potrącali ją, a ona szła dalej zamyślona.

On nie zwracał na nią uwagi. Był to chłopiec młody, zdrowy, pełen życia i energii. Odważny nad podziw, szedł na najwyższe rusztowania z uśmiechem i piosenką. Zawieszony na sznurach, śmiał się do kolegów, przesyłając im żarty i wesołe słówka. Nie dbał o strój, nie bawił się w eleganta, a mimo to nie miał nigdy pieniędzy. Pożyczał na wieczne nieoddanie—a to jedno usprawiedliwiało pustkę w jego kieszeniach. Był sierotą po murarzu i już od dzieciństwa przyzwyczał się do cegły i wapna. Czuł się też wśród tych czerwonych murów jak u siebie; była to jego ojczyzna, religia—świat cały.

Wołano nań: Pawle!

Stojąca na dole dziewczyna w niebieskim kaftaniku drgała nerwowo ilekroć zawołano: „Pawle!” płonęła się i bladła naprzemian. Imię to miało dla niej dźwięk i harmonię nieporównaną. Gdy potem wśród ciszy nocnej budziła się ze snu, powtarzała, patrząc na gwiazdy iskrzące się na ciemnym tle nieba: „Pawle! Pawle!...”

Mówiła to cicho i z trwogą jakąś.

Mieszkała tak zwanym „kątem,” to jest zajmowała siódmą część maluchnej izdebki. Leżała tuż pod oknem i patrzyła na gwiazdy.

Dokoła niej spracowani współlokatorowie spali twardo, kamiennie. Mimo to dziewczyna lękała się,

aby ją nie podsłuchano, gdy szeptała ukochane imię; oglądała się dokoła, tak jak skąpiec, gdy liczy swe skarby.

Gdy była małą, słyszała, że koło każdego człowieka stoi biały anioł, dodany mu przez Boga za kierownika, doradcę, przyjaciela. Marysia miała szczególne nabożeństwo do swego anioła. W jej wyobraźni rysował się on jak wysoki i piękny młodzieniec, ubrany w długą szatę i szeleszczący u ramion wielkimi, białymi skrzydłami. Stał po jej prawej ręce i uśmiechał się do niej łagodnie. Od pewnego czasu anioł ten przybrał rysy Pawła, ten sam uśmiech, te same oczy... Tak, niezawodnie — był to Paweł, tylko stokroć piękniejszy w białej szacie i ze srebrnymi skrzydłami. Spływał ku niej na ciemnym płaszczu nocy i stał przy niej na straży aż do szarego ranka. Dlatego to dziewczyna w pół senna szeptała „Pawle!”—i wyciągała ręce do tego sennego widziadła.

I byłoby tych dwoje pracowało długo, długo obok siebie, nie zamieniwszy ze sobą słowa, gdyby nie jedno sierpniowe południe, które ich złączyło węzłem jasnej, czystej miłości. Strudzony Paweł usiadł koło parkanu i skłonił głowę na jedne z wystających belek. Słoneczne smugi światła oblewały złotą luną postać śpiącego murarza, a po tym złotym paśmie pląsały miryady muszek, zataczając taneczne brzegi. Gorąco było straszliwe. Żar oblewał ziemię. Siedzące nad rynsztokiem grono umilkło wbrew przyjętym zwyczajom. Wszyscy oddychali ciężko, ocierając pot z czoła.

Niedaleko śpiącego Pawła stanęła Marysia i patrzyła jak w obraz w twarz chłopca. Niektórzy robotnicy spali twardo, a garstka siedząca nad rynsztokiem, obrócona do dziewczyny plecami, widzieć jej nie mogła. W rękę trzymała Marysia gałązkę jaśminu, okrytą liśćmi. Zerwała ją przed chwilą w sąsiednim ogródku, a teraz obrywała bezmyślnie listki, rzucając je na ziemię.

Paweł przez sen poruszał się niespokojnie. Całe roje much brzęczały w powietrzu i siadały bezustannie na twarzy i ustach śpiącego. Przerywały mu spoczynek i budziły go co chwila. Marysia patrzyła długo na utarczki Pawła z muchami—nagle obejrzała się do koła i zaczęła się skradać ruchami kotki wzdłuż parkanu. Nie umiała sobie zdać sprawy, co ją naprzód ciągnie i do Pawła popycha, obracała w rękę gałąź! i wciąż szła naprzód, oglądając się trwożnie. Gdy była tuż przy nim, stanęła niepewna i drżąca. Paweł poruszył się, odpędzając ręką natrętną muchę — Marysia bezwiednie prawie wyciągnęła swoje ramię i gałązką zmusiła owady do ustąpienia z pola walki. Paweł spał teraz twardo, dziewczyna w niebieskim wytartym kaftaniku czuwała nad nim i delikatnie, cichutko, zieloną gałązką powiewała nad jego skronią. Zapomniała o całym świecie, o cegle, wapnie, taczkach, szaflikach, widziała tylko przed sobą ukochanego i pragnęła mu zapewnić sen spokojny.

Nagle Paweł otworzył oczy.

Zdziwił się bardzo, zobaczywszy nad sobą schyloną postać kobiecą i dwoje siwych oczów miłośniczo w niego wpatrzonych. W wyrazie tych oczu musiała być przecież taka tkliwość łagodna, że Paweł uśmiechnął się,

jak do sennego widziadła. Wtedy postać dziewczyny wyprostowała się, jak pod wpływem iskry elektrycznej, a rumieniec wstydu oblał okrągłą twarzyczkę;—ręka z gałązką opadła... Marysia stała zdrętwiała, przyku ta do miejsca, bez ruchu, bez oddechu niemal. Czerwone światełka migwały przed jej oczyma, krew zdawała się tryskać szkarłatną purpurą z całej jej twarzy. Paweł wstał wolno i chwilę jeszcze patrzył na zawstydzoną. Stała przed nim cała posypana czerwonym pyłem, z swym brudnym kaftanikiem i głową pokrytą podartą chusteczką. W jednej ręce cisnęła gałązkę, drugą zasłaniała sobie oczy—tym wdzięcznym charakterystycznym ruchem, jaki mają wiejskie zawstydzone dziewczęta. Była to przecież brzydka istota, mimo swej młodości, ale ten wstyd dziecinny miał tyle nowego uroku dla Pawła, obracającego się do tej chwili w kole najbrudniejszych i najbardziej moralnie upadłych istot, że wyciągnął ku niej spracowaną rękę, a odejmując dłoń jej od oczów zapytał:

— Jak ci na imię, dobra dziewczyno?

Marysia milczała długą chwilę. Nakoniec podniosła głowę, a ruchem tym mimowoli zrzuciła z włosów podartą chuścinę. Patrzyła na Pawła czas jakiś, a oczy tych dwojga ludzi zrozumiały się prędko. Powoli szare źrenice dziewczyny pokryła mgła wilgotna i dwoje łez, jak perły, stoczyły się po twarzy. Zbytek szczęścia tamował jej słowa, a oczy napełniał łzami.

— Odprowadzę cię dziś do domu — wyszeptał mu rarz—czując, że i jego ogarnęło jakieś dziwne, dziecinne rozrzewnienie. Odprowadzę cię... pozwolisz?

Pytał ją, czy pozwoli! On, który do tej chwili ści gał zuchwale dziewczęta i zaczął na ulicy pokojówki

idące z bielizną do magła. Ta biedna, brudna wyro bnicza, mimo swej trwogi i zalęknienia onieśmiała gó nawzajem. Z jasnego czoła Marysi biła nieskalana czystość, która go przygniatała ku ziemi.

Nie mógł jej wyzywać brutalnie i szeptać dwuzna cznie, czuł, że pomiędzy nim a nią otwiera się prze paść, którą tylko jednym sposobem przebyć będzie można...

Nad wieczorem dnia tego dwoje ludzi powracało wazką i ciasną uliczką, prowadzącą do mieszkania Ma rysy. Szli wolno i mówili mało. W spracowanej dłoni robotnika szeleściła zwiędnięta gałązka jaśminu, którą wyjął pod parkanem z dłoni dziewczyny. Mrok owijał ziemię, a miasto poczynało tonąć w sennem rozmarze niu. Na progu starej kamieniczki zatrzymali się oboje, ścisnęli sobie dłonie i powiedzieli: „do jutra!”

\* \*

I od tego sierpniowego wieczoru mówili sobie co dziennie „do jutra” — z uśmiechem szczęścia na twa rzach. Schodzili się rano stęsknieni i spragnieni swe go widoku. Czysta miłość młodej dziewczyny działała zbawiennie na duszę Pawła.

Do tej chwili kobieta była dlań istotą niższą; teraz serce jego drżało na każde spojrzenie siwych, łagodnych oczów Marysi. Nieraz wśród pracy spoglądał na dół i szukał wzrokiem błękitnego kaftanika. Nie kłął i nie chodził do narożnego szynku. W południowej przerwie siadali jedno przy drugim i rozmawiali półgłosem.



Mówili cicho, bojąc się, aby ich kto nie podsłuchał i nie

wyśmiał. Tworzyli plany na przyszłość. Niedługo mieli się pobrać, zostać żoną i mężem. Inaczej nie pojmowali swej miłości. On przestał pożyczać pieniądze kolegom i palić papierosy — składał zarobek, aby mieć czym opłacić księdza i dwie świece, któreby im za palono na ołtarzu. Dnia tego mówił—będzie ślicznie słońce świeciło, a organy w kościele będą grać jak na sumie! Na te słowa Marysia składała ręce i przymykała oczy. Zdawało się biednej dziewczynie, że już jest w kościele i słyszy głos księdza, który ją pyta: „Czy masz silną i nieprzymuszoną wolę?” I mimowoli wyrwał się jej głos „mam! ach, mam silną wolę zostać jego żoną...”

I ona ze swej strony składała każdy cent, każdą zapracowaną sumkę. Nie jadła nic oprócz chleba i za czeła chudnąć i mizernieć bardzo. Nie zważała wszakże na to — gorączkowo chwyciła się każdej pracy. Wieczorem, gdy powracała do domu, wstępowała do sąsiedniej praczki i tam prała lub prasowała do późnej nocy. Kano, skoro świt, była już na nogach i nosiła konewkami wodę, lub rozpaliała w piecu. Dawało jej to nędzne wynagrodzenie, ale Marysia potrzebowała gwałtem zebrać potrzebne pieniądze — nie mogła się więc wahać w wyborze pracy. Chcieli się pobrać jaknajprędzej. Byli oboje sami na świecie... Zdawało się tym biednym ludziom, że łatwiej im będzie iść przez życie we dwoje. Zaprzęgnięci do taczki życia, ładowanej troską i codziennym smutkiem, mniemali że łatwiej pociągną ten ciężar, złączony z ich istnieniem. Marzy

li o małej maluchnej izdebce z okienkiem, gdzieby mogli mieszkać sami, i zmęczeni po pracy codziennej, odpocząc wśród ciszy letniego wieczoru. W sercu tych dwoj

istot powstało teraz pragnienie własnego kącika, tych czterech ścian, gdzieby się mogli zamknąć ze swem szczęściem.

Mieli teraz dla siebie wieczny uśmiech na twarzy, dobre słówko, uściśnienie dłoni... Troszczyli się na wzajem o siebie, jeżeli pot gorącą strugą oblewał ich zmęczone twarze.

Jednego słonecznego poranku zeszli się wcześniej niż wszyscy robotnicy. Robili to bardzo często. Na trętne spojrzenia gniewały ich. Mieli sobie tyle do powiedzenia, a jedna godzina południowej przerwy nie wystarczała na te sieroce zwierzenia. Na widok idącego Pawła, Marysia przyśpieszała kroku, on wyciągał ku niej dłonie i ręce ich łączyły się w długim, gorącym uścisku.

Dnia tego jednak było inaczej. Paweł nie wyciągał ręki ku śpieszącej dziewczynie, ale przeciwnie ukrył ręce te za plecami; czynił to z niezgrabnym za kłopotaniem, a mimo to uśmiechał się i mrugał filu ternie oczami. Marysia zatrzymała się i patrzyła, ziwiona tem niezwykłym przyjęciem.

— Zgadnij Marysiu, co ci przynoszę — rzekł robotnik — przychylając głowę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Pomyśl.

Marysia starała się zamienić w czyn słowo narze

czonego, ale naprózno...

Poprawiła chuścine zsuwającą się z głowy i wy  
ciągnęła machinalnie rękę.

Daj—wyrzekła, a wyraz ciekawości zarysował  
się na jej krągłej twarzy.

Zwolna, z rodzajem tryumfu, wysunęła się dłoń  
Pawła. Cudna pąsowa róża uśmiechała się swym won  
nym kielichem i rumieniła się, jak te promienie wscho  
dzącego słońca, które czerwonym blaskiem oblewał;  
niebo." Biedna dziewczyna w łatanym niebieskim ka  
ftaniku złożyła ręce jak do modlitwy.

— Róża!... jaka cudna róża!...

I uśmiechała się do kwiatka, nie śmiejąc ująć go  
w swe grube i niekształtne palce. Paweł dumny z jej  
radości, sam poczuł dziecinną jakąś wesołość prze  
pełniającą mu duszę.

— Weź! to dla ciebie...

I podawał jej kwiat wonny, a usta rozchyłał mu  
serdeczny, poczciwy uśmiech.

Dziewczyna wzięła наконец różę i oglądała ją  
długo.

Biedna! Jakże mało podobieństwa było między tą  
kobietą a purpurową królową kwiatów. Mówią, że ko  
bieta jest żyjącym kwiatem. Marysia była rzeczywi  
ście kwiatem młodym, jasnym, czystym, ale mróz życia  
zważył przed czasem tę delikatną roślinę—pył ceglany  
osiadł na białej koronie i przygniótł ku ziemi tę gło  
wę dziewczęcą, nie dając jej stać prosto i patrzeć  
spokojnie w słońce. I teraz stoi to biedne dziewczę,  
ten kwiat żyjący, z purpurową różą w spracowanej

dłoni, nie śmiejąc przystroić swoich jasnych włosów w zwykłą młodym kobietom ozdobę.

Po raz pierwszy zawstydziła się Marysia swego zniszczonego niebieskiego kaftanika, bo aksamitna szata róży zanadto odbijała przy łątanej odzieży.

Dziewczyna ukryła więc kwiatek na piersiach, przy wiązawszy go do ważkiej tasiemeczki, na której wisiał

zczerniały medalik z Matką Boską. Później usiedli oboje pod parkanem i rozmawiali długo, półgłosem. Słońce tymczasem wstało zupełnie ze swego sennego rozmarzenia. Szło wspaniale po niebie, siejąc ciepło i promienie, jak dobroczynny monarcha, rozrzucający podczas koronacyi złoto tłoczącemu się pospólstwu. Zaglądało do mieszkań bogaczy i budziło pod strychem śpiących nędzarzy. Jednym niosło szczęście, no we dostatki i śmiech wesoły, drugim nową nędzę, nie dostatek i łzę gorzką, palącą, sierocą. Dla jednych promień słońca był dobroczyńcą, wołającym do nowych rozkoszy — dla innych katem złocistym, zwiastującym udręczenia bez końca!

Zbliżył się nakoniec dzień ślubu tych dwojga nędzarzy. Razem z opadającymi liśćmi drzew mieli sobie zaprzysięż wiarę i miłość do śmierci. Jesień szła szybkim krokiem, ścieląc sobie drogę żółtkła drzew ozdobą. Kamienica, przy której budowie pracowali Paweł i Marysia, stała już prawie ukończona, wznosząc swe równe, czerwone mury — i czekając tylko na pokrycie dachu.

To też roboty szły z podwójną szybkością. Trzeba było się spieszyć przed nastaniem pierwszych mrozów.

Było to wczesnym rankiem, chłodnym, szarym — bez najmniejszego promienia słońca, bez złotych, ciepłych blasków lata. Marysia uśmiechnięta i nad wyraz szczęśliwa chodziła tam i napowrót po tymczasowych wschodkach i kładkach, donosząc cegłę robotnikom, pracującym na samym szczycie rusztowania. Pośród nich znajdował się Paweł, równie wesoły, z piosenką na ustach i uprzejmym żarciem dla swych towarzyszy. Gdy

Marysia wchodziła na rusztowanie, odwracał głowę i przesyłał jej szczerzy, serdeczny uśmiech, obejmując jej postać miłosnym spojrzeniem. Wszak jutro dzień ich ślubu!... Zapowiedzi wyszły w parafialnych kościołach, a jutro po sumie ksiądz zwiąże haftowaną stułą recetym dwojgu towarzyszom niedoli. Zebrali potrzebną sumkę na ten akt uroczysty i nie dwie, ale cztery świece zapłoną na wielkim ołtarzu, przed którym ukłęką. Marysia będzie mieć nową perkalikową sukienkę w białe i niebieskie kratki, a Paweł—długi surdut, kupiony za pośrednictwem „handełesa.” Sukienka Marysi czysta i krochmalna wisi na oknie jej izdebki, dziewczynie bije serce na samą myśl przystrojenia się w taki sposób szykowny. Ona byłaby chętnie poszła do ołtarza w swoim łatanym kaftaniku, ale Paweł uparł się stanowczo. Pragnął, aby wybrana jego była piękną w tym dniu, od którego zaczynało się nowe życie. Ona nie miała tej wygórowanej próżności, nawet w tej uroczystej chwili nie pragnęła być inną, piękniejszą, strojnziej ubraną. Szczęście, które miało od jutra przypaść jej w udziale, przygniatało niemal tę wątłą istotę swoim ciężarem. Wczoraj spowiadała się i płakała rzewnie.

Dlaczego? Ksiądz, siwy staruszek, pytał ją o cierpienie, które do łez ją zmusza. Nie mogła mu odpowiedzieć— wstydziła się sama siebie. Płakała z nadmiaru szczęścia!... Ponad nią ciemne, ogromne sklepienie kościelne rysowało ostre linie i olbrzymie łuki monotony głos organów, odpowiadających księdzu, rozlegał się poważnie smutnie jakoś, a ona klęcząc na tej zimnej podłodze kamiennej, z rękami splecionymi na piersiach, strwożona, z oczyma łez pełnymi, uchylała głowę przed tą jasnością, jaka miała nagle przeciąć jednostajne dnie

jej życia. Od kolebki poniewierane, deptane serce, nie mogło naraz zrozumieć tej krainy miłości i szczęścia, w jaką miała ją powieść dłoń ukochanego! Przed oczyma biednej sieroty przesuwał się zwolna cały szereg dni głodu, nędzy, smutku i opuszczenia. Z za ciemnych filarów kościoła wypływały szare, niepochwytne cienie i znikwały pod zczerniałymi łukami sklepienia. Były to cienie strojne w łachmany, z ohydnyimi twarzami. Klęcząca dziewczyna potarła ręką czoło, jakby dla odpedzenia tych mar natrętnych. Wszakże to byli ludzie, wśród których wzrosła, z którymi spędzała swe lata dziecinne! Jeden cień wyróżniał się wśród tłumu: postać młodej jeszcze kobiety z koszykiem na plecach. Zatrzymała się dłużej przed Marysią i zdawała się patrzeć na nią z jakimś litośnym wyrazem twarzy. Szare, smutne oczy owego widziadła miały wyraz nieprzebranego smutku i znużenia; usta blade, bezkrwiste, zacisnięte, zdawały się tłumić jakiś jęk bolesny. Ta kobieta za życia musiała walczyć z głodem, smutkiem i biedą... dziś, w przeddzień ślubu swej córki, zjawia się

nagle na chwilę, aby spojrzeć, jak szczęście wśród nędy wygląda.

Marysia przymknęła oczy.

Ta matka gałganiarka, którą ona jak przez sen pamięta, schodzi nagle ku niej w przeddzień ślubu i stoi tuż przed nią, patrząc z jakąś litością i smutkiem. Czy ma ją ostrzedz przed zbliżającym się nieszczęściem, czy pragnie tylko wspomnieniem swoim dodać jej sił do zniesienia tej wielkiej radości? Może pragnie z za grobu pobłogosławić swojemu biednemu dziecięciu i dlatego to przychodzi z dalekiej, nieznannej krainy, niosąc ze sobą wspomnienie nędzy i wspólnie przebytych dni gło

du. Ta biedna matka, śpiąca pod zimną, opuszczoną mogiłą — gdzieś w kącie cmentarza, miała nieraz dla swej córki pieśczość i serdeczniejsze uczucie. Było to przecież bardzo, bardzo dawno, a jednak Marysia zaczyna przypominać sobie, jak powróciwszy z całodziennego zarobku, matka brała ją na kolana i tuliła do swej wyschłej, zapadniętej piersi. Nazywała ją „Maryś” — i dawała jej szczątki zabawek dzieciennych, podartych ilustracyj lub kawałków srebrnego papieru, znalezionych na śmietniku. Razem z wspomnieniem matki w umyśle dziewczyny zrodziła się myśl o ojcu. Nie znała go, nie widziała nigdy. Matka nie wspominała nim nawet przy śmierci. I w przeddzień ślubu się rota uczyła nagle to opuszczenie swoje... zapragnęła dłoni matki, która by ją do ołtarza poprowadziła, i po całunku ojca na tę nową drogę życia...

Długo w nocy płakała; współmieszkańcy, wtajemniczeni w miarę jej losu, dziwili się mocno tym łzom i gło

pocie dziewczyny. Nie odpowiadała im wcale, przecież oni zrozumiećby nie mogli, co ją do łez pobudza. Ludzie ci, żyjący jak zwierzęta, bez miłości, bez poezji, wyśmieliby ją za tę dziwną tęsknotę do matki, która zmarła przed dwunastu laty, i do ojca, którego wcale nie znała. Marysia czuła się bardzo nieszczęśliwą, a jednak zbudziwszy się nazajutrz, poszła na robotę i uśmiechała się do Pawła, a nawet do samej siebie. "Widok ukochanego odpędził od niej daleko smutek i tęsknotę. Idzie więc ku niemu z rozjaśnioną twarzą, stąpając bosą nogą po rusztowaniu. Niesie cegłę i pochyla się naprzód pod tym ciężarem. "W tej chwili uderza dwunasta na pobliskim zegarze.

Robotnicy jak na komendę porzucają roboty, cegły, kielnie, sznury i zaczynają schodzić na dół, popychając się wzajemnie. Na rusztowaniu zostaje tylko Paweł wciągający na siebie wolno wierzchnią odzież. Na niższym piętrze stoi Marysia, i złożony cegłę, przychyła głowę, pragnąc lepiej zobaczyć narzeczonego. Paweł widzi ją i uśmiecha się do tej małej, zabrudzonej dziewczynki, którą jutro już żoną swą nazywać będzie miał prawo. "Widzi ją przez źle spojone deski rusztowania . i posyła jej od ust gorące pocałowanie, Marysi serce zabiło gwałtownie. Nie pocałowali się jeszcze\*ani razu!... A gdyby!... I w sercu Pawła powstaje ta sama chętka. Są sami — na dole kręci się tłum robotników gwarliwy, hałaśliwy — a oni ponad tym całym światem tylko we dwoje!... Szybko jak błyskawica chwytają młody robotnik gruby sznur zawieszony na wystającej



belce i spadający aż do ziemi. Sznur ten służy do wciągania belek i nieraz już zręczny chłopiec, chcąc poszczy cić się swą odwagą, spuszczał się po nim jak błyskawica i w sekundę stawał na dole. Dziś chce zrobić to samu— ale wpierw zatrzyma się na niższym piętrze rusztowania i skradnie z ust narzeczonej pierwszy pocałunek. Trzy mając się rękami sznurów, wola ją ku sobie; dziewczyna przybiega i zaczyna go łagodnie łajać za te niepotrzebne dowody zręczności.

— Możesz spaść, Pawle! —'upomina go, uśmiechając się na widok tego silnego chłopaka, zawieszzonego na sznurze między niebem a ziemią.—Wejdź na deski... Paweł jednak stawia warunek: Wejdzie na rusztowanie i zejdzie z nią po wschodach, jeżeli ona pocałuje go natychmiast. Marysia płoni się na samą myśl. Wzbrania się. Paweł przecież ucieka się do sztuczek:

mówi, że siły go opuszczają, puści sznur i spadnie... Zresztą jutro ich ślub, do tej chwili nie żądał nic, prócz uścisku dłoni, dlaczego więc odmawia mu ust swoich. Dziewczyna zbliża się nakoniec, pokonana siłą tych argumentów... nie opiera się, stoi tuż przed nim i po daje mu do pocałunku swą zapłonioną twarzyczkę. Usta ich spotykają sięsą sami— szczęśliwi, młodzi... Nad nimi tylko niebo szare, jesienne, jednostajne. U ich stóp tysiące ludzi krząta się po ulicach miasta i dąży w tę lub ową stronę, śpiesząc za szczęściem, lub walcząc z niedolą. Tych dwoje dzieci złączonych w pierwszym, czystym pocałunku, nie dbało w tej chwili o to złoto, za którym uganiały się setki istot zagrzęzłych w prozie ży

ciowej. Oni widzieli tylko siebie, pragnęli wzajemności swych serc biednych, bijących tak mocno pod wytartą odzieżą.

Paweł całował w swym życiu wiele, wiele kobiet. Kradł całusy mimochodem z postawą i bezczelnością pogromcy serc niewieścich. Czemże były jednak usta tych dziewczyn, które uśmiechały się doń z zaczepką, w porównaniu z tym pocałunkiem lęklwym, nieśmiałym, a tak wymownym jego przyszłej żony. Uczuł dopiero w tej chwili cały ogrom szczęścia, jakie mu da to biedne dziewczę, które mimo pokus i nędzy, przeszło przez życie bez skazy, z jasnością u czoła. Jakieś rozrzewnienie ogarnęło go nagle i pragnął przycisnąć do siebie schyloną ku niemu dziewczynę. W tej chwili zapomniał jednak, że jest nad przepaścią... puścił sznur... i z wyciągniętymi ku ukochanej rękami runął na dół. Na krzyk Marysi rzucili się

robotnicy ku nieszczęśliwemu. Niestety! Wszelka pomoc okazała się zbyteczną.

Spadając z dwupiętrowej wysokości, młody murarz roztrzaskał sobie czaszkę i nie spojrzał więcej na swą narzeczoną. Dusza jego uleciała razem z tym pierwszym pocałunkiem, który był zarazem ostatnim. Trupa odwieziono do kostnicy, a po zmarłym została tylko kałuża krwi i rozpaczająca dziewczyna. Gdy ciało narzeczonego zabierano z bruku, stała cicho, bez łez, bez słowa skargi na ustach. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co ją spotkało. Wśród nieznaonej dla niej dotąd rozkoszy pocałunku, usta Pawła oderwały się nagle od tej twarzy i postać ukochanego

znikła w przestrzeni. Krzyknęła wtedy boleśnie, bo zdawało się biednej dziewczynie, że ktoś w jej serce wepchnął nóż ostry i zadał jej ranę głęboką.

Gdy zbiegła ze wschodów i ujrzała trupa Pawła, krwią oblanego, zdruzgotanego do niepoznania, stanęła jak wryta i stała tak długo, długo bardzo.

Gdy ocknęła się z tego odrętwienia i spojrzała do koła siebie, robotnicy pracowali znowu, a inny murarz zajął na rusztowaniu miejsce Pawła. Wszyscy byli smutni i przygnębieni tym wypadkiem.

Dziwiono się ogólnie, że tak zręczny chłopiec spadł z góry i komentowano wypadek ten w rozmaity sposób.

Marysia odeszła parę kroków i usiadła pod parkanem, tam, gdzie zwykle siadała z Pawłem w godzinach odpoczynku. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Mało kto wiedział o stosunku, jaki łączył wyrobnicę z zabitym robotnikiem. Pozostawiono ją więc w spo

koju. Bładość twarzy przypisano osłabieniu i nie zajmowano się nią wcale.

Niedługo ściemniło się zupełnie. Robotnicy odeszli do domów rozmawiając głośno i żałując jeszcze towarzysza. Pod parkanem pozostała tylko siedząca dziewczyna w niebieskim zniszczonym kaftaniku. Przed nią wznosiły się słupy rusztowania. Dokoła cisza, przerywana tylko turkotem dorożki, przejeżdżającej przez sąsiednią ulicę.

Niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz zimny, lodowy.

Siedząca pod parkanem kobieta nie czuła wilgoci

i zimna, które ogarniało ją dokoła. Krople deszczu smagały jej schyloną głowę, mocząc twarz i włosy, wstrząsając wychudłym ciałem, które zniszczona odzież od zimna ochronić nie mogła.

Biedna dziewczyna!...

Godziny upływały powoli, wydzwaniane przez miejskie zegary z przerażającą jednostajnością. Ona siedziała wciąż sama, z przymkniętymi oczami. Po co miała wracać do domu? "Wczoraj jeszcze mówiła na progu: „do jutra!”

I przyszło jej na pamięć to „jutro” spodziewane, pełne radości, wesela — „jutro” niosące jej tyle szczęścia, tyle rozkoszy! Wszystko się skończyło; ten jej wybrany nie stanie już z nią przed ołtarzem, aby odebrać z jej ust przysięgę wierności. On poszedł gdzieś w odległą, ciemną krainę — zabrano go z roztrzaskaną głową z bruku... zabrano go! zabrano!...

Jęk rozpaczony wydobył się na koniec ze zbolącej piersi. Struga łez zmieszała się z zimnymi kroplami deszczu, płynącymi po twarzy dziewczyny. Wśród tej

ciemnej, dżdżystej, jesiennej nocy pozostała sama, bez opieki, bez pociechy, z tą swoją bezbrzeżną rozpaczą.

Nerwowym ruchem zacisnęła swój kaftanik na piersi. Ręka jej dotknęła się jakiegoś przedmiotu uwiązane go tasiemeczką przy szyi. Była to zeschnięta łodyżka owej pięknej, purpurowej róży, którą dostała od Pawła! Oto wszystko, co jej zostało!...

Deszcz padał ciągle. Nie wiedziała, która godzina; nie troszczyła się wcale o to. Dla niej nie było teraz ani dnia, ani nocy — ani tygodni, ani roku.

"Wiedziała, że żyć musi, i to żyć... bez niego. Nakoniec podniosła się z wolna i stanęła, opierając głowę o deski parkanu. Stała długą chwilę bezsilna, znękana, zboląła. Potem powolnym krokiem poszła ku domowi. Poszła sama i odtąd będzie zawsze iść tą drogą sama jedna. Złota nitka szczęścia, która przecięła na chwilę czarną przedzę jej życia, znikła bezpowrotnie, zostawiając w ręku tej biednej dziewczyny zeschniętą łądygę purpurowej róży, a na jej wybladłych wargach ślad pierwszego pocałunku zmarłego mu rarza.

**NAKONIEC SAMI!**  
(PENDANT DO OBRAZU TOFANY).

Towarzyszył nam mój dobry ojciec. Kochałam go bardzo, ale w tej chwili — wyznaję to ze wstydem — pragnęłam go jaknaj pręcej pożegnać i oddalić się od niego. Chwila, o której przez pół roku marzyłam, zbliżała się nakoniec. Ukochany mój narzeczony stał się mężem moim, za chwilę mieliśmy pozostać sami! Ileż uroku w tem jednym drobnem słówku! Sami! To znaczy: we dwoje wobec Boga, we dwoje wśród wieczornej ciszy, dłoń w dłoni, czytając w swych sercach jak

w otwartej księdze.

Dotąd pilnowała nas starsza siostra i śledziła swym zimnym, obojętnym wzrokiem. Musiałam siedzieć wyprostowana na wązkim krześle i rozmawiać rozsądnie i spokojnie wtedy, gdy cała lawa gorących myśli rwała mi się na usta. Nigdy nie pozostawiano nas samych. Nie mogłam zamienić z nim serdeczniejszego słówka. Kiedy prosiłam o więcej swobody, matka gniewała się na mnie i odpowiadała: „Nie wypada!” Przyśpieszałam chwilę ślubu, gdyż byłam pewną, że po całej cere

monii zostanę wreszcie sama sama z nim, moim ukończonym, mężem moim!

Pragnęłam go poznać, miałam tyle do powiedzenia i pytania. Byłam pewną zgodności naszych usposobień. Inaczej nie byłabym się do niego tak przywiązała... Jakiś głos wewnętrzny byłby mnie ostrzegł z pewnością.

Weszliśmy na koniec pod dach naszego przyszłego mieszkania. Jakże pięknie było w tym małym, ciepłym kąciku! Kochająca dłoń mogła tylko złożyć tak piękne kolory kwiatów, rozesać miękkie kobierce. Lampy paliły się, rozlewając mdłe światło. W saloniku egzotyczne rośliny rozpościerały swe liście, jak olbrzymie wachlarze. Na kominku śmiały się róże, otwierając swe wonne kielichy. Dokoła cisza, spokój wielki.

Ojciec wraz z mężem przeszli do przybocznego gabinetu, pragnąc załatwić jakąś ważną sprawę. Ojciec uśmiechał się przytem i figlarnie pocałował mnie w czoło, mąż zaś usiłował być równie wesołym, lecz jakiś dziwny niepokój przebijał się w wyrazie jego pięknej

twarzy.

Gdy zapadła portyera, dzieląca gabinet od salonu, zostałam sama z różami i ciszą, pokrywającą cały pokój jakby gazową zasłoną.

Oparłam się o ścianę i przymknęłam oczy.

Woń róż upajała mnie — wszystkie wspomnienia eisnęły się ku mnie, tłocząc piersi i sprawiając mi za wrót głowy.

Widziałam się dzieckiem, drobnem, małym dzieckiem w różowej sukience, z krótko przystrzyżonymi włoskami, siedzącą wśród mnóstwa zabawek porozkładanych na dywanie. Przede mną stała moja ciotka, biedna sta

ra panna, która mnie wychowywała. Jej niebieskie oczy, czerwone od płaczu i bezsennych nocy, patrzyły na mnie z taką łagodną miłością! Kochałyśmy się bardzo. Dziś biedna ciotka moja śpi pod zimną mogiłą. Nie wiem dlaczego wspomnienie jej obudziło się we mnie tego wieczoru i razem z wonią róż upajało i męczyło mój umysł. To pewna, że widziałam ją przed sobą, w ciemnej wąskiej sukience, podającą mi wielką woskową lalkę. Lalka ta upadła i stłukła się na drobne kawałki. Nie płakałam wszakże, chociaż była to moja ulubienica. Siedziałam na ziemi, patrząc na leżące kawałki, na korpus bez głowy, a uczucie niewypowiedzianej boleści ścisnęło mi serce. Nie doznawałam nigdy podobnego uczucia przedtem, ani potem. Kiedy spotykały mnie w życiu przykrości, płakałam i łzy sprawiały mi ulgę. "Wtedy jednak oczy moje były suche, tylko wewnątrz doświadczyłam dziwnej boleści i nieokreślonego smutku.

Pocóż jednak to całe dziecinne zdarzenie zasmuca mnie w tej chwili? Dlaczego ta zepsuta lalka staje przed memi oczyma i uparcie narzuca się ze swem wspomnieniem? Wszakże to tak dawno, tyle lat, tyle wiosen minęło!...

Otwieram oczy i uspakajam się zupełnie. Eóże śmieją się do mnie, kryjąc swe różowe i białe korony w półcieniu, ściany wybite ponsową materią połyskują złotymi nitkami, a niskie wygodne fotele wyciągają ku mnie swe gościnne ramiona.

Ja wszakże stoję i nie śmiem usiąść, nie chcę obej mować rządów w mem państwie. Za chwilę zostaniemy sami i on wskaże miejsce, które mam odtąd zajmować u kominka. Na samą myśl, że tu, pod tym dachem

spędzić mam życie całe, uśmiecham się mimowoli.

W tym ciepłym kąciuku, pełnym woni i kwiatów, złożyć głowę na piersi ukochanego, wypowiedać się i słuchać nawzajem jego spowiedzi —jakież to będą piękne, czarowne chwile.

Kocham go, kocham całą potęgą dziewczęcego uczucia, tak czystego jak kwiaty lilii — tak rzewnego, jak modlitwa dziecięcia! Zdaje mi się, że w sercu mojem imię jego wryło się ognistymi zgłoskami i że nic tego imienia zmazać nie potrafi.

Nie znałam namiętności, nie pragnęłam rozkosznych pocałunków, chciałam mu być tylko aniołem stróżem, jaśniejszą dolą, osłodą w cierpieniu... I pragnę wi dzieć go nieszczęśliwego, zgębnionego troską życia, aby objąć go kochającym ramieniem i szeptać mu słowr pociechy.



Co on mi powie, gdy będziemy sami? Jak melodyjnie będzie brzmiał głos jego wśród tej wieczornej ciszy Drzę na tę myśl, płonę cała, kryjąc twarz w moje ślubna zasłonę. Zdaje mi się, że słyszę ten głos kochany, rozumiem szept miłosny... Kocham go! Kocham i pragnę pozostać wierną tej miłości!... Jedno z nas musi wprawdzie umrzeć, jedno musi odejść w dal ciemną i pozostawić drugie spłakane i smutne. Wolę odejść pierwsza, gdyż żyć bez niego byłoby dla mnie niepodobiestwem. Mimo to będę nad nim czuwać i za grobem. Gdy stanę przed Bogiem, będę Go prosiła, aby mi dozwolił zejść powtórnie na ziemię i być przy nim dniem i nocą niewidzialną dla niego i dla wszystkich ludzi. Białym duchem spłynę do niego z promieniem gwiazdy wieczornej, stanę przy jego łożu, by oddalać sny przykre.

Kocham go! Kochani i pragnę być wzajemnie kochana. Nie wątpię o jego miłości, czytam to w każdym spojrzeniu błękitnych oczu i uśmiechu ust koralowych. Dlaczego nie miałby mnie kochać? Jestem przecież piękną i mam zaledwie lat szesnaście. W wielkim stojącym zwierciadle widzę odbitą swą własną postać. Na ciemnym tle obicia rysuje się z całą dokładnością biały strój i korona z jasnych włosów. Szkoda tylko, że jestem tak drobna, ale wszyscy mówią, że jeszcze urosnę. Będę jeszcze wysoka, bardzo wysoka, tak duża jak on, wyższa może — kto wie? Ach! Ten ojciec! Dlaczego tak długo zatrzymuje go za tą obrzydliwą portyera? Ręczę, że i on pragnąłby być przy mnie i pozostać sam na sam ze mną. Głosy ich dolatują mnie chwilami. Niedobry ojciec!

Nakoniec!

Portyera się podnosi, w progu ukazuje się szlachetna twarz mego poczciwego ojca, a za nim piękny profil mego męża. Jasne światło, płonące w gabinecie, ozłaca wąską linią kształtne i posagowo piękne linie jego twarzy. Jedną ręką podtrzymuje portyere, drugą nerwowym ruchem szarpie węzeł białej krawatki.

Ojciec całuje mnie i przytula do swej piersi. Widzę łzy migocące w jego źrenicach. I mnie ogarnia tęsknota wielka, spoglądam na mego męża i dziwię się chmurze osiadłej na jego czole. Co go rozgniewało?... Wszak ojciec nie mógł mu zrobić przykrości w tak ważnej chwili...

Ale ojciec już stoi na progu i zwraca się raz jeszcze ku mnie. Mówi, że w gabinecie zostawił mój posag, to jest tymczasową część przypadającą na mnie, jako na najmłodszą córkę.

— Reszta po mojej śmierci — dodaje, wysuwając się z uśmiechem, mimo łez w oczach.

Zrozumiałam chmurę na czole mego męża. Ojciec dotknął go boleśnie, wyliczając mu natychmiast sumę posagową. Posądził go zatem o brak bezinteresowności, zadrasnął uczucie serdeczne, jakie w sercu narzeczzonego tliło dla ukochanej.

Uczulam żal do ojca i zwróciłam się ku memu mężowi. On stał nieporuszony w progu gabinetu, z brwią zmarszczoną, z ustami gniewnie zaciśniętymi. Podeszłam o kilka kroków, pragnąc usprawiedliwić postępek ojcowski. Chciałam mu powiedzieć, że ojciec, mieszkając na wsi, nie mógł inaczej postąpić. Wszak jutro

rano odjeżdża, chciał więc załatwić tę „najważniejszą” sprawę. I szłam ku niemu z uśmiechem na ustach, z dłonią wyciągniętą, szczęśliwca z tej szlachetności duszy, jaką odkrywał przede mną. Długa, jedwabna suknia zaszeleściła na dywanie i zbudziła go z zadumy. Podniósł głowę i ręka jego puściła fałdy portyery, którą podtrzymywał. Staliśmy naprzeciwko siebie, przedzieleni tylko przestrzenią kilku kroków. Wielka ciemna palma wznosiła się nad moją głową, a kilka róż porzuconych bieleło na dywanie. W niepewnym świetle przyciemnionej lampy postać jego olbrzymiała, a oczy błyszczały zielonawym blaskiem. Kie widziałam nigdy tego blasku w spokojnych, nieledwie przygasłych źrenicach tego człowieka. Stałam zdziwiona i niespokojna, trwoga szarpała mi serce. On milczał, oddychając ciężko, a wzrokiem błędził po ścianach. Nareszcie oczy jego spotkały się z ino-  
mym spojrzeniem. Ręka, którą wyciągałam ku niemu, opa-

dła mimowoli, jakaś ciężka, duszna atmosfera zapanała w saloniku.

Byliśmy sami! Nakoniec sami!

Nie wiem dlaczego głos zamarł mi w piersiach, dla czego słowa zastygły na ustach; zdawało mi się, że po pełniłam jakąś zbrodnię, coś bardzo złego.

Nagle mąż mój zawołał suchym, bezdźwięcznym głosem:

— Oszukany! oszukany! Czyż byłbym się żenił dla tak nędznego posagu! Oszukano mnie, dając te raz tylko połowę... Cóż zrobię z tą głupią sumą? I zaczął mówić dużo i prędko. Tak jest, oszukano

go: sądził, że dostanie dwa razy tyle. Obiecują mu resztę po śmierci! Piękna perspektywa!...

Głos jego rozlegał się po tym cichym, miłym pokoju ze straszną, okropną dokładnością. Słowa te padły mi na rozpalone serce, jak zimna woda, sprawiając ból nie określony.

Stałam ciągle na środku pokoju martwa, nieruchoma. Przed oczami memi runął cały gmach szczęścia, który we snach roiłam. Byliśmy sami! Na koniec sami!

On mówił ciągle, szarpiąc mi duszę z nieubłaganym okrucieństwem. Pomiedzy nami, w miarę słów jego wzrastała przepaść, a dla mnie otwierała się ciemna, niezmierna głębia. W moich białych szatach dzie wczęcych zstępowałam do grobu, który mi kopała ręka złączona przed ołtarzem z moją dłonią na wieki. W koszykach róże pospuszczały smutnie głowy, cierpiąc wraz ze mną. Więdy pod wrażeniem słów tego człowieka, jak więdła w tej chwili biedna dusza moja. Jakaś czar na gazowa zasłona spadła z góry i owijała wszystkie

przedmioty, dając im smutną, żalobną postawę. Przed chwilą ciche i miłe gniazdko zdało mi się teraz lodową pustynią.

Zimno mi było.

Wziął mnie dla posagu! Rzucił mi w oczy całą prawdę z brutalnością bezwzględną!

Ale prawda, po cóż miał się krepować. Wszak by liśmy... nakoniec sami! Dlaczego nie powiedział tego wczoraj, gdy mogłam być jeszcze wolną, gdy nie byliśmy skuci nierozzerwalnym łańcuchem przysięgi!...

Zamało, zamało pieniędzy! O, chciałabym w tej chwili posiadać wszystkie skarby ziemi i morza, aby przerwać ten potok słów bezlitosnych, raniących jak ostrze sztyletu biedną duszę moją.

Napróżno... on mówi, mówi ciągle, skarży się. że mu dano połowę sumy, resztę obiecując po śmierci!...

Oczy moje pozostały suche... nie płaczę... boli mnie tylko serce i zimno mi bardzo! W chwili zgonu nie będzie mi zimniej, ręka śmierci nie wyrówna chłodem tym słowom dźwięczącym wśród ciszy wieczornej. Już raz bolało mnie tak serce. O, tak! Przypominam sobie dokładnie. Było to już dawno, bardzo dawno—pewne go słonecznego poranku, gdy w różowej sukience siedziałam na dywanie otoczona zabawkami. U nóg mych leżała potłuczona lalka. Kochałam tę lalkę, była ona dla mnie wszystkim, moją pieśczęcią.

Ta rumiana buzia i błękitne oczy nie odstępowały mnie ani na chwilę. Mówiłam z nią, śmiałam się, płakałam przy niej słowem, miałam w niej świat cały. Stłuczono ją; wiedziałam, że już jej nie zobaczę... nie zasnę wsparta o jej lniane włosy! Mogłam dostać inną, piękniejszą, większąale nigdy tę samą. Dziwiono się,

że nie płaczę, ale siedzę cicha i skarżę się, że mi zimno. Ubrano mnie ciepło, ale mnie nie rozgrzano. Dawno to było, bardzo dawno, a mimo to chwila ta stanęła przede mną z całą dokładnością. Malutką dzieciną bolało mnie serce za ulubioną stłuczoną lalką—dziś życie moje stargane leży u stóp moich, a ja stoję tak samo nieruchoma, zimna, zlodowaciała.

Nad głową brak mi osłony; czuję, jakbym była sama

na jakimś wielkim cmentarzu i widziała dokoła nagie, opuszczone mogiły. Wiatr tylko jęczy smutną skargę i opowiada jakieś sieroce dzieje. Wielka palma, rozkuwająca swe ciemne liście, skłania je ku ziemi—smutna, zniechęcona.

On mówi, mówi ciągle. Głos jego przenika moją duszę — na koniec milknie — wyczerpał cały potok żalów i wymówek, ale ja powtarzam sobie każde jego słowo, każde zdanie. Nie zapomniałam, nie zapomnę nigdy!

Jedna błyskawiczna chwila starczyła na to, aby złać mi przyszłość na zawsze i rzucić mnie w przepaść smutku i niedoli.

A śniłam tak pięknie! Kołysałam sny jasne, świetlane!...

Dlaczego pozostaliśmy sami!?

Pytasz mnie siostró kochana, jakim cudem w młodości mojej uniknęłam pokusy. Pytasz mnie, dlaczego białą i czystą szatę anioła doniosłam na siebie do tej chwili, gdy przybywająca zmarszczka —zwiastun starości — stawia dla nas kobiet mimowolną zaporę od grzechu i broni nas przeciwko złym instyktom naszym.

Dziś mam srebrne nici w moich czarnych włosach; ciemne, przygasłe oczy patrzą na świat spokojnie—bez chęci. bez żądzy do śmiechu —jestem już starą, zgrzybiałą prawie kobietą — nie żyję sobą, ale żyję innymi, cieszę się radością drugich—placzę ich łzami. Patrzę w przeszłość moje chętnie, przewracam księgę mego życia kartka po kartce i nigdy rumieniec wstydu nie pla-

mi mego czoła. Życie me bez skazy — a jednak to nie moja zasługa:

Mówię tak jak ty, siostró droga:

— „Nie moja zasługa!”

Ale ty zasługę swej nieskazitelności kładziesz na dzielące cię od świata żelazne kraty, na tę furtę kia

sztorną, która się zamknęła z głuchym trzaskiem, gdy młoda i uśmiechnięta zstępowałaś do grobu, na tę przy sięgę złożoną pod całunem grobowym, gdy w białej szacie kładłaś się na chwilowy spoczynek, aby umrzeć dla świata... na wieki! Ja wszakże pozostałam na tym świecie. Pozostałam i szłam przez życie, męcząc się i bawiąc naprzemiany, ścierając łzy uśmiechem, raniąc nożem o ciernie i tamując krew na balowej posadzce sali tanecznej.

Szłam przez życie sama, pchana prawie w przepaść, tańcząca nad brzegiem bagniska, a mimo to ocalałam bez krat. bez przysięg, bez całunów klasztornych. Nie kradłam szacunku świata na wzór innych kobiet, które kochanków swoich sadzają w ogniskach domowych, które namiętnością występłą skalane czoła nadstawiają do czystego pocałunku męża, lub pieszczoty niewinnej dziewczyny. Nie byłam taką przewrotną istotą, okradającą świat i własną rodzinę, a przecież, siostró moja, mogę patrzeć w przeszłość moją spokojnie, bez troski; ale dumną być z tych kart białych... nie mogę! nie mogę!

Bo i na mnie przyszła pokusa razem z namiętną melodią walca, spłynęła strumieniem gazu, śmiała się wśród tanecznych kręgów wesołych.

Pokusa ta owionęła mnie razem ze srebrzystą gaza  
mej sukni balowej ślizgała się po mej obnażonej  
szyi — upajała mnie wonią mego bukietu.  
Wracała ze mną do domu i stawiała u wezgłowia  
mego łoża. Uchylając białe firanki, rozsnuwała prze  
de mną całe światy nieznane, przenosiła w kraj pełen  
cichych szeptów i namiętnych uścisków, rozpaliała krew  
a wzięwszy swą starszą siostrę „Ciekawość” do pomocy

śpiewała mi piosnki dziwne, pełne czarów i niezliczo  
nych ponęt.

Miałam lat dwadzieścia, byłam piękną — bardzo  
piękną i zaniedbaną przez męża.

Ty wiesz najlepiej, w jakich okolicznościach poszłam  
do ołtarza. Zrobiłam to dla niej, dla tej świętej naszej,  
która pragnęła przed zgonem swoim widzieć nas spo  
kojne i wolne od niebezpieczeństw sieroctwa.

Mąż mój, znacznie starszy ode mnie, nie miał czasu  
mną się zajmować. Tyle miał spraw finansowych na  
swej głowie, że dając mi jedwabne suknie, powóz i tro  
chę klejnotów, sądził, iż wypełnił wszystkie obowiązki—  
o resztę nie troszcząc się wcale.

Ja przecież w młodości mojej marzyłam o innym  
życiu, o szczęściu cichem, spokojnem, bez tanecznej mu  
zyki i szelestu papierowych banknotów. Nieraz pra  
gnęłam zatrzymać go na długi wieczór zimowy i spędzić  
z nim chwilę sam na sam — we dwoje.

Napróżno! Zwykle jakieś posiedzenie akcyonaryu  
szów lub podobne zatrudnienia nie pozwalały temu,  
który miał całe życie spędzić przy mym boku — pozo  
stać przy mnie przez jeden wieczór.



Zostawałam sama, i siedząc w saloniku, próbowałam czytać lub haftować jakąś drobnostkę.

Byłam jednak młoda, życie wrzało we mnie z całą siłą, chciałam przemówić, pośmiać się, wypłakać wreszcie...

Oglądałam się dokoła.

Cisza. Byłam sama!

Przedemną na inkrustowanym stoliku paliła się lampa, oświetlając dokoła złożone lustra i połyskujące atłasy fotelów.

Wielkie rośliny drzemały w kątach salonu, zdając się nudzić, tak jak ja się nudziłam.

I byłam zamknięta jak w wielkim grobie, gdzie czuć się daje zapach trupa i woń złożonego na trumnie wieńca.

Uczułam w swym życiu przerażającą pustkę. Matka w mogile, ty za kratą klasztorną; nic, nic na świecie mojego — żadnego serca, na którymby można złożyć strudzoną głowę, od nikogo dobrego słowa, rady i opieki...

Ogarnęła mnie niechęć do życia. Po co ciągnąć więc dalej tę smutną taczkę, do której wprzegłam się dobrowolnie? Wstawać rano i żyć dalej bez celu, bez uśmiechu, bez wyśnionej rozkoszy — po co? dla czego?

Powoli wstałam i zbliżyłam się ku oknu. Chciałam umrzeć, ale nie zaraz. Pragnęłam zgasnąć powoli, usnąć bez wielkich męczarni. Machinalnie otworzyłam okno. Wszystko bielilo się od śniegu. W migocącym świetle latarni biała opona iskrzyła się blaskiem tysią

ca brylantów. W powietrzu latały białe, srebrnawe  
płateczki i osiadały zwolna na ziemi lub odzieży prze-  
chodniów. Oparłam głowę o ramę okna i patrzyłam  
na ulicę. Była to noc styczniowa, noc pełna śmiechu  
i wesołości karnawałowej — bogaci i biedni śpieszyli  
za marą chwilowej rozkoszy, potrącając się wzajemnie.  
Naprzeciw mego mieszkania oświetlone okna kamienicy  
wyrzucały potoki światła i fale melodyi.  
Na dole stało rzędem kilka karet ubielonych śnie-  
giem, oczekując na gości.  
Wybiła dziesiąta.

Smutne, ponure tony uderzały w powietrze, rozle-  
wając się dziwnym jękiem ponad rozbawionem mia-  
stem.

Zimno mi było — bardzo zimno. Mimo to nie co-  
fnęłam się od okna, a mróz wstrząsający mną całą dzia-  
łał na mnie w sposób dziwny. Zdawało mi się, że to  
upragniona przeze mnie śmierć bierze mnie w swe lodo-  
wate objęcia.

Zamknęłam oczy i zsunęłam z ramion szlafroczek,  
który mnie niedostatecznie ochraniał od zimna.

— Chcę umrzeć! chcę umrzeć!... — powtarzałam do  
siebie machinalnie, prawie bezmyślnie.

Mimo to melodia wralca płynęła ku mnie w powie-  
trzu. Przedzierała się przez zamarzone szyby, przez pur-  
purowe zasłony okien i porywała w tanecznym rytmie  
drobne śniegowe płatki, kryjące się w przestrzeni. Mi-  
mowoli słuchałam tej piosenki — naprzód z niechęcią,  
potem z rozkoszą prawie. Walc ten czepiał się mej  
rozgorączkowanej wyobraźni i wiódł mnie tam, naprze-

ciwko, poza purpurowe zasłony okien.

Widziałam to strojne grono kobiet, czułam woń ich kwiatów, szłyszałam szmer pochlebstw, i zamiast umierać, zapragnęłam żyć tak jak one — przetańczyć życie, skoro przejść po niem nie mogłam.

Podniosłam głowę i... odstałam od okna. W wielkich złoconych ramach ujrzałam nagle swą własną postać i przeraziłam się moją pięknnością, której dawniej nigdy nie dostrzegłam. Stanowczo powinnam bywać w świecie i bawić się tak jak inne kobiety...

Jak wspaniale wyglądają moje ramiona przy Wadzie światła lampy, jak piękny jest blask ciemnych oczów moich!...

Melodyja walca kołysze mnie tempem miarowem.

Tak chcę błyszczeć, chcę śmiać się i sięgnąć po Wadę królewski, do którego mam stworzone czoło. Umierać? Po co umierać, skoro się jest młodą i piękną? Nie znalazłam szczęścia w domu, pójdę go szukać na sali balowej.

Pragnę gwaru, muzyki — obcy dadzą mi to za pomnienie, którego żądałam od śmierci. W świat! w świat!

I błyszczałam w tym świecie jak nadziemskie zjawisko. Kto ona? Zkąd ona? — pytał tłum, gdy strojna w białe gazy, wchodziłam na salę balową. „Królowa” — mówiono dokoła.

A ja szłam z podniesionem czołem, wzbudzając zazdrość kobiet i podziw mężczyzn.

Mój mąż., szczęśliwy że ma teraz dnie i wieczory swobodne, wprowadzał mnie z pobłażliwym uśmie

chem do sali, a potem ulatniał się, pozostawiając mnie sama.

Nazywano go „le mari invisible.”

Uśmiechano się dyskretnie, a ja śmiałam się wraz z innymi.

Bawiłam się namiętnie i stanowczo, byłam królową wszystkich zebrań. Gdy minął karnawał, zapal mój nie ostygł wcale. Wraz z przyjaciółkami memi wy najdywałyśmy różne biedne kaleki, aby na ich dochód urządzać koncerty, loterye i tym podobne zabawy.

Nagle zaszedł wypadek, który pozbawił mnie chwilowo rozkoszy światowych.

Zostałam matką.

Najprzód gniewałam się, płakałam, szalałam prawie ze złości.

Potem rozpatrzywszy sytuację, postanowiłam być cierpliwą i wynagrodzić sobie podwójnie przerwę, jaka nastąpiła w zwykłych mych zajęciach.

Gdy pogodnym sierpniowym rankiem Bóg zesłał na ziemię maluchną dziewczynkę, odetchnęłam swobodnie.

— Nakoniec!—zawołałam—nakoniec jestem znów wolna.

I pod pozorem nadwątlonego zdrowia wyjechałam do kąpiel morskich, gdzie rzuciłam się napowrót w wir zabaw światowych. Córkę moje kochałam, ale po swojemu. Bosła więc biedna dziecina, strojna w koronki i jedwabie, wzywana czasem na chwilę do salonu, gdzie składając piękny ukłon gościom mamy, odpowiadała na czynione jej zapytania cieniuchnym, drżącym głosem

kiem. Potem na dany znak wybiegała czempredzej z salonu, zadowolona że powraca do swego pokoju, gdzie oczekiwała na nią bona francuzka i gruba czarna kotka.

Minęły dwa lata od przyjscia na świat mej córki, a ja wrcale nie spowaźniałam. Skosztowawszy raz z czary rozkoszy, nie chciałam oderwać ust, pojąc się słodką trucizną, marnując zdrowie i życie. Nagle do strzegłam, że same bale i zabawy mnie nie bawią, że jest inny jeszcze magnes, ciągnący mnie w oświetlone salony.

Odkrycie to wstrząsnęło mną do głębi duszy i mimowolnym kurczowym ruchem przycisnęłam ręce do piersi.

A jednak tak było i tak się stać musiało!

Wśród tylu pochlebstw, tylu słodkich słówek, wśród tego chóru uwielbiających mnie motyli — niedo

świadczone ucho moje wyróżniło glos jeden, dźwięczniej szy od innych, hardziej melodyjny, pieszczotliwy, a jak woń kwiatu upajający...

I dla tego głosu jeździłam teraz na bale i kładłam róże we włosy. Powoli tłum zaczął niknąć przede mną — pozostał on jeden!

Dziś gdy o nim myślę, uśmiecham się mimowolnie, dawniej jednak było inaczej.

Nie kochałam go wcale, ale chętnie poddawałam się nieznanemu mi dotąd urokowi namiętności, który zaczął roztaczać nade mną swe panowanie.

Wielką rolę grała w mej wyobraźni także cieka wość.

AVszystko pchało mnie do upadku: przykład, który miałam dokoła, odurzająca atmosfera balowa, szepty namiętne, brak opieki, nareszcie piękność moja i wszystko, wszystko!...

O! siostró moja! Tyś zamknięta za kratą klasztorną, spędzasz dnie całe na strojeniu obrazów w lilie białe, lub ze złożonemi rękami klęczysz ciemnym wieczorem pośród samotnego chóru, a znasz tylko tęsknotę do ludzi — ale nie znasz tej siatki pajęczej, jaką świat rozsnuwa dokoła młodej kobiety.

Ja sama zadzierzgnęłam niebacznie pierwszą nić tej siatki razu jednego, podczas nocy zimowój, gdy wpa trzona w świat uludy, wyciągnęłam obnażone ręce, weszłam myślą do niego...

I świat przyjął ranie do siebie. Dał mi rozkoszną czarę, w której na wierzchu uśmiechy i radość, a na samem dnie... występki.

Tak, siostró moja, zawsze na dnie tej czary drzemie nieszczęście rodzin, a często krew i śmierć niewinnych

istot; a przecież tak mało kobiet cofa się przed spełnieniem tej czary do dna samego. Trzeba na to wiele silnej woli, lub tego, co mnie ocaliło.

Ciebie ochrania od pokus modlitwa — mnie od występku osłoniła — jej łza!

Jej czysta, srebrna łza.

Było to pod koniec trzeciego z rzędu karnawału, który upajał mnie śmiechem i szaloną żądzą zabaw. Dniem i nocą trawiła mnie gorączka; bezprzytomna prawie przechodziłam z ręki do ręki eleganckich tancerzy, drżąc tylko, gdy dłoń moja dotknęła ramienia.

Coraz chętniej słuchałam jego namiętnych szeptów,  
szukałam spojrzeń, pragnęłam zacisznych kątków,  
ustronnych buduarów.

I przyszło do tego, co się stać musiało.

"Wśród woni kwiatów oranżeryjnych, drząc od nie  
znanego wzruszenia, dałam mu przyrzeczenie schadzki  
występnej, na którą z uśmiechniętą i pogodną twarzą  
szły prawie codziennie moje przyjaciółki.

Dawniej, gdy byłam jeszcze dziewczęciem, zdawało  
się mej zacofanej główce, że każda zhańbiona kobieta  
musi nosić na swem czole piętno hańby niezmasane,  
widome dla wszystkich, strącające ją w otchłań poni  
żenia.

Tymczasem dokoła mnie śmiały się figlarne twa  
ryczki występnych żon i matek, a ludzie z dyskretnym  
uśmieszkiem usuwali się im z drogi, wzruszając pobła  
żliwie ramionami.

A więc to taka kara za grzech z pozoru tak wielki?

I mimowoli pragnęłam spróbować wielkość tego  
grzechu, zgruntować dno tej przepaści, którą mi z trwo  
gą ukazywała matka moja.

Stało się, przyrzekłam schadzkę...

Zgodziłam się na występki, a mimo to, choć powra  
cam do sali balowej, nikt się ode mnie nie odwraca ze  
wstrętem.

Najzacniejsze matrony robią mi miejsce koło  
swoich córek, a mężowie proszą o przyjaźń dla żon  
swoich.

Tak jest w przeddzień schadzki — tak będzie i po  
niej—i zawsze, zawsze!...

Nazajutrz drżąca czekam nadejścia nocy — serce mi bije gwałtownie, za każdą upływającą minutą zdaje mi się, że coś ubyło z mego życia, ze mnie samej.

Zbliża się mrok wieczorny.

Razem z cieniem nocy spływa ku mnie melodia jej go głosu...

Już nie walczę, nie rozumię; biegnę ku niemu, staczam się w przepaść hańby i występku. Ubieram się szybko, osłaniam ciemną woalką i pragnę wyjść szybko, niepostrzeżona.

Nagle u głównych drzwi odzywają się głosy. To mój mąż powraca ze swymi doradcami prawnymi. Ja przecież wyjść mogę w każdej chwili, nic zdając sprawy z mych czynności nikomu. Mimo to, nieokreślona trwoga nakazuje mi cofnąć się ode drzwi, poza którymi stoi mój mąż.

Rzucam się do pokoju dziecinnego, przypominając

sobie, że pokój ten połączony z kuchnią ułatwi wyjście na ulicę.

W pokoiku tym pali się lampa zawieszona u sufitu.

Jej łagodne światło oblewa niebieskie ściany i czyste białe firaneczki, zawieszzone nad łóżeczkiem mej córki.

Ze zwojów białego muślinu uśmiecha się twarz

Maryi Panny, a poza obrazkiem widać sporą różgę, związaną błękitną wstążką.

Tak tu cicho, spokojnie, że szelest mego jedwabnego okrycia razi i przerywa tę dziwną, prawie klasztorną ciszę. Zabawki porzucane drzemią w kątach, lalka w krakowskim gorseciku stoi oparta o ścianę. Koło



pieca na wyplatanem krzeselku siedzi gruba czarna kotka i mruży oczy.

Dziwny to kącik, osłonięty od gwaru świata, ciepło w nim i błogo.

Mimowoli zatrzymuję się i zaczynam spoglądać do koła. Nie miałam już dawno czasu rozejrzeć się w tym pokoiku.

Bony niema, wyszła widocznie na chwilę — gdzież ona? gdzież córka moja?

Nie widzę jej nigdzie, a przecież pragnę ją zobaczyć.

Jakaś tęsknota nieokreślona ściska me serce — w tej cichej atmosferze maluchnego pokoiku serce me odczuwa potrzebę drobnej istotki, która tu życie swoje spędza.

Gdzież ona?

Jest, stoi koło ściany nawpół rozebrana, trzymając w rączce drewnianą laleczkę. Jeden pantofelek zgubiony leży na dywanie, a pończoszka spadła aż na piętę. Jasna, złota główka rysuje się blado na nikłym tle obicia. Stoi przytulona do ściany, milcząca, z oczyma

wlepionymi we mnie, taka mała i drobna, że prawie nieknie w przestrzeni. m

Oczy moje mimowoli jak przykute pochłaniają tę drobniutką postać i oderwać się od niej me mogą.

Córeczka moja milczy, a tylko różowe usteczka drżą jakąś skargą niewyszeptaną.

Patrzę na nią, patrzę i odejść nie mogę.

Nagle, na długich ciemnych rzęsach zaświeciła łezka, błyszczy tam chwil kiika, a potem wolno zsuwa się po okrągłej twarzyczce, zostawiając po sobie lśniąca

bruzdę.

Ta jedna łza mej dzieciny pada mi na serce rozpalonem żelazem. Gdyby dziecko krzyczało, płakało głośno, uciekłabym z pewnością; ale ta jedna łza—tak niema, a przecież jak wymowna!...

Mała dwuletnia dziecina stoi samotna, opuszczona i płacze cicho; skarży się bez słowa, bez krzyku.

Dlaczego ona płacze? dlaczego ona sama?

Płacę wszakże sługi, aby ją pilnowały. Jeśli jednak ja, matka, opuszczam ją i uciekam, jakże wTymagać moją głę od obcych wypełniania obowiązku?

Gdzie bona? Pewnie pobiegła na schadzkę z kochankiem.

Na schadzkę!...

Wszakże i ja mam iść na schadzkę!

Dlaczego nie idę, co mnie wstrzymuje? Co mi każe opóźnić chwilę rozkoszy?...

Wstrzymuje mnie jej ha!...

Jej czysta, srebrna łza!..

I sama nie wiem, jak kolana uginają się podemną—klekam przed tą małą dzieciną! wyciągam ku niej rękę...

— Mamusia!

Już jest przy mnie, drobnymi rączkami obejmuje mą szyję, szepce coś do ucha. Jej delikatne włoski dotykają mej rozpalonej twarzy, czuję jej wężkie ciało w mych objęciach. Gorącymi pocałunkami scałuję z tych błękitnych oczek ślady łzy, tej łzy, która uratowała mnie od występku.

Zaświeciła mi nagle jak gwiazda wśród ciemnej noc, przy jej świetle ujrzałam poraż pierwszy rzeczywi

sty spokój i szczęście na świecie.

Gdy bona powróciła, zastała mnie siedzącą na ziemi wśród stosu lalek, katarynek, krówek i tym podobnych bawidełek.

Uszczęśliwiona Helenka z zarumienioną buzią zgu biła drugi pantofelek, ale za to opowiadała mi zajmującą powieść o „komarze, co z dębu spadł.”

Czarna kotka w najlepszej przyjaźni usiadła tuż przy nas i zielonemi oczami przypatrywała się z wielką ciekawością drewnianej myszce, wyrzuconej z pudełka. Dobrze mi było, spokojnie i cicho.

Gdy dziecko moje, położone w łóżeczku, zasnęło, trzymając mą rękę w swych drobniutkich dłoniach, odetchnęłam tak, jak po przebyciu ciężkiej, śmiertelnej choroby.

Chorą bowiem byłam, chorą na gorączkę, która mnie bezmyślnie pędząc wśród balowych salonów, omal nie wtrąciła w objęcia kochanka.

Łza mego dziecka mnie uratowała, łza stokroć silniejsza nad wszystkie kraty i przysięgi klasztorne—łza potężniejsza nad prośby i miłosne zaklęcia—łza, której namiętność nawet zwalczyć nie potrafi.

Pragnęłaś mej spowiedzi— oto ją masz. Zachowaj ją dla siebie. Gdy wszakże do twej kraty zastuka obłą

kana światem kobieta, gdy w oku jej dostrzeżesz pragnienie występnej rozkoszy, wskaż jej źródło ocalenia. Jeśli ma dziecię, niechaj doń powróci, wobec łzy dziecięcia zamilknij chęć upadku w objęcia kochanka; zamiast występnych pocałunków—czysta pieśczość białego anioła zgasi ten ogień, jaki roznieciła muzyka ba

lowa.

Na wszystkie pokusy świata najlepszą bronią taka srebrna, czysta łza!

Lwów, lutego r.

ZA JEDNĄ GWIAZDKI!...

Hej, zimno i mroźno na dworze! Mam jeszcze guldena w kieszeni i gorącą chętkę wypicia kieliszka wódki. Za guldena i tak nic nie zbuduję. Kobieta czeka wprawdzie w domu, ale cóż ona z temi kilkoma szóstkami poradzi. Ani to wili się nie zgotuje uczciwej, ani ryby nie usmaży... Co najwięcej w piecu rozpali i mleka się napije. Bieda człowieka gniecie i gniecie — nawret w to święto uczciwie się posilić nie można. Najlepiej napić się wódki. Człowiek zapomni o wszystkim — o kobiecie, wili, głodzie... Poczciwa wódka! Ta jedna została na pociechę ludzkości. Wier na towarzysza doli i niedoli... Tej nie braknie nigdy!..

I poszedł do szynku „zalać robaka.” Ale choć wódka była dobra i niezłą miarką odmierzona, robak jakoś długo nie dał się zalać... Długą chwilę stał przed szynkwasem, zanim wychylił kieliszek zapomnie

nia.

W ciemnej izdebce pod wschodami wilgotnej kamienicy zostawił chorą i kaszlącą żonę, drżącą od zimna

i ałodu Zarabiał mało, więc nędza jak przemożna pani gospodarowała w pustej izdebce. Wstrząsała wychudłym ciałem kobiety i śmiała się pleśnią ścian zzieleniałych.

W noc wigilijną niósł do domu jednego guldena.

Cóż mógł mieć za to? Wstydział się swej nędzy i ukrył wstyd swój w szynku. Wolał wrócić do domu nieprzytomny, pijany, aby tylko nie pamiętać o swej nędzy i nieszczęściu. Gdy upadł koło łóżka chorej, nie słyszał ani jęku, ani kaszlu biednej kobiety. Błada i zmęczona leżała ona na garstce słomy, a dwa strumienie łez spływały po jej wychudłych policzkach. Ciemno było jak w grobie, bo izdebka nie miała okna, ale chociaż kobieta pamiętała przecież, że to dziś noc wesoła, promienna, pełna uśmiechów i szczęścia. Gdy była dzieckiem, matka jej, choć biedna wyrobnica, z odłamków jedliny wiązała jej coś nakształt drzewka i ubierała kolorowymi gałgankami lub skrawkami papieru.

Była wtedy bardzo szczęśliwa, skakała koło improwowanego drzewka i śpiewała na całe gardło: „W żłobie leży...” Gdy pierwsza gwiazdka zabłysła, matka zapalała dwie małe woskowe świece, przyklepione do gałązki, a darowane jej przez litościwą skłepiarkę. Kajwspanialsze oświetlenie elektryczne nie wprowadziłoby w taki zachwyt biednego dziecka, jak ten mdły blask dwóch cieniuchnych świeczek kolorowych.

Matka mówiła jej wtedy, że dobry Jezus zapala

także gwiazdeczki w tę noc wigilijną, a pierwsza gwiazdka to dla najgrzeczniejszego dziecka na świecie. Stała się więc na cały tydzień przed nocą wigilijną być bardzo grzeczną, aby srebrna gwiazdeczka migotała wyłącznie dla niej na lazurze nieba. Z płonąca twa

rzyczką czekała tej gwiazdki i przyciskała drobne rączki do bijącego serduszka. Gdy wreszcie dostrzegła srebrne blaski, klękała w nadmiarze zachwytu i ze łzami dziękowała dobremu Dzieciątku za to wyróżnienie. Później, gdy matka umarła, a ona poszła na służbę pomiędzy ludzi, starała się zawsze najpierwszą dostrzedz gwiazdkę; stawała na mrozie, narażając się na gniew swoich chlebobawców i śledziła wyteżonym wzrokiem ciemny strop niebieski.

Dziś złożona chorobą, w ciemnej i wilgotnej komórecce, napróżno otwiera załzawione oczy. W czarnej przestrzeni, która ją otacza, nie błyszczy żadne jaśniejsze światło, nie migoce srebrny blask gwiazdki wigilijnej.

Konająca kobieta opuszcza głowę zmęczoną i przymyka oczy. W piersi jej płonie ogień, a brak oddechu prawie ją zabija. Dokoła cisza i ciemność grobowa. Wilgoć rozpościera swe zimne całuny i tłoczy znekane ciało, wstrząsając je dreszczem konwulsyjnym. A wśród tej męczarni biedna kobieta ma tylko jedno, jedyne pragnienie, jedną myśl, jedno żądanie: chciałaby ujrzeć tę gwiazdkę, którą wskazywała jej ręka matki, tę jedną gwiazdkę, o której marzyła będąc dziecieniem, i przy której płakała jeszcze młodą dziewczyną! Gorączka ją trawi, ogień wewnętrzny pożera, kaszel rozry

wa piersi, a ona z radością cierpiałaby tak lata całe,  
aby mogła wśród tej ponurej ciemności ujrzeć tę jedne,  
małą gwiazdkę!...

Za jedne gwiazdkę!...

\*

Jan. służący, wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Pan Erazm został sam w saloniku, i uśmiechając się  
z zadowoleniem, wyciągnął na otomanie nogi, wtłoczone  
w miękkie meszty tureckie.

Obok niego, na niskim inkrustowanym stoliku stał  
przyrząd do herbaty i jasna lampa, rozlewająca dokoła  
czyste białe światło.

Pan Erazm usiadł na fotelu i nalał sobie herbaty.

Miła woń rozeszła się po saloniku i zmieszała się z za-  
pachem wykwintnych cygar. Dokoła cisza, spokój,  
miękkie portyery, aksamit, brzozy, marmury...

Pan Erazm gładzi białą dłonią rzadkie faworyty  
i uśmiecha się z zadowoleniem. Doszedł do tego wie-  
ku, w którym przyjmuje się z obojętnym uśmiechem  
miano starego kawalera. Jest starym kawalerem i do-  
brze mu z tem. Nie kocha nikogo, nie pożąda nic wię-  
cej, żyje na podobieństwo ślimaka, pije herbatę, pali  
drogie cygara i ściera pył z marmurowej Wenery. Oko  
jego z lodową obojętnością błądzi po smukłych liniach  
posągu, wyschłe palce bez drżenia dotykają się łabę  
dziej szyi lub gładkich ramion. Wszystko w nim za-  
marło, na podobieństwo wody w stawie, zmaconej, bru-  
dnej, pokrytej zielenią sitowia. Pan Erazm żył dobrze  
i nie tracił czasu. Umiał korzystać z lat młodych,  
a teraz odpoczywa. Dopłynął do portu spokojnie—bez

nadzwyczajnych burz i przygód.

Jest swobodny, wolny, potargał wszystkie serdeczne związki i czuje się bardzo zadowolonym.

Rozgląda się po saloniku i gładzi faworyty. Wszystko w porządku. Fotele i karły drzemią na swych miejscach szkice Gersona i Makarta widnieją w jasnym Świetle lampy — marmurowa Wenus przechyla główkę

z zalotną skromnością, odbijając swój marmurowy profil w olbrzymiem zwierciadle. Ład i symetria starokawalerska. Nagle na tureckim szlaku kobierca dostrzega wprawne oko pana Erazma świstek papieru. To Jan musiał przez nieuwagę rzucić tę białą kartkę. Wstaje tedy stary kawaler, i mrużąc, podnosi zmięty, szary, gruby papier, zakreślony niekształtnem pismem.

„Kochany Jasziu!”

Pan Erazm czyta raz jeszcze i powoli śmiać się zaczyna.

„Kochany Jasziu! Pszyjdź na wigliję, tylko fczas— cieszę się okropnie co bendę s tobą. Jezdeśmy sami w tym wielgim mieście i zapłakałabym się gdybym była szama przez ciebie. Pszynieś mi co na gwiazdkę...”

Na gwiazdkę!...

Pan Erazm zapomniał zupełnie, że to dziś wieczór taki uroczysty, pełen marzeń, wrzawy i miłości, śmiechów dziecięcych i tęsknoty za szczęściem minionem.

List biednej służącej, pisany ołówkiem na kawałku zmiętej bibuły, roztoczył przed nim cały świat wspomnień, rzucił go w wir minionej przeszłości, dawno ubiegłych uroków.

I do wonnego, ciepłego saloniku wkradła się cicho



i niepostrzeżenie jakaś nieokreślona tęsknota, pragnienie serca, słowa przychylnego, choćby skreślonego nie ortograficznie na kawałku pomiętej bibuły.

Pan Erazm przystąpił do okna i oparł głowę o szybę.

Ponad nim błyszczały miliony gwiazd. Były tam wielkie i małe, świetniejsze i smutniej płonące — były niektóre tak drobne, że zaledwie je można było dostrzedz, ale było ich tyle, że każdy człowiek na ziemi

mógł wybrać jedne dla siebie i uśmiechać się do niej. Gwiazdka nawzajem mrugała doń figlarnie, jakby po wtarzając słowa, które przed chwilą ukochane wymówiły usta.

„Daj mi co na gwiazdkę...”

Biedny i bogaty biegł po zabawkę dla dziecka, po książkę dla syna, po brylanty dla kochanki, po suknię dla żony—słowem biegł cały tłum nędzarzy i bogaczy, aby równo ze światłem gwiazdki zabłysł uśmiech na drogich ustach... i promień w błękitnych lub ciemnych źrenicach. Gorący, długi pocałunek będzie nagrodą za pamięć, pocałunek niewinnego dziecka, lub uścisk kobiety.

Pan Erazm patrzy na gwiazdy, ale żadna nie posyła mu figlarnego ostrzeżenia, Potargał wszelkie serdeczne związki, został sam wśród ciszy i symetrii starokawalerskiego mieszkania; nikt go nie prosił o coś „na gwiazdkę...” .

Radby serdecznie, ale nie ma dla kogo kupić upominku...

Niby mu wygodnie, a jakoś smutno i tęskno. List

biednej dziewczyny do ubogiego chłopca każe mu stać i patrzeć w brylantowe blaski; ręka zaciska kurczowo ten świstek papieru, który mu dłoń pali i każe zazdrościć służącemu...

Oddałby w tej chwili swoje aksamity, brzozy, obrazy Makarta, Gersona i marmurową Wenerę za jedną małą gwiazdkę, którąby mógł nazwać swoją. Za jedną tylko gwiazdkę!...

Na miejskim cmentarzu śpią cicho setki zmarłych; Śnieg pokrył mogiły białym całunem i otulił nim czarne lub lśniące trumny. Białe anioły stoją na kamiennych płytach, wznosząc ku niebu wysmukłe skrzydła — stoją poważne i ciche, z pieczęcią tajemnicy na marmurowych ustach. Strzegą mogił i nagrobków, przykute do swych podstaw, milcząc jak sfinksy skrzydlate. Gdzieś między nagimi gałązkami drzew błyszczą krzyż metalowy, lub mienią się paciorki sztucznej równianki. Gałęzie, ogołoczone z liścia, rozsnuły ciemną koronkę naokoło krzyżów i białych aniołów, u góry czarny lazur nieba zasiany milionami światła, równie milczących i tajemniczych, jak setki mogił, owiniętych śniegiem.

Jakże tam cicho i spokojnie w tym królestwie zmarłych!...

Ileż tam głów znużonych śpi snem nieprzespanym, wspominając przebyte troski i udręczenia życia! Ileż tam ust zastygłych z bolesną skargą lub jękiem, milczy teraz w sennej zadumie, drżąc z trwogi, by im kto znów nie kazał cierpieć!...

Ileż tu nadziei, miłości lub nienawiści znikło ze świata w tych ciemnych, zimnych otchłaniach i poszło

na sen wieczny!...

Nie zbudzą się już więcej — nie mogą ani kochać, ani nienawidzić. Błyszczące krzyże i biali aniołowie strzegą grobów i nie pozwolą powrócić temu, kto raz poszedł w dal tak ciemną...

Umarli nie powracają...

Gdyby jednak z tem ostatniem tchnieniem, jakie rozdziera pierś konającego, ulecieć mogło i wspomnienie o nim, tęsknota, żałoba trawiąca pozostałą kochającą istotę, to biedna wdowa nie przysłaby w zimną noc

grudniową klęczeć na zamarzłej ziemi i tulić twarz spłakaną w zziębnięte dłonie.

A jednak ona klęczy,

mogile, klęczy już długą

Pół roku temu słoneczny:

wadziła na wieczny spoczynek całe swe szczęście.

Brzozy szumiały, a słoneczne promienie paliły dokuczliwie, gdy bezprzytomna upadła z bólu na świeżą mogiłę.

Zostawił ją samą, samą jednę, młodą i pełną chęci do życia... Dziś ona pracuje ciężko na kawałek chleba i żyje wspomnieniem chwil dawnych. Pobladła i zwiędła, jak kwiat kosą ścięty. Nic jej nie wiąże do ziemi, chyba ta biedna mogiła, na której sadi co wiosną fiołki, a w jesieni astry.

Pod tą warstwą zimnej ziemi leży człowiek, którego kochała i kocha do tej chwili. Dziś przyszła na cmentarz, przygnana potrzebą ujrzenia ukochanego grobu.

Inni ludzie weselą się w kółku rodzinnem—ona nie ma nikogo, nikogo prócz tego, którego pokrywa ta zimna mogiła.

Kłęczy więc na ziemi i z boleścią spogląda około siebie. Obok niej kamienne anioły wznoszą surowe czoła, zdając się gorszyć tą bezmierną boleścią, która przygniata jej wątłą postać do ziemi. Kobieta zziębniętą ręką odrzuca śnieg pokrywający mogiłę. Z nadmiaru smutku schorzała jej wyobraźnia przypuszcza, że masy śniegu tłoczą pierś ukochanego i sen mu przyrywają.

Potem załzawione jej oczy wznoszą się do góry.

Widzi miliony gwiazd drżących nad swą głową i zdaje jej, że to lepsze światy, z kąd zmarli żałują żyją

Dawniej, gdy on żył jeszcze, z pierwszym błyskiem gwiazdki, długi, gorący pocałunek łączył ich usta—słowa gorące, serdeczne, płynęły wśród wieczornej ciszy. Oczy mieli pełne łez i tulili się do siebie w dziecinnym niemal rozrzewnieniu. Była tam jedna, jasna gwiazdka, wschodząca jaśniej od innych, szybsza, najpierwsza, jak by przodownica w tańcu. Na gwiazdkę tę czekali oboje, patrzyli w lasur nieba, a nie mając za co kupić sobie kosztownych podarunków, równocześnie ze świetlanym zjawiskiem podawali sobie usta do pocałunku. Dziś biedna wdowa klęcząca na zimnej mogile napróżno szuka tej jasnej gwiazdy. Jest ich tysiące, miliony, ale tej, która jej przynosiła pocałunek serdeczny, znaleźć już nie może.

Odeszła od niej raz na zawsze, poszła świecić komu innemu i zostawiła smutną kobietę wśród mogił i ciszy.

A przecież ta kobieta chętnie oddałaby resztę życia swego, gdyby raz jeszcze mogła ujrzeć brylantowe tej gwiazdki promienie, gdyby choć raz jeszcze zamigotało

to błękitne światełko wraz z gorącym pocałunkiem  
i uściskiem serdecznym...

Oddałaby chętnie resztę smutnych dni swoich za  
jedne taką gwiazdkę...

Za jedne tylko gwiazdkę!...

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA RÓŻY.  
NOWELLA.

Jak my się kochamy! — mówiło jasnowłose  
dziewczę do narzeczonego, idąc z nim wczesnym ran-  
kiem lipcowym cienistą aleją uroczej zamiejskiej willi.  
— Jak oni się kochają! — powtarzały szumiące  
listki drzew i purpurowe róże.

— Jak oni się kochają! — mówiły złote słońca pro-  
mienie, prześlizgując się wśród gęstej drzew zieleni  
i ozłacając miękkie, jasne sploty dziewczyny.

Byłóż to jednak rzeczywiste kochanie, to kochanie  
głębokie, serdeczne, które ludzkie serca silnym łańcu-  
chem spaja, życie opromienia, a nawet cierpienia słod-  
szemi czyni?

Byłóż to prawdą, co mówiły purpurowe róże i zło-  
te słońca promienie?...

Czy dwoje tych młodych i pięknych kochało się rze-  
czywiście uczuciem serdecznem, które za miesięcy parę

zaprzysiędz mieli na całe życie? Czy które z nich nie wymówi krzywoprzysiężnego słowa?... O tem oni tylko jedni wiedzieli.

Tymczasem wszystko dokoła szeptało o ich miłości,

i kwiaty osrebrzone kroplami rosy, i wesoły świegot ptasząt, a nawet sam drżący i uczucia pełen głosik na rzeczony: jak my się kochamy!

Rozkochana dziewczyna mierzyła głębokością uczucia, przepelniającego jej czystą duszyczkę, miłość czło wieka, któremu oddawała wraz z swą ręką i znacznym majątkiem serce, serce czyste, nieskalane, prawdziwą perłę człowieka.

Cóż jednak w zamian dostawała ta modrooka dzie wczynka, patrząca w tej chwili pełnym miłości wzrokiem w twarz ukochanego? Ach!... dość spojrzeć na zimną i wystygłą twarz młodego człowieka, dość rzucić okiem na to znużone, przedwcześnie zużyte oblicze, aby wie dzieć, na ile zawodów i trosk serdecznych naraża się niebaczne dziewczę... Ono kiedyś gorzkimi łzami opłacze zaślepienie swoje!

Dziewczyna mówiła: „jak my się kochamy!” O! ra czej powinna była powiedzieć: „jak ja cię Kocham!” — bo o wzajemności tu mowy być nie mogło.

Ale ona o tem nie wie, patrzy w czarne oczy ukocha nego i zdaje się w nich widzieć nieprzebrane skarby serdecznej miłości, białą rączkę wsuwa pod jego ramię i wspiera na niem swoje jasną główkę.

— Wracaj prędko, Gustawie! — mówi srebrzystym głosem — wracaj dziś koniecznie, dziś wieczorem... mnie tak smutno bez ciebie!...

— Wróć, z pewnością wróć! — zapewnia ją z pewnym rodzajem zniecierpliwienia młody człowiek, przy spiesząc kroku.

— Nie odchodź tak szybko, proszę cię, myślałby kto, że pragniesz jaknajprędzej uciec ode mnie! — szepce

dziewczyna, a usta jej drżą powstrzymanem wzruszeniem, a w oczach dwie łezki się kręcą.

Gustaw spojrział na mówiącą i dostrzegł łzy. Nerwowym ruchem poprawił węzeł paryzkiego krawatu.

— Bądź rozsądną, Adelko! — wyrzekł, ujmując rękę dziewczęcia. — Bądź rozsądną! — powtórzył — wszak odjeżdżam na godzin kilka...

— Na dzień cały! — poprawiła Adelka.

— A więc na dzień cały! — powtórzył z ironicznym uśmiechem — a ty żegnasz się ze mną tak rozpaczliwie, jakbyś mnie nigdy już ujrzyć nie miała, a nawet widzę łzy w twych pięknych oczach! "Wszak wiesz, że ja łez nie lubię, a więc staraj się być rozsądną i nie denerwuj się bez potrzeby.

— Ależ — tłumaczyła się zarumieniona Adelka — ja cię kocham bardzo i nie chciałabym rozłączać się z tobą ani na chwilę.

— C'est impossible! ma chérie! — odpowiedział młody człowiek, otwierając szeroką wjazdową bramę, poza której gustownym okratowaniem widać było stajennego chłopca w szarej kurtce, trzymającego za uzdę osiodłanego pięknego konia.

Adelka stanęła, a uzbroiwszy się w cały zasób odwagi, podała narzeczonemu rączkę na pożegnanie.

Pan Gustaw z salonową galanterią złożył na bla

dych paluszkach pośpieszny pocałunek, i skinąwszy na służącego, gotował się do wskoczenia na siodło.  
— Czy będziesz o mnie myślał przez dzień cały, Gustawie? — pytało dziewczę, patrząc z niewysłowioną miłością na Antinousowskie rysy narzeczonego.  
— Będę! z pewnością będę! — zapewniał, a oczy je

go z roztargnieniem budziły po drodze, której szary szlak widniał wśród aksamitnej łąk zieleni.

Nagle Adelka poskoczyła do krzaku róż, rosnących opodal. Szybko oderwała z gałązek jedno purpurową, świeżo rozwiniętą różę, i podając ją Gustawowi, wyrzekła tonem serdecznej prośby:

— Weź tę różę, Gustawie! i noś ją dziś przy sobie.

Ilekoć spojrzysz na nią, przypomnij sobie tę, która tu tęskniąc, czekać na cię będzie.

Gustaw wziął podany kwiatek, włożył go w butonie rę eleganckiego surduta, a skoczywszy na konia, zniknął szybko w tumanach kurzu.

U bramy ogrodowej stało długo jasnowłose dziewczę, śledząc załzawionem okiem pięknego jeźdźca.

Serduszko bolało ją bardzo, rumianą twarzyczkę powlókł cień smutku i niewysłowionej tęsknoty. Były to pierwsze troski, pierwsze serdeczne niepokoje pieszczonej jedynaczki, na której skinienie ulegał każdy, zacząwszy od rodziców.

Ona jednak tego nie przeczuwa, nie straszy jej przyszłość niepewna; ona w tej chwili smuci się tylko kilko godzinnem rozłączeniem z ukochanym. Przez tę jasnowłosą główkę, opartą o żelazne kraty ogrodu, nie przejdzie myśl, iż niedość jeszcze zostać narzeczoną, aby być



kochaną, iż nawet niedość słyszeć słowo „kocham!”  
aby mieć to przekonanie, tę pewność wielką, że razem  
z usty i serce mówiło, że w głębi duszy słowo to od  
dźwięk znalazło!

Dziewczyna kocha i wierzy, że jest kochaną...

Biedna dziewczyna!

Drogą ku alei Ujazdowskiej jechał elegancki  
jeździec, w którym z łatwością poznamy pana Gustawa.  
Na prawo i na lewo widniały wysmukłe topole, na  
kształt żołnierzy, pełniących przyboczną straż drogi.  
Snąc często tędy przejeżdżał piękny panicz na swym  
„folblucie,” bo koń niekierowany pewno kłusuje wśród  
zakrętów drogi.

Ścieżkami pola snują się wieśniacy, oglądając się  
z podziwem za eleganckim jeźdźcem. Ten ostatni, po  
grążony w myślach, z rodzajem widocznego znużenia  
i niechęci rozbiera przyszłość, a chwilami urywkowe  
zdania wyrrywają mu się na usta okraszone ciemnym  
wąsikiem.

Powiązawszy urywki te w całość, stworzy ćby można  
następujący monolog, którym pan narzeczony urozmai  
cał sobie jednostajność samotnej podróży.

— Geś!... czysta geś ta dziewczyna. Gdyby nie te  
przekłete długi, nigdy w życiu nie wiązałbym się z tą  
sentymentalną pasterką... A peine je respire! tak mię  
ta komedia zmęczyła! Zachciało się im jeszcze poure  
combler mon bonheur, zamieszkać całe lato za miastem,  
a ta mała przyczepiła się avec une obstination idiote,  
abym codziennie stawiał się dla patrzenia w jój zamglo  
ne oczy... ledwo się dziś uwolniłem pod pretekstem wa

żnego interesu w mieście! Qiel chien de métier być narzeczonym bogatej panny i potrzebować udawać miłość, bez której nie sposób dostać się do ojcowskiej szkatuły. Przynajmniej odetchnę dziś swobodnie, a po ślubie wynagrodzę sobie sownie wszystkie te piekielne męki, do których się dziś naginać muszę.

" I z temi pięknymi projektami, a z twarzą ożywioną na myśl przyszłych pohulanek za tak ciężko zapracowa

ne pieniądze, miły młodzieniec uderzył swego angielskiego wierzchowca, zmuszając go do szybszego biegu, a tem samem do prędszego dostania się do miasta.

W jednym z pięknych domów, stojących po prawej stronie Ujazdowskiej alei, otworzyło się cicho balkonowe okno na pierwszym piętrze i na kamienny ganek wysunęła się wysmukła postać kobieca, otulona w miękkie białe draperye jedwabnego szala.

Kobieta ta wsparła się o balustradę balkonu i wielkie czarne, marzące swe oczy, posłała w dal cienistej alei, w przeciwną stronę od miasta.

Pomimo, iż był to lipiec, od dni kilku panowały upały—wątlą postać kobiety przebiegał dreszcz febryczny, a biała delikatna jej ręka zaciskała silnie fałdy jasnego okrycia. Twarz miała drobną, zmęczoną i bladą. Oczy podkrążone sinemi obwódkami zdawały się skarżyć na jakieś ciężkie cierpienie, nurtujące tę młodą postać boleścią i kopiające przedwczesny grób dla tego acz bardzo pięknego, ale zmęczonego fizycznie i moralnie ciała.

Kobieta w milczeniu wsparła się o ramę drzwi i zdawała się czekać na coś lub na kogoś.

Na drodze wiodącej do miasta ukazało się kilka wozów z jarzynami, które skrzypiąc kołami, podążyły na targ piątkowy. Chwilami ukazywały się gromadki chłopiek z blaszankami mleka na plecach, a z pękami róż i jaśminu w ręku.

Gwarzyły sobie wesoło, stąpając bosemi nogami po

alejowym ostrym żwirze. Wszystkie były rumiane, wesołe i tak odmienne od tej okrytej jedwabiami damy, która swą bladością marmurową robiła wrażenie cza rownie pięknego, lecz martwego posągu.

Całe życie tej bladej kobiety koncentrowało się w oczach, a oczy te z dziwnym natężeniem śledziły alejowy gościniec.

Droga jednak była pustą zupełnie.

Kobieta z wyrazem nieokreślonego znużenia przy mknęła swe smutne oczy, i wsparta o ścianę, zdawała się gotować do dłuższego oczekiwania—na kogo? ona jedna zdawała się wiedzieć o tem.

O! wiedziała dobrze blada pani Matyllda, że o rannej porze wracać będzie od jasnowłosej narzeczonej piękny Gustaw, ideał, marzenie jej gorączkowych snów. Matyllda, umitrowane dziecko książęcej rodziny, wydana w dziecięcym prawie wieku za człowieka, który prócz znacznych kapitałów i linii kolei żelaznej, nie dał i nie mógł nic dać jej duszy i sercu, błąkała się wśród wspaniałych salonów mocarzy giełdowych, znękana, znużona, wykolejona ze sfery, w której niegdyś była.

Męża nie kochała nigdy, i nic dziwnego, że pomimo może najlepszych chęci, nigdy go kochać nie mogła. Człowiek płaskiego umysłu, zagłębiany w kombina

cyach giełdowych, w chwilach wolnych od tych zatrudnień admirujący baletnice i cyrkowe woltyżerki, czyż mógł zadowolić delikatną i poetyczną wyobraźnię młodej kobiety?

Złoto bankierskie ozłociło zczerniałą już i poszczerbioną nędzą mitrę książęcą, ale mitra ta ciążyła Matyldzie. Grube, prostackie złocenie chyliło jej smutne czoło z nieokreślonym znużeniem ku ziemi.

Nic nie brakowało jednak do pozornego szczęścia pani Matyldzie. Zbytek i przepych towarzyszyły jej na każdym kroku od wykwintnej angielskiej karety, od sali balowej, w której admirowano głośno blask brylantów i oczu pięknej pani bankierowej, aż do drzwi jej sypialni, poza której aksamitną portyera już od roku odgrywał się cichy dramat zwolna gasnącego życia, zbliżającego się tchnienia śmierci...

Matylda przeszła od roku zapadła ciężko na zdrowiu i odtąd żyła tylko sztucznie, jak kwiat podzwrotnikowy w oszklonej cieplarni umiejętnego hodowcy. A razem z gasnącym życiem budziło się w spokoju jej dotąd sercu uczucie gorące, silne, miłość ślepa, niemal fantastyczna. Rzecz się tak miała.

Na jakimś świetnym karnawałowym zebraniu, przy dźwięku rozmarzającego walca, dłoń Matyldy znalazła się nagle w dłoni mężczyzny, której namiętny uścisk płomiennie oblał jej białą szyję. Podniósłszy spuszczone oczy, napotkała czarne wielkie źrenice nakształt dwóch gwiazd... i odtąd, oprócz nich, prócz tych dwóch błędnych ogników, nie miała nic droższego na świecie. Szczęśliwy wybraniec (był nim nasz Gustaw) nie

opuścił tak pięknej sposobności, która mu w przyszłości obiecywała kilka chwil ponętnych, czarownych, słowem... romans z mężatką...

I bez skrupułu, bez wahania, zaczął roztaczać siatkę miłosnych słów i przyrzeczeń, które na bladą bankierowkę, aczkolwiek pochodzące z zimnego i wystygłego serca, działały jak lawa roztopiona, jak przebieg prądu elektrycznego.

Po zamienieniu paru bilecików, po kilku schadzkach tajemnych, Gustaw ostygł w swym sztucznym zapale

i bez ceremonii dał poznać Matyldzie swój przesyt i... znudzenie.

Kobieta stłumiła w głębi duszy żal i łzy, usunęła się bez scen i skargi...

Nie przestała go jednak kochać, o! nie! wcale, ale uważała miłość tę jak dziwnie radosną niespodziankę w smutnym swym życiu i z całą rezygnacją poddała się konieczności, zmuszającej ją pożegnać sen swój czarny... Spotykając się nieraz na balu lub w teatrze, witali się z obojętnością i lodowym uśmiechem. Był to jednak tylko pozór, naturalnie ze strony Matyldy. Blada jej twarz przy każdym spotkaniu stawała się jeszcze bledszą, a ręce kurczowym ruchem zaciskały koronkową chusteczkę...

Wkrótce piękny Gustaw zaręczył się z jedną z najbogatszych milionowych jedynaczek.

Wiadomość o zaręczynach przyjęła pani Matylda napozór z taką samą obojętnością, z jaką odchodząc z ostatniej schadzki, rzuciła swemu kochankowi: „że gnam!”

Tylko częściej teraz zjawiała się jednokonna karetka doktorska przed jej mieszkaniem, częściej widywano zapuszczone błękitne firanki w oknach sypialni bankierowej, a wewnątrz tej wykwintnej komnaty słyszano nieraz w nocy ostry i głuchy kaszel dogorywającej suchotnicy.

Mimo to Matyllda nie opuszczała żadnej sposobności, aby ujrzeć choć na chwilę Gustawa. I dziś właśnie w tym celu stoi na balkonie, drżąc cała od rannego chłodu.

Zaufana pokojówka Matyldy, która wczoraj wybrała się niby po truskawki do willi, gdzie przebywa przy

szła pani Gustawowa, uwiadomiła ją o rannym powrocie do miasta szczęśliwego narzeczonego.

Innej drogi niema, tędy jechać koniecznie musi.

Stoi więc blada pani i czeka.

Nagle, na ciemnym tle drzew widać wznoszący się tuman kurzu i słyszeć wyraźnie tętent kopyt końskich, wkrótce zaś już koń i jeździec ukazują się na drodze, teraz już są pod balkonem.

Matyllda wpatrzyła w Gustawa swoje wielkie, smutne, czarne oczy...

W sercu jego budzi się coś nakształt litości.

Przejeżdżając tuż około balkonu, chwytając wsuniętą w butonierę różę i rzuca purpurowy kwiatek bladej kobiecie... rzuca, jak jałmużnę żebrakowi.

Jednak Matyldzie zdaje się, że to przebłysk niewygasłego jeszcze ze wrszystkiem uczucia... Z wyrazem nieokreślonej radości przyciska do ust wronne listki kwiatu, na blade jej lica wykwita rumieniec, a Gustaw

jest już daleko!...

Niebieskawe, mdłe światło wpada przez szczelnie zasunięte firanki do wnętrza bogatej sypialni. Na łóżku wśród koronek i batystów spoczywa śpiąca postać kobieca, czarne włosy bogatą falą spływają na haftowane poduszki...

Pani bankierowa powróciwszy z balkonu, miała gwałtowny atak kaszlu, poczem zmęczona zasnęła. Głucha cisza panuje dokoła.

Na marmurowej płycie stoliczka bateria flaszeczek

o złożonych kokieteryjnie główkach. Smutne wojsko! nieudolna armia, postawiona jedynie od parady, niebędąca w stanie odeprzeć napaści wszechmocnego wroga—śmierci!...

Boczy prędzej, czy później, śmierć, ta sama, która wchodzi pod słomianą strzechę ubogiego chłopka, wejście i przez te złożone podwoje, uchyli aksamitnej portyery...

Czasem przecież wraca się ona z progu ubogiej chaty wieśniaczej, wzruszona potęgą prośby zapłakanej matki, lub wstrzymana bolesnym krzykiem dziecka, mającego stanąć nad przepaścią sieroctwa... Ale z tej sypialni nie wróci się zapewne, tu żadna prośba nie rozlegnie się na jej widok, nikt tu nie czuwa u wezgłowia.

Na marmurowej płycie stoliczka, między flaszeczkami o aptecznych etykietach, w srebrnym kubku uśmiecha się przecudna purpurowa róża. Stoi ona tuż przy łóżku — przy skroni śpiącej kobiety, śląc jej woń czarową.

Nagle uchylila się portyera zasłaniająca drzwi, znajdujące się w głębi; do pokoju wsunęła się postać mężka i mierzonym krokiem szła w kierunku łóżka. Był to mężczyzna mający lat około pięćdziesięciu, niskiego wzrostu, otyły, łysy, o grubych wargach jakby złożonych do cynicznego uśmiechu, izielonawych oczkach świdrujących z pod krzaczystych brwi. Sprawiał on wstrętne wrażenie. Był to bankier X..., mąż Matyldy.

Z obojętnością najwyższą spojrzął na śpiącą, postać chwilę, poczem wzruszywszy ramionami, odsunął się

do okna, uchylił błękitną draperyę i z kieszeni dobył malutkie safianowe pudełeczko.

Za pociśnięciem sprężyny podniosło się wieko pudełka i z tła ciemnego aksamitu trysnęły promienie. Bankier uśmiechnął się zadowolony i tłustą ręką pogładził rzadkie wyczernione faworyty.

Rzeczywiście, mąż Matyldy miał być z czego zadowolony...

Takie piękne grochy brylantowe!...

„Któż zdoła im się oprzeć!” — wykrzyknąćby można na nutę włoskiej piosenki Campana. Snać i przez łysą głowę grubego bankiera przemknęło to zdanie, bo z miną szczęśliwego zdobywcy schował pudełeczko do kieszeni i drobnym krokiem zmierzał ku wyjściu.

"Wtem wzrok jego padł na purpurowy kwiat, stojący niby na straży u wezglowia śpiącej kobiety.

Bankier zbliżył się cicho do marmurowego stolika... i po chwili róża znikła z sypialni Matyldy...

\*



\* \*

Była już godzina druga po południu, gdy jakiś wykwintny powóz zatrzymał się przed jednym z pierwszych hoteli warszawskich.

Z głębi eleganckiego faetonu wysiadł znany nam już pan bankier, który nieprzerwanie sapiąc, potoczył się po zasianych dywanem wschodach hotelowych. Przed jednym z luster umieszczonych na załomie schodów przystanął i spojrzął na siebie z zadowoleniem. W butonierze jasnego letniego żakietu miał wpiętą piękną purpurową różę.

Wkrótce wtoczył się pan bankier na kury tar z. Przed drzwiami numer zatrzymał się chwilę, sapnął, westchnął, i zapukawszy lekko, wszedł do wnętrza.

Znalazł się w saloniku hotelowym, umeblowanym po „hotelowemu,” to jest przystrojonym w urzędowy garnitur kryty brokatelą, lustro, szafę (!) i... nic więcej. Na prawo drzwi przymknięte prowadziły widocznie do dalszych pokoi.

Poza drzwiami słychać było szelest jedwabiów i kroki przydeptanych pantofli...

Bankier nadstawił ucha i sapnął.

Sapnięcie to widocznie usłyszane zostało w przyległym pokoju, bo z za drzwi zabrzmiało pytanie:

— A kto to znów wlaźł bez zastukania?

Bankier pogładził ręką faworyty.

— Stukałem, panno Floro! — odpowiedział z akcentem, silnie zdradzającym semickie pochodzenie — ale... co ja winien, co mnie pani nie słyszała!

— Czegóż pan chcesz? — pytała panna Flora, ukryta za drzwiami.

— No! co ja chcę? — powtórzył z uśmiechem bankier—ucałować rączki panny Flory i złożyć u jej stopek linaluchny prezencik, coby mnie wpisał do dobrych łask panny Flory.

— Co tam za prezent!—targowała się bogini — może bukiet... to sobie schowaj go dla kogo innego... albo daj żonie... ja tych śmieci już nie chcę.

Bankier szybko wyjął safianowe pudełeczko z kieszeni i różę z butoniery... oba grochy brylantowe zdjął z aksamitu i umieścił je wśród purpurowych listków kwiatu.

Błyszcząły cudownie w tym wonnym kielichu, niby dwie krople rosy srebrzystej.

Bankier uszczęśliwiony zbliżył się do drzwi nieprzyjaciółki kwiatów.

— Bukietu dziś nie mam — wyrzekł zwolna — ale spotkałem na mej drodze tak piękną różę, iż nie mogłem oprzeć się pokusie przyniesienia jej tobie, kochana panno Floro!

Przymknięte drzwi roztworzyły się z trzaskiem i w nich ukazała się okrągła i rumiana postać panny Flory. ?

— Póże? — zawołała gniewnie — różę mi pan przynosisz... i śmiesz mnie deranżować dla takiego głup... Dalsze sylaby uwięzły jej w gardle—oczy zaiskrzyły się i tłusta ręka wołytyzerki cyrkowej schwyciła szybko podawany kwiatek, który jeszcze szybciej rzucony został na konsolę. Za to brylanty zabłysnęły natych

miast w uszach panny Flory. Podarek bankierski  
wprawił ją w wyśmienity humor.  
Ująwszy jedwabny tren szlafroka, zaczęła wirować  
po pokoju, śpiewając na całe gardło oklepanego cyrko  
wego walca. Bankier stał na boku, oczekując cierpli  
wie podziękowania... a tymczasem śledził gorączkowym  
wzrokiem ruchy rudowłosej Flory, która tańcząc, czer  
wonawe kędziory rozpuściła na pulchne ramiona.  
Ale w dniu tym nie miało mu się szczęście...  
Skoro bowiem zapukał ktoś dwukrotnie do drzwi  
saloniku, Flora zatrzymała się w tańcu, i obróciwszy się  
do bankiera, wyrzekła z uprzejmą grzecznością.  
— Metr śpiewu przyszedł, zechciej pan zostawić  
nas samych... do widzenia, bankierze!... dziś w cyrku!  
I zanim oszołomiony bankier mógł zrozumieć, co

się z nim dzieje, muskularne ręce rudowłosej woltyżerki  
zmusiły go do znalezienia się na kurytarzu. Tuż przy  
drzwiach potknął się o młodego, wyniosłej postawy czło  
wieka... zapewne owego metra śpiewu, choć zdawał się  
bankierowi dziwnie podobny do hrabiego Gustawa, któ  
rego często dawniej widywał tańczącego z żoną na ba  
lach i zebraniach wieczornych...

Był to rzeczywiście Gustaw, szukający wytchnienia  
i rozrywki po trudach... przedślubnych, w objęciu i uści  
sku rudowłosej piękności cyrkowej.

Na samym wstępie Flora pochwaliła się przed nim  
świeżo otrzymanym podarkiem.

— Patrz pan! — wołała, potrząsając rudemi wło  
sami—jak piękne kolczyki dał mi ten głupi bankier...  
a jak poetycznie, wyobraź sobie — dodała, chwytając

poszarpaną już trochę różę—wyglądały one w tej róży!  
Poczem z dziecinną pustotą zbliżyła się do stojące  
go przed nią Gustawa, i przyczepiwszy ponsowy kwiatek  
do klapy jego surduta, rzekła:

— Dla mnie kolczyki... dla ciebie pudełko! Widzisz,  
jak cię Kocham!

Trzeci to raz w ciągu dnia jednego ponsowa róża  
' z zamiejskiej willi usłyszała słowo „kocham,” kobiece  
mi wymówione usty. Słówko to szepnęła najpierw ja  
snowłosa dziewczyna, oddając rozkwitłą kwiatów królo  
wę odjeżdżającemu narzeczonemu; drugi raz wymówiły  
je blade usta Matyldy, tulącej do siebie purpurowy  
kwiat, rzucony jej na balkon przez dawnego kochanka.  
Poraż trzeci usłyszała róża to słowo „kocham” w salo  
niku hotelowym, gdy rudowłosa woltyżerka, śmiejąc się  
śmiechem bachantki, wpinała nadwiedły kwiat w tę sa  
Zapolska.— Akwarelle.

nie butoniere, w którą włożyły go drżące rączki tęsknią  
cej narzeczonej.

Róża na słowa miłosne Adelki zdawała się płonąc  
rumieńcem dziewczęcym; słysząc szept bankierowej, po  
chyliła swe dumne czoło, wstydzając się miłości karygo  
dnej, która tak namiętne a niedozwolone słowo wyciska  
ła na usta bladej Matyldy... pod wpływem zaś zmysło  
wej nuty, drgającej w wyznaniu woltyżerki o brylanto  
wych bankierskich kolczykach, biedna róża, zgnębiona,  
zwinęła zwiędłe płatki swego królewskiego stroju i smu  
tno odbijała na ciemnym tle stroju eleganckiego pani  
cza.

Tymczasem wesoła rozmowa i pusty śmiech rozlegał

się wśród nagich ścian hotelowego saloniku.

Gustaw odzyskał życie, werwę, znalazł nawet prze-  
błyski namiętych uniesień, słowem, znalazł się w swoim  
żywiolu...

Późno wieczór...

U żelaznej bramy zamiejskiego ogrodu stoi z głó-  
wką opartą na okratowaniu młocie jasnowłose dzie-  
wezątko. Oczy jej niespokojnie śledzą czarną pustą  
przestrzeń, uszy z wytężeniem chwytają najśłabszy tę-  
tent lub odgłos czyich kroków.

Wśród ciszy nocnej rozległ się nagle tętent pędzą-  
cego wierzchowca; serduszko oczekującej drgnęło.

— To on! to on! powraca!...

Za chwilę rumak wraz z jeźdźcem już są przed bra-

mą. Gustaw zeskakuje z konia, radosny głosik narze-  
czonej wita go z nietajonem szczęściem.

— Czekałam już od godziny — mówi dziewczyna,  
idąc obok narzeczonego aleją ogrodową do domu—cze-  
kałam, stojąc u bramy... i smutno mi było, że cię tak  
długo nie widać, ale teraz już minął smutek...

I z ufnością przytuliła główkę do ramienia młodego  
człowieka. Dochodzili do domu; jasno oświetlone okna  
wspaniałej willi słały promienie światła na ciemną mu-  
rawę ogrodu.

Zaręczona para podeszła w tej chwili pod jedno  
z tych wielkich gotyckich okien. Adelka podniosła ro-  
zmarzone oczy na piękną postać ukochanego, a oczy jej  
dojrzały purpurowy, smutno pochylony kwiat w buto-  
nierze.

— O! to moja różyczka!—zawołała radośnie —jak

to dobrze, że nie opuszczała cię dzień cały; widzę teraz,  
że mnie szczerze kochasz... rano wątpiłam trochę.  
Róża mogłaby coś o tem powiedzieć, jednak milczała.  
Szkoda, iż Bóg strojąc kwiaty w kolory tęczy, nie  
dał im mowy...  
Biedna dziewczyno!

## BUKIET KAMELIJ.

Przestańcie panowie, bo się źle bawicie —  
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.  
Panno Maryo! proszę złożyć robotę i pójść za  
tym człowiekiem; zdaje się, że pomoc panny potrze-  
bną będzie przy włożeniu sukni.  
Na to wezwanie powstaje młode i wysmukłe dzie-  
wcze i składa na okrągłym stole trzymaną w rękę ro-  
botę. Milcząc, zdejmuje z kołka swój wytarty płaszczyk  
i gotuje się do wyjścia.  
Koleżanki spoglądają na nią z zazdrością.  
Taka piękna sposobność rzadko się przytrafia.  
Szczęśliwa ta Marya, idzie do bogatej pani, zobaczy  
salony, dostanie może guldena, a może dwa.  
I ciche szepty przebiegają w powietrzu, zazdrosne  
spojrzenia przeszywają wątlą postać wychodzącego

dziewczęcia. Ona jednak zdaje się być obojętną na doznane szczęście—twarz jej niewzruszona jak marmury, blada jak gładka wód powierzchnia. Ze schyloną głową wychodzi z pracowni pełnej gwaru robotnic i turkotu maszyn.

Na ulicy hałas i wrzawa nieokreślona. Nic dziwne

go! Dziś wigilia Nowego" Roku. Za kilka godzin tajemniczo uśmiechnięte dziecię strąci swą różową nóżką, w grób przeszłości zgrzybiałego starca, który zstępuje do swej mogiły obarczony łzami biedaków i uśmiechem bogaczy. Setki ludzi uwija się po ulicy. Potracają się, popychają nawzajem. Każdemu ciasno, spieszno, a przede wszystkim zimno. Oj, bo zimna ta noc grudniowa! Rozpostarła swój mroźny płaszcz brylantami gwiazd przetykany, i lodowym swym uściskiem przenika w głąb' człowieka. Mimo to miryady gwiazd płoną nie wydając światła. Lśnią się i migocą jak oczy kokietki. Wystawy sklepowe nęcą tłumy kobiet jaskrawymi barwy, które zdają się przelewać z poza gładkich jasnych szyb. Fale tarlatanu łączą się ze zwojami atłasu. Z góry biegnie gazowa kaskada, a na jej łonie toną pęki piór strusich i sztucznych kwiatów wiązanek. Kobiety stoją i patrzą... patrzą długo — potem z westchnieniem odchodzą, kryjąc zasmucone twarzyczki w puszyste futrzane kołnierze. Taka to już natura nas kobiet. Widok gałganka, którego posiąść nam nie można, ścisła nam serce niewypowiedzianym smutkiem. Wszystkieśmy jednakowe! A przecież nie jednakowe. Biedna szwaczka idąca w tej chwili wśród krążącego tłumu nie staje przed wy

stawami sklepów, nie smuci jej widok srebrnej gazy. Jakże blada i smutna ta drobna twarzyczka przy świetle gazowych latarni. Wielkie czarne oczy patrzą przed siebie kawo, sieroco. Postać wątła, drobna, otulona wytartym płaszczykiem, dąży szybko wśród ciepło ubranych i wesołych kobiet. Śpieszy się—wie, że i tak spóźniono robotę; suknia balowa, suknia wykończona na bal Sylwestrowski! suknia dla pani Henryki, tej czaru

jącej brunetki, która z szelestem jedwabów i woniąhjołów wbiega do pracowni pytając o żurnale. Suknia ta to istne cacko, pomysł niezmiernie oryginalny, trzy zęby w trenie — coś, co zrobi sensację i przewrót w krainie mody.

Szwaczka wie dobrze, jak wielka misya przypadła jej w udziale. Śpieszy sięale nie ma siły. Ślizgawica straszna, konie padają jak muchy, ktoś podobno nogę złamał—ale to wyrobnik, więc się nie liczy. Marya co chwila potrącana przez przechodniów, chwieje się i potyka. Lokaj, niosący suknię w pudełku, mruczy i gniewa się. Słusznie—on przecież zna służbę i wie, że jasna pani czekać nie lubi.

Marya biegnie coraz prędzej. Wełnianą chusteczką otuliła głowę. Delikatne ciemne włosy wiją się po białej skroni. Pomiedzy ciemnymi brwiami zarysowała się smutna zmarszczka, towarzysząca niedoli i nędzy. Pęce, drobne, małe rączęta pokłute igłą i zsiniałe od mrozu, wsunęła w kieszenie paltocika, pragnąc choć w ten sposób ochronić się od zimna. Od chwili do chwili straszny kaszel wstrząsa nią całą — kaszel ten biegnie w przestworze jak skarga sieroca i kona zagłu



szony turkotem karet wiozących modną damę, lub do rożki unoszącej ufryzowanego goga.

Nagle dziewczyna się zatrzymuje, a oczy jej patrzą nieruchomo na jedne z wystaw sklepowych. Oblane strugą gazu śmieją się żywe kwiaty, nęcące oczy przechodnia. Masy zieloności tworzą ścianę, poza którą dostrzedz jednak można, co się dzieje wewnątrz sklepu. Dziewczyna stoi wciąż i patrzy. Usta jej drżą od bezmiernego wzruszenia. Cóż ona jednak widzi tak nie zwykłego? Czy tę palmę wysmukłą, wznoszącą swą kro-

lewską koronę? czy tę równiankę fijołków, ciemną, niemal cmentarną? może wreszcie te przepyszne azalie przemówiły do tej młodej a przedwcześnie zwiędłej istoty? Może ten profil kupczyka z włosami cudownie rozdzielonymi z przodu? Ach! nie — jest tam w sklepie ktoś; uśmiechnięty jak Apollo, ale Apollo ubrany w białe futerko i białą jedwabną chusteczkę na szyi. Jakiż piękny! Ma błękitne oczy i ciemne włosy, które poprawia białą wypieszczoną ręką. Ciemny wąs zdobi koralowe usta. Bardzo, ale to bardzo piękny mężczyzna. Stoi przed kontuarem i trzyma w ręku bukiet kamelij. Cudowny bukiet! Na białym tle rzucona wiązanka purpurowych kwiatów czerwieni się, jak na białej twarzy młodocy czerwieni się ust korale. Piękny pan uśmiecha się, widocznie zadowolony—kupczyk kłania się nisko. Teraz pan bierze w rękę bukiet i z takim jemniczym uśmieszkiem wsuwa między białe kwiaty małą karteczkę. Karteczka gładka, różowa jak płatek róży—poczemmówi jeszcze do nachylonego subiekta. Zapewne daje adres, podług którego bukiet ma być od

niesiony. Subiekt zapisuje i zapewnia o natychmiastowym spełnieniu danego zlecenia. Uśmiechnięty pan wychodzi ze sklepu, nucąc walca z „Wesołej wojny.” Na gładkiej piosenki i uśmiechu zamiera mu na ustach. Jakaś drobna zsiniała rączka dotknęła jego eleganckiego futra, jakiś drżący smutny głosik wymawia jego imię.

„W blasku gazowych latarni dostrzega dwoje ciemnych, smutnych źrenic, wpatrzonych w twarz jego ze łzawym wyrzutem. To biedna szwaczka szepce zbladłymi ustami:

— To ty, Adamie? to ty!

Piękny Adam śnić nierad z tego spotkania. Pastryki na dziewczynę nieprzychylnie, nawet z ukrytą złością.

— Nie mówi nic, ręka wszakże nerwowym ruchem poprawia jedwabny fular owinięty wokoło szyi.

— Tak dawno cię nie widziałam—mówi dalej dziewczyna, a słowa jej więzną w gardle, w oczach błyszczą łzy, a na twarz występują gorączkowe rumieńce.

Piękny pan czuje że coś odpowiedzieć musi.

— Mam tyle zajęć...—zaczyna, ale urywa nagle, widząc bolesny uśmiech na twarzy dziewczyny.

Ona wie dobrze, jakie to zajęcie nie dozwala widywać jej więcej tego, którego tak gorąco kochała. Nie skarży się jednak, patrzy tylko błagalnie w błękitne oczy stojące przed nią mężczyzny. Od dwóch miesięcy nie widziała go wcale, a tęskniła tak bardzo!

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem — prosi, a głos jej drży i rwie się chwilowo. — Ty wiesz... jestem sama na świecie... nie mam nikogo prócz ciebie; za kilka godzin Nowy Rok... wszyscy przywitają go w rodzinnym kole... bądź ty przynajmniej przy mnie... ja już tyle

cierpiałam...

Piękny pan patrzy na nią i milczy. Podczas gdy jej serce rwie się w kawałki, on oblicza ubytek jej wdzięków—dziwi się zapadłym ustom. Jestże to ta sama Marynia, którą odprowadzał przed kilkoma miesiącami cło domu? Świeża, rumiana, tuliła się do jego ramienia, śmiejąc się wesoło. Wtedy co innego! wtedy pociągała urokiem rozkwitającej róży —dziś, czego chce ten szkielet kaszlący, zatrzymujący go na środku ulicy? Ona jednak nie zaprzestaje swej prośby.

— Przyjdź Adamie!... przyjdź późnym wieczorem, jak dawniej... pamiętasz, wtedy gdyś mnie nazywał... jedyną.

Młody człowiek się niecierpliwi. Zadługo trwa ta

scena, trzeba ją zakończyć. Przyrzeka więc, że przyjdzie — o! przyjdzie z pewnością. Uśmiecha się i znika w tłumie. Maryja chwilę patrzy za nim, potem udaje się w dalszą drogę. Ale jakaż szczęśliwa przemiana rozjaśnia czoło dziewczyny! Policzki płoną purpurowym rumieńcem, a oczy błyszczą fosforycznym blaskiem. On przyjdzie!... przyjdzie!... Cierpienia zapomniane! tęsknota uleciało! — dziewczę nie smuci się więcej, on przyjdzie!... przyjdzie niedługo!... Śpieszy się teraz, pragnie mieć skrzydła sokoła; niebo jaśniejsze i gwiazdy świetniej płoną!... Ludzie ją popychają, ale ona nie czuje tego! Niedługo wszakże i ona będzie szczęśliwą... Fryzyer upina ostatni pukielek włosów, jeszcze parę tuzinów szpileczek zwanych „inoisibles," a arcydzieło kunsztu fryzyerskiego skończone. Pani Henryka przegląda się w lustrze z zadowoleniem. Trudno być pię

kniejszą! Tylko ta suknia!

Nic przynoszą jej do tej pory — a godzina dziesiąta dawno już wybiła. Nieznośna ta krawcowa!

Nie dlatego przecież, ażeby pani Henryce spieszo było do sali balowej—ale radaby już zobaczyć, jak wygląda ta suknia z trzyzębowym trenem. Wśród bezsennej nocy piękna jej główka stworzyła ten tren trzyzębowy — niespokojna jest, jaki efekt sprawi strój podobny. Fryzyer składa żelazka i z dyskretnym uśmiechem wysuwa się z pokoju. Henryka zostaje sama i patrzy z zadowoleniem w stojące przed nią zwierciadło. Pięknaż to brunetka, zdrowa, rumiana, pełna wo-

ni i blasku! Alabastrowe ramiona toną w puchu koronek, pod delikatną skórą krąży siatka błękitnych żyłek, nozdrza poruszają się lekko. Wśród przepychu otoczenia, purpury aksamitnych portyer, marmurów i wschodnich miękkich dywanów, czaruje powabem odaliski, podnosząc dumnie strojną w hebanowe sploty głowę. Jest piękną i wie o tem.

Ta cudownie zarysowana głowa wykwita z białych ramion, jak kwiat lotusu z alabastrowej urny. Świece, płonące w kandelabrach, rzucają migotliwe blaski na profil jej twarzy, i tańcząc, ślizgają się po konturach szyi. Cacko—nie kobieta!...

Para ciemnych, sztucznie rozszerzonych źrenic patrzy wesoło, pogodnie i błyszczący zdrowem, jasnym światłem.

Musi jej być wesoło, przyjemnie na świecie. Nagle otwierają się drzwi. Pstrokato ubrana, zwiędła i zaszuszona panna ukazuje w nich głowę strojną w ponsowe

kokardy.

— Jaśnie pani! suknia!

Zrywa się jasna pani, jak za dotknięciem iskry elektrycznej — niecierpliwość widnieje w jej całej postaci... Przez uchylone drzwi wsuwa się okazała postać lokaja, który z wielkim szacunkiem stawia podłużne pudełko na ziemi. Za nim cicho, nieśmiało wchodzi Marya i staje przy drzwiach, patrząc z uwielbieniem na cudnie piękną kobietę, tonącą w zwojach muślinu i koronek.

Panna służąca wyjmuje suknię. Okrzyk uwielbienia wyrywa się z piersi jasnej pani.

Ta suknia—to arcydzieło! nie, ta suknia to marzenie!

I piękna pani płonie niecierpliwością — chce się ubrać, ubrać jaknajprędzej i jechać, jechać na bal!

Jakże piękna teraz w tej iście królewskiej szacie!

Olbrzymi tren szeleści tym miłym chrzęstem czystego jedwabiu. Żadna sonata nie brzmi tak pięknie, jak szelest jedwabnego trenu... Błada dziewczyna w wytartym paltociku przykłęka na ziemi i skostniałymi od zimna rękami przypina nieposłuszne fałdy, które nie chcą spaść klasyczną draperyą ku ziemi. I tak znajdują się obok siebie dwie kobiety, obie młode, obie piękne, obie stworzone do miłości i szczęścia. Nierównie jednak los rozdzielił swe uśmiechy pomiędzy dwie te istoty. Oto jedna pełna wdzięku i świeżości wznosi głowę, jak rozkwitła kwiatów królowa — druga blada i zwiędła chyli się ku ziemi, jak polny kwiatek kosą ścięty. Wszakże biedna szwaczka nie zazdrości tej pięknej pani. Dziś ona równie szczęśliwa — widziała go, mówiła z nim!

Za godzinę będzie w jego objęciu—powie mu ile wycierpiała, wypowiada się, poskarży, zapomni o tych czarnych, zdała od niego spędzonych godzinach. Nagle suchy kaszel rozrywa jej piersi—kaszel ten dźwięczy w tej ciepłej wonnej komnacie, jak gość nieproszony. Bazi wobec tej woni róż, psuje harmonię — istny to dysonans w dobranym akordzie. Piękna pani obraca głowę. — Czy dawno tak kaszle? — pyta, zapinając perły na białej szyi.

— Od dwóch miesięcy — odpowiada schylona u jej stóp dziewczyna.

— Czemuż się nie leczy?—pyta znów, przysypując lekko pudrem zbyt rumiane policzki.

Dziewczyna wszakże nie odpowiada, uśmiecha się tylko boleśnie. Za rubli miesięcznej płacy żyć, mie

szkać, ubrać się! A ta piękna pani pyta: „czemu się nie leczy?”

Nagle drzwi się otwierają i ta sama pstrokata pan na służąca wsuwa się do pokoju i podchodzi do jasnej pani. Z układnym uśmiezkiem podaje bukiet złożony z białych kamelij z wiązanka purpurowych kwiatów. Henryka obojętnie sięga po konwalie, widocznie czekała na nie i pewną była ich przybycia. Panna służąca wychodzi i dwie kobiety znów pozostają same. Szwaczka wszakże podniosła głowę i płonącymi źrenicami przypatruje się bukietowi. Dwie plamy gorączkowe rysują się na jej policzkach. Ręka drży, rozsypując deszcz drobnych szpilek na białych falach jedwabnego trenu. Pani Henryka powoli, ruchem pieszczonój kotki porusza drobne paluszki po listkach białych kwiatów.

Szuka czegoś. Znalazła!... Teraz nachylona czyta z uśmiechem maluchną różową karteczkę i kręci kształtną główką. Poczem wzrusza ramionami i wyciąga rękę wraz z kartką do płonącej świecy. Żółtawy ognek łączy się z miłosnym bilecikiem i tańczy po brzegach różowego papieru z jakąś ironiczną przekorą. Piękna pani rzuca na ziemię płonący bilecik i zaczyna wciągać długie białe rękawiczki.

W tej chwili szwaczka wyciąga rękę i chwyta palącą się ćwiartkę w drżące ze wzruszenia palce. Kryje ocalony papier w dłoni i wstaje z wolna z ziemi. Ubranie skończone, arcydzieło złożone z fal jedwabiu, obłoków welutyny, koronek i woni fijołków, a nazwane kobiecią, może jechać na bal po berło i królewską koronę. Pani Henryka przegląda się raz jeszcze w lustrze, uśmiecha, pudruje, ściera puder i znów pudruje—nako

niec okrywa ramiona ciepłą zarzutką i kieruje się ku wyjściu. Nagle wzrok jej pada na stojącą na boku szwaczkę. Powraca i wyjmuje z szufladki szeleszczący papier.

\_ Niech się zabawi — dodaje przez ukarminowane usta — niech się zabawi!

Tren znika z szelestem za purpurową portyera.

W salonie czeka na Henrykę druga lalka, nazwana przyjaciółką. Obie schodzą po dywanem wyłożonych wschodach, prowadząc we francuzkim języku głośną ożywioną rozmowę. Bukiet kamelij bielejący w dłoni Henryki dostarcza widocznie tematu, gdyż obie przypatrują się śnieżnym kwiatom, śmiejąc się i wzruszając ramionami. Białe kwiaty więdną pod wpływem tych słów mro

zących lodowatym chłodem ironii. Chylą swe płatki zawstydzone dziwnie jakoś. "Widocznie rozumieją francuzki język i wiedzą znaczenie ironicznych słówek, rzucających przez tę dwie wonne damy, wsiadające do karety.

Równocześnie z bramy wybiega drobna postać niewieścia, otulona w wytarty płaszczyk i wreńnianą chusteczkę. Przeciska się przez tłumy przechodniów i wybiega na rynek. Tu staje pod jedną z latarni gazowych i opiera zmęczoną głowę o słupek żelazny. Po chwili podnosi do oczów zmięty różowy papier z nadpalonemi brzegami.

W bladawem świetle latarni czyta nieszczęśliwa dziewczyna następujące słowa:

„Jedyna! dziś na balu — przywitamy wesoło Rok Nowy! Do widzenia! Twój Adam."

Jej Adam!...

Cichy, stłumiony jęk wydziera się z piersi dziewczyny. Nie omyliła się... poznała jego pismo. Ta piękna pani... odjeżdżając, rzuciła stary przedarty banknot i powiedziała: „niech się zabawi"niepomna, że żadna moneta, żadne skarby świata nie zdołają opłacić krzywdy, jaką bezwiednie wyrządziła tej bladej, zziębniętej dziewczynie.

Teraz biedna szwaczka stoi naprzeciw oświetlonych okien ratusza i patrzy w te smugi światła, przedzierające się przez purpurowe zasłony.

Szeregi karet jadą bezustannie. Ufryzowane głowy, bezmyślne twarzyczki mijają się w świetle latarni.



Dziewczyna patrzy załzawionemi oczami i zsiniała od zimna ręką zaciska kurczowo węzeł wełnianej chustki. Ona cierpi! cierpi bardzo, sama jedna, opuszczona wśród tego hałasu i gwaru. W piersiach ją pali jakiś ogień; zdaje się jej, że purpurowy blask okien balowej sali zranił ją i sprawia ból dotkliwy.

Nie wróci do domu!

Po co? tam zimno i smutno, a on nie przyjdzie... w tej chwili wesoło wita Rok Nowy!...

I biedna dziewczyna stoi tak długo, długo, skamieniała z bólu, z zaciśniętymi wargami—bez łzy, bez jęku, bez skargi serdecznej. Dźwięk zegaru budzi ją z tego bolesnego odrętwienia.

Dwunasta!...

Z ciemnych szafirów nieba zstępuje Nowy Rok, tajemniczy, pełen tych samych trosk powszednich i rzadkich uśmiechów, łez, trumien, balowej muzyki i świeżych mogił. A mimo to ludzie z upragnieniem wyciągają ku niemu dłonie.

Figlarne pacholę jednak niesie ze sobą, wszystkie cierpienia, kokieterię kobiet, zdrady mężczyzn, skąpstwo bogaczy, pychę wyższych urzędników, nieuctwo i zarozumiałość recenzentów kuryerkowych—nic, nic mu nie brakuje. Ach! prawda! zapomniało wziąć ze sobą trochę spokoju i miłości bliźniego. Spokój zgubiło na pobliskim cmentarzu. Miłość bliźniego zabrały mu szare siostry miłosierdzia i dotąd nie oddały.

Szkoda! takby się ta miłość przydała w tym roku.

Dwunasta!...

"W sali ratuszowej wśród światła poAvodzi różno

barwne koło zatacza taneczne kręgi. Mazur! mazur z u par ki cci się, zwija jak olbrzymi czarny wąż, to pazami, rubinami i turkusami przetykany. Pozłoci ste wachlarze chłodzą zarumienione twarzyczki, ala bastrowe ręce wdzięcznym ruchem splatają się na czarnem tle fraków.

Wesoło!... bardzo wesoło!...

Na czele przoduje para młodych ludzi, zwracająca ogólną uwagę swym królewskim wdziękiem. Ona—strojna, czarnowłosa, obłana falami białego jedwabiu, szeleści trójzębowym trenem; on—młody, elegancki. ciemnych wąsikach, patrzy w nią z zachwytem szepce do różowego ucha jakieś ciche słówka.

Tańcem i uśmiechem witają Rok Nowy w tej balowej sali, pełnej woni i tanów mazura. Piękni, młodzi, bogaci... Cóż mogą jeszcze chcieć?...

Tymczasem na ulicy stoi ciągle blade dziewczę i patrzy w okna balowej sali. Dla niej Rok Nowy nie miał ani łzy, któraby jej ulgę w cierpieniu sprawiła.

Natomiast, widząc ją tak biedną, tak nieszczęśliwą.

obiecuje Rok Nowy zawieść ją na ten poblizki cmentarz, gdzie niebacznie zgubił spokój wieczny. Da jej żółtą, świeżą mogiłę, a cmentarna brzoza szumem swym do snu ją ukołysze...

Redzie jej tam ciepło, cicho, spokojnie; wszak prawda, piękni panowie?...

## GDYBYŚ OŻYŁA...

Kochałem ją szalenie.

Bo jakże nie miałem kochać tej cudnej głowy, za rysowanej jak senne widziadło wśród mrocznego mego pokoju? Stała ona, biała i piękna, jak Wenera wykwiła z piany morskiej. Kochałem jej szyję łabędzią i ramiona klasyczne. Tulilem miłośnicie usta do tych warg wpółotwartych, na których śmierć zdała się zakląć tysiące obietnic i przysiąg spokojnej miłości. Po dziwiałem ten szlachetny owal twarzy i wykrój brody, rzeźbionej, zda się, dłutem Praksytelesa. Miała ona w swej twarzy powagę królewskiej Zeusa małżonki i słodycz gołębią Afrodyty greckiej. Gdym spojrzał na brew lekko ściągniętą i na jej czoło myślące, tom sądził, że patrzę na opiekuńcze bóstwo Aten. Całą poezję dawnej mitologii greckiej zakłęła w sobie ta moja biała, ta jasna, nadziemską pięknnością promienna bogini. Stała przede mną jak ucieleśnione piękno, jak melodia harmonijna, schwytna w powietrzu i związana zaklęciem miłosnym. Wspólnaga, wyniosła, a tak

czysta, szeptała mi do ucha dawno pochwywane baśnie,  
z którymi spała pod ziemią lat tyle!...

Poszła do swej mogiły wtedy jeszcze, gdy baśnie te  
owijały jej ziemię rodzinną; zrodziła się pod tchnieniem  
rymowanej pieśni i zabrała w białą pierś swoje melo-  
dyjne jej słowa. Zasnęła kołysana rytmem zasłysza-  
nym na ateńskiej Agorze i wrzęła ze sobą w noc wie-  
czną: zadumę i tęsknotę dźwięczącą w pieśni starego  
rapsoda. Pieśń ta musiała mieć w sobie grozę bitwy,  
rozpacz matki, miłość dziewczęcą i cudną o bogach le-  
gendę, bo wszystko to zamknęła w twarzy swojej moja  
uśpiona, moja biała, którą pragnę obudzić, choćby ko-  
sztem życia całego.

Kto wie, o czymby szeptały te milczące usta! Kto  
wie, i]e walk, miłości i jakie skarby poezyi wysypałyby  
się jak sznur pereł z tych warg wpółotwartych! Może  
to harda Dorejczyków małżonka, lub srogięgo anakta  
kochanka!... "Wyszedł jej ukochany przeciw Megaryj-  
czykom, a ona stoi na wieży nad bramą i nie krzyczy,  
jak jej towarzyszki, na widok chwilowego popłochu  
wśród swoich. Stoi milcząca, silna, niestrwożona, ufna  
w opiekę modrookiej Ateny i w męztwo swrych rodaków.  
Ona wie, że gdzie czuwa mądra bogini, a walczą takie  
ramiona, jak jej kochanka, zwycięztwo musi być po ich  
stronie, a trofea należą do nich, a nie do najeźdźników.  
Stoi i czeka rychłoli zwyciężeni wyślą Reryksa,  
a gdy ten wejdzie z laską na Akropole, — rozjaśni brew  
ściągniętą i podniesie jeszcze wyżej głowę. O tak! Jej  
ukochany nie robi wstydu swej wybranej. Gdyby na-  
wet legł wśród walki, ona pierwsza podpali stos, na któ-  
rym drogi trup będzie spoczywać. Rozedrze dla zwy-  
czaju szatę i zaśpiewa pieśń żałobną... Wie przecież,

że dusza zmarłego poszła w Hadesu ciemnice i czeka tam na nią, by połączyć się z ukochaną na wieki. Czeka wszakże napróżno, bo oto za jakąś przewinę bogowie zaklęli jej duszę w marmury i kazali spać wieki całe pod zieloną mogiłą. Znalaziono ją pewnego słonecznego ranka głęboko w ziemi ukrytą. Gdy robotnicy, kopiący studnię, zamiast wody natrafili na tę białą uśpioną kobietę,—przerazili się, sądząc, że znaleźli trupa przed kilku dniami zamordowanej dziewczyny. Gdy ją wydobyli na wierzch, zdumiali się nad tą nieskalaną pięknnością, co błyszczała im w promieniach słońca, jak nadziemskie zjawisko. Później, po wielu latach, nabyłem ją od handlarza starożytności, który suwając ze schłemi palcami po jej gładkich ramionach, wydawał się być świętokradcą i Judaszem sprzedającym bóstwo za trzydzieści srebrników.

Pudowłosey handlarz dzieł sztuki twierdził, że posąg ten wykopano wśród ruin, że jednak zdania znawców są podzielone. Jedni mówią coś o Fidyaszu, drudzy domyślają się, że piękna ta kobieta zrodziła się pod dłutem innego rzeźbiarza.

Nie odpowiadałem staremu lisowi, ale w głębi duszy mam to przekonanie, że ona żyła, żyła tak jak ja, jak wszyscy ludzie, tylko zaklęciem bogów zmuszona milczy i milczy od wieków.

Ty nie jesteś Herą, Artemidą, Hestią lub Afrodytą—tyś kobietą jak inne, ale od bogiń wzięłaś pięknosc i harmonię kształtów.

Tyś jest uzmysłowaniem ideału, uplastycznieniem niepochwytneho marzenia; tyś jest wcieleniem piękna, które znikło i nie chce do nas powrócić...

Zapłaciłem, ile chciał za ciebie ten Judasz rudowłosey

i uciekłem z mym skarbem, by patrzeć na to piękno  
i żyć entuzjazmem rozkosznym, szalonym!

Tyś dziś tylko posągiem białym, zimnym, jasnym  
jak gwiazda poranna, ale tyś posągiem dla innych; dla  
mnie tyś kobietą w letargu... tyś tylko uśpiona!

Gdybyś nie miała na sobie greckiego piętna, gdyby  
nie ta pierś bachantki i nie draperya Artemidy, przy  
sięgnąłbym, żeś jest córką Jaira i rzekłbym jak Chrystus:  
„Ona nie umarła, ale śpi tylko.” Stoisz przede mną  
w bladeni świetle lampy, prosta jak kolumna jońska,  
uwieńczona łamanymi liniami w puklu skręconych wło  
sów.

Gdybyś ożyła!...

Jam dziś prawie starzec, złamany burzą życia i zne  
kany kolejną losu. Ciało me młode, a twarz gładka bez  
jednej zmarszczki, ale serce mam stare, wyschnięte  
i smutne bez miary. Znałem wiele kobiet, a nawet ko  
chałem niektóre. Lecz żadna nie była wyśnioną... Ko  
chałem, bom musiał kogokolwiek kochać...

Dziś nie kocham nikogo prócz tej milczącej, co z ta  
jemnicą przedwiekową weszła do mej samotni i stoi  
przede mną milcząca — niewzruszona...

Gdybyś ożyła!...

Z ust twych usłyszałbym w pośród nocnej ciszy mity  
i klechdy ludowe. Mówiłabyś mi baśnie o Dedalu,  
o Jonie, królowie Scylli, która z miłości dla Minosa  
własnego zabiła ojca. A może usiadłszy u stóp moich,  
opowiadałabyś mi, jak dzieckiem rzucona na ulicę, rosłaś  
wśród nieszczęść i wzgardy, aż pięknnością swoją wzbijaś  
się ponad tłum i doszłaś zaszczytów...

Dokoła mnie cisza — ty milczysz dumna i nieu

błagana, a ja patrzę wciąż w twe białe kształty i szepczę tylko:

„Gdybyś ożyła!”

Gdybyś ty mogła wiedzieć, ile miłości i szczęścia czeka cię po przebudzeniu, jak pragnę twą duszę, uśpioną przez tyle wieków, poprowadzić przez skarby czasów późniejszych i roztoczyć przed tobą cały zasób zdobyczy, wydartych naturze przez rozum naszych mędrców... Ty będziesz mi mówić o geniuszu, co świecił nad ziemią Hellenów, ja wprowadzę cię w świat inny, w świat pracy i olbrzymiej wiedzy, a twe myślące czoło rozjaśnię widokiem plonów naszego rozumu.

Omijać będę złe lub ciemne plamy teraźniejszego świata, pokażę ci jego jasne i pożyteczne strony, a gdy po takiej całodziennej wycieczce zapragnę odpocząć — ty, jak Beatrycze, zawiedziesz mnie w kraj pieśni i do skonałego piękna. Będziemy szczęśliwi...

Jeszcze milczysz? Niewzruszona, smutna, niebaczna na me prośby i ten wzrok wymowny, który podnoszę do ciebie. Słuchaj! Ty nie wiesz, dlaczego ja pragnę twego przebudzenia. Dziwnem ci się wydaje, że pragnę dla ciebie życia, gdy tyle żywych kobiet przechodzi w tej chwili poci oknami mego mieszkania. Ty nie rozumiesz, dlaczego ja pragnę twej pieśni, gdy o kilkadziesiąt kroków ode mnie skarży się Małgorzata Gounoda, lub drży w powietrzu „Miserere” Verdiego. Zdziwiono na przypominasz sobie powiewne postacie kobiece, strojone w szaty balowe, których fotografie drzemią w pluszowych albumach.

— Masz tyle innych uśmiechniętych kobiet — po co

budzisz mnie z rannego milczenia? Pragniesz usłyszeć  
mowę moją! Szalony! Tyle różanych ust szepce w twe

ucho słowa miłosne. Zwróć się w stronę, gdzie z obłó  
ków błękitnego lub różowego jedwabiu śmieją się do  
ciebie żywe, strojne damy. Podaj im ramię i szalej  
w rytmie skocznej polki. Ściskaj ich dłonie! Upajaj  
się zapachem wonnej wody, przytul swą senną głowę do  
ramienia różowej blondynki lub śniadej brunetki...

Czyż to ci nie wystarcza? Czegóż pragniesz jeszcze?  
Czego ja pragnę?—pytasz helleńskie dziewczę. Ja  
pragnę odetchnąć nieskażoną prostotą, położyć dłoń  
moją na czyste, nieskalane czoło kobiety i spojrzeć w ja  
sną jak kryształ źrenicę! Chcę mieć przy sobie istotę  
nieświadomą brudów i mętów życia! Pragnę cię mieć  
tak niewinną, jak wtedy, gdy w promieniach zachodzą  
cego słońca stałaś na schodach Amfiteatru, zapatrzona  
w lazury morza. Byłaś piękną jak Afrodytę, a czystą  
jak Artemida; wzbudzałaś miłość, nie wiedząc o jej  
istnieniu. Twe białe, gładkie ramiona nie drżały nigdy  
nerwowym dreszczem... znieważylem cię, nazywając ko  
chanką anakta. Tyś dziewczę, tyś dziecię, tyś gołąbka  
biała, bez plamy na skrzydłach. Piękność twoja nie  
sztuką, nie kłamstwem ludzi oślepia; jesteś piękną, bo  
dobroczynne bóstwa taką cię zbudziły do życia. Pię  
kności swej nie kryjesz chciwie, jak skąpiec kryje skarb  
przed ludźmi. Nie wiedząc o istnieniu grzechu, nie  
uznajesz ludzi za zdolnych do złego. Myśl twoja biała,  
jak twoje ramiona!

Gdybyś ty ożyła!...

Tyle na świecie fałszu i obłudy. Zacząwszy od



sztucznych włosów kobiet, skończywszy na wyrazie „kocham," który szepcą codziennie, a zawsze z innego tonu. Mała dziewczynka mówi do przyjaciela domu

„kocham" dla wyłudzenia atlasowej bonbonierki. Gdy krótką sukienkę zmieni na tren koronkami pokryty, powie tak samo „kocham" dla otrzymania ślubnej obrączki i kilku tysięcy rocznego dochodu. Kłamią miłość, kłamią łzę i uśmiech, radość i tęsknotę, kłamią nawet chorobę — a gdyby mogły, śmierćby nawet skłamały.

I ty się jeszcze dziwisz moim zaklęciom! Ja czuję, że ty kłamać nie umiesz; ja wiem, że dusza twa nieskałana jak kwiat białej lilii. W zarysie twojej głowy widzę prostotę i skromność prawdziwie kobiecą. Tyś szczytem piękności, ostatniem słowem Stwórcy—po tobie nic do skonalszego nie wyszło z Jego tchnienia; ty musisz mieć i duszę piękną... Odsłoń ją przede mną! Zbudź się! Zbudź kochana!...

Przez zamknięte okna przedziera się gwar miasta i głosy przechodniów. Latarnie gazowe oświetlają długim szeregiem głowy przechodniów, biegnących za nowym kłamstwem, kryjących nowy fałsz lub zdradę. Pod memi stopami zabijają się ludzie o jeden kłamany uścisk lub sprzedajny pocałunek. Z oświetlonych okien płyną fale tanecznej melodyi, a po jej kręgach przesu wają się pary umalowanych kobiet ze sztucznie ściśniętą kibicią. Olbrzymie papierowe lub jedwabne kwiaty stroją ich głowy, w uszach połyskują imitacje brylantów, usta śmieją się pożyczaną krasą. Prędejj, zasłoń okna — mogłabyś zapłakać nad temi biednymi że

braczkami, które w pożyczanych wdziękach rozdają kłama uśmiechy. Tyś tak bogata w piękność, tak dumna w tej białej draperyi, co okryła ledwie połowę ciała twojego! Królowa litować się musi nad biednym tłumem upośledzonych istot...

Dwunasta!

Lampa dogorywa, w bladem jej światła jesteś mi jeszcze piękniejszą, dziewczyno moja! Żyjesz prawie, pierś twa oddycha, białość marmuru przybiera barwę ciała... Czy wzruszyła cię prośba moja? czy rzeczywiście zstąpisz z krzewów zieleni i podasz mi śnieżną dłoń swoje na resztę życia? Nie, ja się nie mylę! Ona żyje, głowę wdzięcznie pochyła, ramiona podnosi, postać jej olbrzymieje i dochodzi wzrostu wysokiej kobiety... Boże mój!... zeskakuje lekko ze swej podstawy... idzie ku mnie!

Przerażony zamykam oczy i cofam się kilka kroków. Krew uderza gwałtownie do głowy, zdaje się, że zwarują. Stoi tuż przy mnie, wyciąga ręce, zaczyna mówić...

Zbudziła się! zbudziła!...

Mówi, a głos jej niewypowiedzianą harmonią spływa do uszów moich. Powoli przychodzę do siebie. Oswajam się z myślą, że gorąca prośba moja zdjęła z czarowaną pieczęć z milczących ust marmurowej kochanki mojej. Ona wciąż przede mną, promienna, biała i żywa! Pragnienie moje spełnione, szalone marzenie stało się rzeczywistością.

Ona dziwi się tej nagłej przemianie, spogląda dokoła uważnie, bez śladu zakłopotania.

Wzrok jej błądzi po spłowiałych meblach, wytartym dywanie i zatrzymuje się na zniszczonym surducie moim.

Cudowne usta otwierają się. Zaczyna mówić! Ach! usłyszę na koniec tę baśń czarownicą, zaklętą od lat tyłu w piersi marmurowej...

— Źle mieszkasz, mój drogi — szepcą klasyczne usta.

Jak piorunem rażony, milczę na te niespodziewane słowa. Helleńska dziewczyna otula się w draperyę i siada na najbliższym krześle.

— Dziwię się, że pragnąc tak gorąco mego przebudzenia — mówi dalej z całą powagą — nie sprowadziłeś choć kilka azyatyckich kobierców lub tkanin medycznych. Możliwe, że przystroić tę komnatę, choć wątpliwe, aby z podobnej klatki zrobić się dało cokolwiek przyzwoitego. Gdyby tu były stoliki marmurowe, trochę naczyń azyatyckich, jakaś amfora, można by tu spędzić dni kilka.

Dreszcz przebiegł jej ciałem. Otuliła się w cienką draperyę i uśmiechnęła wdzięcznie.

— Pomyśl, mój drogi, o właściwym dla mnie stroju. Potrzebuję egipskiego płótna i trochę korynckiej bieliźny. Pragnę mieć lekką i barwistą szatę, przetykaną złotem, i wachlarz, a włos skrecony i w grzywkę przycięty. Wy chodząc, użyję kolorowego pudru, co w słońcu wygląda bardzo pięknie...

Milczałem, straszny ciężar tłoczył mi piersi... Ona mówiła dalej, cieniując głos artystycznie i przechylając głowę na ramię.

— Za klejnoty wystarczą mi kolce ze spiżu górskie  
go i naszyjnik z kamei doryckich. Jeśli nie znajdziesz  
prawdziwych kamei, weź imitacje, to wygląda bardzo  
przyzwoicie.

Spojrzała na mnie uważniej i wzruszyła ramiona  
mi.

— O ile wnoszę z twej miny, zdaje mi się, że wy-  
magania moje dziwią cię, a nawet przerażają. Wiedz

o tem, że lubię pieniądze, pachnidła i jedwabie. Przy-  
wykłam do tego. Ponieważ mnie kochasz i pragniesz  
ożenić się ze mną. chcę, ażebyś znał moje gusta i upo-  
dobania. Ja nawzajem odpłacę ci wiernością i przy-  
wiązaniem bez granic.

Przy tych słowach po pięknem jej licu przesunął się  
cień ironii, znany mi dobrze z twarzy terażniejszych  
kobiet.

— Nie wierzysz? — zapytała, dostrzegłszy niewiarę  
w mych oczach. — Klnę się na gołębią Afrodytę, że  
mówię prawdę...

Chwilkę milczeliśmy oboje.

— Niebardzo jesteś dowcipny — rzekła, ziewrając—  
widzę, że będę zmuszona szukać rozrywek w Odeonie  
lub Amfiteatrze; tam uczęszczają kobiety wysokich ro-  
dów, a ja pragnę uchodzić za taką jak one.

Podniosłem na nią oczy, ale milczałem ciągle, tłu-  
miać w piersi ból, który mi sprawił ten straszny zawód.  
Ona jednak zrozumiała moje wejrzenie inaczej.

"Wstała nagle i z gniewem postąpiła ku mnie.

— Spodziewam się— zawołała — że nie powiesz ni-  
komu, kim właściwie jestem. Zrodzona w niewoli,

sprzedaną zostałam za nędzną sumę kilkudziesięciu obolów! Nie chcę wszakże wydawać się z mojem pochodzeniem. Opowiesz, że jestem córką możnego pana, i jako taka, pragnę zajmować należne mi stanowisko. Spodziewam się, że rozumiesz, o co proszę. Skinąłem głową machinalnie, nie wiedząc co robię. Przede mną stał mój ideał żywy, mówiący; słyszałem głos tej dziewczyny i rozumiałem nareszcie, o czym myślała w tem żakietem milczeniu swoim.

Była zawsze jednakowo piękna, ale przecież twarz jej wydała się zmienioną, starszą, a dwie bruzdy zarysowane na policzkach i zaciśnięte usta rzucały cień na te klasyczne, ukochane przeze mnie rysy. Nagle zmarszczki znikły i zalotny uśmiech wykrzywił twarz jej poważną.

— Na Zeusa! — zawołała — nie masz wcale za chwyconej mną miny, ale mam nadzieję, że skoro się poznamy, zmienisz o mnie zdanie. Trzeba, żebyś zobaczył mię w sandałach o podwójnej podeszwie, jestem daleko wyższą; a ten węzeł włosów także mnie nie upiększa. Dzieckiem, źle mnie żywiono, dlatego jestem blada i brak mi rumieńców. Szczęściem, jest na to sposób. Niedaleko świątyni Hestyi znajdziesz sklepy, w których sprzedają róż, przynieś mi trochę. Przycisnąłem ręce do piersi. Jaktó? więc i ona, ta biała, ta promienna chce sztucznym rumieńcem kłamać zdrowie przed ludźmi, a fałszywymi klejnoty mamić oczy łatwowiernych! Czyż to jest wyśniony mój ideał — gorączka i tęsknota moja? Czyż to ją prowadzić miałem przez życie nieświadomą fałszu

i obłudy? onaż to miała mię kołysać do snu melodyą pieśni, o której marzyłem!... Oto stoi przede mną i prosi o trochę różu, kosztowne jedwabie i wonne pachnidła. Śmieje się do mnie tym samym śmiechem, którym dawne moje kochanki wyłudzały pieszczoty lub przysięgę wiecznej miłości.

I patrzyłem na nią z bólem niezmiernym, bo czułem, że dusza rwie mi się w kawałki, a przede mną otwiera się bezdenna próżnia. Ideał, który jaśniał jak brylant czystej wody, okazał się szkłem czeskiem, oprawne w piękną formę. Ona nie rozumiała mnie

bo patrzyła zalotnie, wabiąc mnie ku sobie ruchami wprawnej kokietki.

— Trzeba tu wszystko zmienić, gdyż tak żyć nie podobna. Pragnę bogactw i przepychu. Gdzież twoi niewolnicy?

Zdrętwiałem cały. Przypomniał mi się mój poczciwy stróż Walenty, przynoszący rano i wieczór dymiący samowar. Niewolnik — piękny niewolnik!... Ona nie czekała na moją odpowiedź, zaczęła mi wykładać teorię chowu niewolników, na którym zarobić można znaczne sumy.

— Najlepiej się wychodzi na sprzedaży tak zwanych „szlachetnych,” płacą dobre ceny, choć i za „domowników” wziąć można nieraz piękną sumkę. Azowie nie kosztują wiele, strawa jakakolwiek, a dzieńne wynajmowanie przynosi spory dochód. Wierz mi, ja wiem co ci radzę; tylko mnie słuchaj, a dobrze nam będzie.

Mówiła szybko, a szlachetny profil jej twarzy ry

sował się na tle ciemnego obicia. Mimo klasycznych rysów wydawała się niemal wstrętą, ta przed chwilą jeszcze tak boska kobieta.

— Skoro do tej pory nie zebrałeś majątku, nie tęgą, widzę, masz głowę — ciągnęła dalej — dziwię się tylko, jak mogłeś tak gorąco żądać mego przebudzenia, gdy mię ani ubrać, ani wyżywić przyzwoicie nie potrafisz.

Zimno przeszło mnie całego. Coś podobnego usłyszałem przed kilkanaście laty, gdy na balu, w kotelni oświadczyłem się pięknej córce wysokiego urzędnika. Dziś grecka dziewczyna, zrodzona przed wiekami, robi mi to samo pytanie, tym samym tonem,

na tę samą nutę! I ona wyrzuca mi ubóstwo, niepojmując, że nabyłem ją z rąk żydowskich za ogromną dla mnie sumę, za cenę kilku tysięcy reńskich!...

Cały mój majątek złożyłem u jej stóp, a ona teraz wyrzuca mi niedostatek i wyszydza niezaradność. Szalony! stokroć szalony! — Pragnąłem duszy do skonanej, chciałem wejść w kraj szczęścia i bezgranicznej rozkoszy; patrząc na te białe kształty, roiłem sny złote, bańki mydlane!... Zaklęciem i prośbą wlałem życie w marmur, aby sobie tem samem wydrzeć resztę złudzenia! Dobrowolnie straciłem wiarę w istnienie prawdy i nieskalanej czystości! Sądziłem, że przed wiekami kobiety były inne, nie kłamały łez i uśmiechów, nie czarowały pożyczanymi wdziękami, ale jaśniały prawdą i własną swą pięknnością!... Szalony! raz jeszcze szalony! Stałem w tej chwili na mogile własnych złudzeń, z piersią rozdartą,

z głową pełną chaosu i rozpacz. Znienawidziłem tę istotę, która powołana przeze mnie do życia, zabijała we mnie tę resztkę czegoś, co mnie wiązało ze światem. Wpatrzyłem się w nią i nie dostrzegłem ani śladu tej wielkiej piękności, za którą szalały zmysły i tęskniła dusza moja.

Rozmawiając ze mną, rozwiązała wielki węzeł włosów i zaplotła je w warkocze. Czoło przysło niła grzywką i zakryła tem samem pół twarzy. Myśl zniknęła — pozostał tylko rodzaj zwierzęcego wyrazu i spora doza kokieteryi w oczach. Draperyę upięła na sobie, zakrywając się nią prawie pod brodę, i ściągnęła mocno z tyłu, stworzywszy z niej rodzaj nowoczesnej tiurniury...

A wszakże to była ona — ona to sama, której wi

dok starczył mi za świat cały; jest tu, przede mną w bladym świetle lampy i mówi, mówi ciągle, a słowa jej padają jak krople zlodowaciałej wody na rozpaloną płytę żelazną.

Wyciągam ku niej ręce z niemą prośbą, aby za milkła, ale ona nie czuje bólu, jaki mi sprawia, i nie pojmuje tej rozpacz, która mi krew do głowy napędza. — Nie jesteś wcale piękny i radzę ci dbać więcej o swoje powierzchowność. Skoro włos utrefisz, a brodę przystrzyżesz, możesz jeszcze podobać się kobietom. Tylko trzeba ci do tego pięknych kwiatów we włosy sukien o tęczyowych barwach... Skoro się odmienisz, kochać cię będę, a nawet... i teraz cię kocham... Cały fałsz tego słowa rzuciła mi w twarz z zalotnym uśmiechem. Gdy inne kobiety kłamały miłość przede



mną, śmiałem się — bo cóż miałem robić? Ale ona, ona, ta wyśniona... stoi przede mną i z uśmiechem za lotnicy podaje mi zimne wargi do pocałunku. Na Boga, dość już tej męczarni!

Zbudziłem ją, a teraz zmuszę napowrót do snu wiecznego! Niech zamilkną te usta, co mi duszę ranią, zamiast wieść w krainę ideału...

Jak szalony rzucam się więc na stojącą przede mną kobietę, chwytam za chłodne ramiona i obalam na ziemię. Przygniatam pierś kolanem, a ręka moja szuka jej gardła, aby kurczowym ruchem wypędzić z ciała życie, które mię zabija.

Nagle ogarnia mnie wielka niemoc, czuję, że tracę przytomność, pokój cały wiruje wokół mnie, ściany tańczą, a ja bezwładny nie mogę się ruszyć... Robię wszakże nadludzkie wysilenie i... budzę się.

Lampa zgasła oddawna, a szary świt przedziera się przez zielone zasłony okien. W mrocznym półświecie widzę biały posąg greckiej dziewczyny, jaśniejący czy stością linii wśród zieleni kwiatów.

Stoi znów milcząca, zadumana, wpólnaga, promieniejąca nieziemską pięknnością.

Przerażony patrzę na nią i błagalnie składam ręce, a usta moje szepcą jedne, jedyną prośbę:

— Nie budź się! śpij, jedyna!

Korale Madejowej

Maciek od łóżka powoli się dźwignął i w kąt izby się cofnął.

Mała lampka dogasała prawie, uczepiona u pochyłej ściany.

Po kątach czerniały jakieś niewyraźne masy, zaledwie tuż pod lampką można było rozróżnić kuferek zielony i poręcz łóżka bielejącą równą, wąską linią w przestrzeni.

Trup tonął już zupełnie w cieniu, ledwie tylko biel poduszki znaczyła się z czarną plamą twarzy, ciało wyschłe i płaskie ginęło prawie pod cienką warstwą kołdry.

Maciek przeciągnął się raz i drugi, ziewnął i do ziemi przypadłszy ■— kawałek ścierki pod głowę wetknął i zasnąć usiłował.

Mimo woli przecież coś go w stronę trupa ciągnęło. Głowę ku ścianie zwracał, na próżno! ot — prost — jakby mu oczy do łóżka przyśrubował.

Czarna masa twarzy na bieli poduszki tyranizowała go po prostu. Wciąż ślepie w nią wlepiął", jakby chłonać w siebie jej wymiar. A przecież znał dobrze tę wywiędłą głowę, pokrytą resztą ciemnoblonde włosów, po których siwe przewijały się już kosmyki. Często tulił swe wargi do tych ust zbielejących, których kąciaki mocno ku dołowi się obciągały i w ramę zmarszczek ujęte, jakby pieśczoły szukały miłosnej. Bo Maćkowa, choć już koło pięćdziesiątki jej było, wieczny niepokój w sobie miała. Ludzie się z niej śmieli, że się wciąż za chłopami ogląda a łąsi. Ona — chustkę na bok przekrzywiała i oczy lubieżnie mrużyła, a ręce przed siebie wyciągała. Wreszcie — drugiego męża, smarkacza niewyrosłego, znalazła i do niego przyłgnęła. Maciek, próżniak i chytry wyrostek, chętnie do baby w przyjmaki\* poszedł.

Robić bo co na świecie bardzo nie miał. Nijakiej profesji się nie chyził, a spódnic się tylko czepiał i za tęgą łydką oglądał. Baba podobno miała grosze, a korale jej słynne były na całej ulicy. Wprędce Maćkowi miejsce stróża w niewielkiej kamienicy koło Panny Marii Śnieżnej wyszperała. Dzieci swych się po prostu zaparła i jeno w młodego męża się cała wlepiła. Maciek pieścić się pozwalał, czasem wódki albo likieru podpiwszy na karesy odpowiadał.

W smrodliwej stancjce długo w noc ogarek majaczył. U schyłku kobiecości, żądzę silnie drgającą podniecając dotknięciem do nagiej piersi młodego męża, tłumiony okrzyk tryumfu wyrzucała z siebie Maćkowa, zaślepiona jedynie w swojej namiętności, która ją wreszcie bezsilną na łożę zwała. I jeszcze ze śmiercią walcząc, ku ręce męża kościste palce ścigała, aby się jego młodym ciałem napaść, jak zwierzę wiecznie żeru szukające, nawet w tej chwili, gdy się samo w padlinę przemienia...

Wreszcie sił jej nie stało. Oczy szeroko rozwarła i pozostała tak, sztywna, nieruchoma, jakby w oczekiwaniu jeszcze na dreszcz miłosny, który przez lat tyle jej siwy włos rozwiewał i spracowane plecy w kłębek wyginał...

Maciek wciąż przy ziemi leżał, czekając na świt, który opornie i leniwo do jamy mieszkania się wkradał. Stancja nie miała okna i tylko przez szczeliny źle. dochodzących drzwi krajały się jaśniejsze pasemka proste i ginące pod zawiasami. Kogut zamknięty w kojcu zapiał nagle przeciągłym, ochrypłym głosem. Z drugiego dziedzińca odezwało się 9tłumione pianie jakby echo zdławione.

Kontury łóżka i leżącego na nim trupa zaczęły zaznaczać się powoli szarawymi, niepewnymi liniami. Ciemna plama twarzy żółkła i zdawała się zlewać z bielą poduszki. Czarne, szeroko rozwarte źrenice nieboszczki spoglądały z natężeniem w przestrzeń spod kosmyków włosów, które aż na policzki spadały. Nad nią w kącie ściany majaczył obraz święty i sucha palma zatknięta za ramy.

Lampka dogasała powoli i tylko jeszcze knot się czerwono węglił jak słabiuchna iskierka w cieniu tlejąca. Chrapliwy głos koguta znów przeciął powietrze. Maciek poruszył się niecierpliwie. Wstać trzeba, nie ma col to mus. Dać znać dzieciom: zonatemu Florkowi, jego babie pyskaczce, Józikowi, co ter-

minuje u Żaka. Niech się pogrzebem zajmą sami. To nie jego rzecz...  
dzieci powinny matce pochówek sprawić, cm — był jeno na przyprzążkę  
jako „ślubny” — ale zawsze obcy. Wedle grobu to już dzieci. Florek, jego  
baba, Józik — ot i tyle! Co do Julki, tej mały spod Zamkowej Bramy, to  
chyba znać jej nie ma co dawać. Taka tam, to wiadomo, wszystkiego się  
wyzbyła to i dziecińskiego przywiązania także...

Wreszcie, niech robią co chcą!

Ich matka, ich trup...

Powoli z ziemi się dźwignął i oczy przetarł.

Niesilny wzrostem i barami, ale dość obsadny i dobrze odżywiony. Baba  
pasła go niezgorzej, dobre mu kąski z misy wybierając. Na jego ciemnym  
fartuchu włożył się jeszcze pęk siwych włosów nieboszczki o guzik  
kamizelki zaczepiony. Gdy się pochylił nad umierającą, ona w przed-  
śmiertelnym kurczu jeszcze głową się doń tuliła. Gdy zastygła, on  
podniósł się powoli i szarpnąwszy silnie, kosmyk włosów oderwał.  
Czepiała się go jeszcze po śmierci. Taką już miała moc w kochaniu.  
Obejrzał się po izbie, jakby w szarocie czegoś dopatrzeć się pragnął,  
wreszcie do kuferka postąpił, ale zaraz się cofnął.

A niech się dzielą jak chcą! on tam się żreć z nimi nie będzie.

. Lekki uśmiech wykrzywił mu twarz od bezsenności pobladła, po  
piersiach się pomacał z zadowoleniem, potem na nieboszczkę raz jeszcze  
spojrzał:

— A no biedne babsko! — wyszeptał.

Po chwili dodał:

— I uczciwe!

Ku drzwiom postąpił i silnie nimi szarpnął.

Cały snop szarego blasku wpadł nagle do jamy mieszkalnej i tryumfalnie  
cisnął się na łóżko, oblewając trupa, który w jasności tej zaciemniał  
brutalnie, jak podłużna już gnijąca masa.

Baba Florka, pyskaczka na całym przedmieściu znana, pierwsza do izby  
wpadła, zdyszana i spocona.

— Skapiała ot tak w nocy, jak nie przymierzając bydłatko jakie. Ni to  
gromnicy, ni to poświęcenia wody, ni

to litanii koło łóżka. Ino się tego wagabundy czepiła, to i duszę zatraciła. ' Do łóżka dostąpiła ostrożnie, jakby bojąc się, aby w trupie jeszcze resztką życia się nie kołatała.

— Jak to leży!... — podjęła znowu — nie jak umarła, ino jak grzesznica. Koszula rozchamrana, włosy poczochrane, czysto jakby się spod Zamku oberwała!...

Nie poprawiła wszakże nieładu w ubraniu zmarłej, nie dowierając jeszcze spokojowi śmierci.:

— Takich to nie wiedzieć, co prawda, co skłamanie, jeszcze zębami za rękę przycapnie, to palec odkąsi...

Po izbie się obejrzała, jakby chcąc obliczyć i wchłonąć w siebie pozostałą spuściznę.

Kuferek ciągnął jej oczy w magnetyczny sposób.

— Pewnikiem tam są korale — mruknęła, suche palce krogulczo zaginając.

Lecz jasna smuga światła w otwartych drzwiach się rozkładająca, zaciemniła się na chwilę. Mały chłopak w obszarpanej kurtce wpadł pchnięty silną ręką czerwonej i tłustej kobiety.

— Jdźże cholero, do tej biednej matuli, co cię nawet przy skonie nie miała przy sobie...

Florkowa drgnęła nagle, -jak od uderzenia biczem.

Szczepańska!

Szczepańska, siostra nieboszczki, rajfurka z Zamarstynowa\*, z Józkiem się przywlokła. Gzego ona tu węszy? Pewnie nie na obżałowanie trupa przychodzi, jeno o... korale jej idzie. Ale jakim prawem? Wiadomo, że dzieci pierwsze, familii zasię od spadku!

I silnie nogi rozstawiwszy, pyskaczka za boki się ujęła.

Lecz już Szczepańska do łóżka dopadła, popychając wciąż zamorusanego Józka.

— Siostruniu niebogo! — lamentowała na trupa się rzucając. — zmarniałaś jak jaka psiakrew prosta, bez żalości swoich kole siebie, a toćże nas jeden żywot nosił i jedne piersi karmiły!...

Józiek ogłupiałym wzrokiem spoglądał na trupa matki,

Zamarstynów — położony w północnej części miasta Lwowa, nazwa pochodzi od nazwiska mieszczanina lwowskiego, Jana Sommersteina, który założył tam folwark

Korale Madejowej

181

która za życia przedstawiała się zawsze jego oczom jak groźne zjawisko o twardej pięści i haczykowato zagiętych palcach.

Szczepańska za rękę go szarpnąwszy o ziemię rzuciła.

— Klękniźże pięknie, wisielcze, i proś matki o modlitwę za tobą. Ona se tam króluje wespoły z aniołami i Matką Jezusową! Proś, niech ci wjfmodli lekkie skonanie!

Zaczęła szeptać pacierze, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenie na Florkową, która stała ciągle w pozycji obronnej. Nienawidziły się obie strasznie, a nienawiść ta wobec trupa zdała się rosnać do niezmierzonej potęgi i lada chwila grozić wybuchem.

Wreszcie Szczepańska z klęczek się podniosła.

Jak to leżysz, nieboraczko! jaki ci to barłóg zamiast śmiertelnej pościółki podłożyli... Ni to czystej kiecki, ni to obmycia, ni to świeczki nad głową. Oj ludzie!... ludzie!...

Zaczęła się po izbie kręcić, potracając co chwila o sprzęty tłustymi biodrami.

— Cóż ci do trumienki włożyć? — pytała — kiej ja, twoja rodzona siostra, nie wiem jakie ty przyobleczenie miałaś.

Do kuferka się posunęła, lecz już jej pyskaczka drogę zagroziła, pod boki się ująwszy: . — Nie wolno otwierać! — syknęła.

Rajfurce twarz poczerwieniała, małe oczki nagle się rozszerzyły, jakby pod wpływem wielkiej grozy.

— Nie wolno! — wrzeszczała — dla trupa świętego, szmaty na grzbiet nie wolno? Cie jał... Bez co?...

— Spadkowe jest, palicem „tchnąć” nie wolno!

Szczepańskiej tchu na chwilę zabrakło.

— Dla zmarłej spadkowości nie ma. Zmarła ma wszelkie pierwszeństwo. Nijaka choroba mi nie wzbroni siostrunię dó trumny odziać!

Po twarzy pyskaczki przemknęły jakby płomienie.

— Choroba? ja choroba? to ty cholera, sobaczy grzmocie jeden!...

Ręce suche, kościste jak dwie śmigły wiatraka wyciągnęła, niemal tłustej twarzy Szczepańskiej się dotykając.

— Nie zmarłą ty chcesz przyoblekać, ino o korale ci pa łbie się motłosi. Chcesz do kuferka zajrzeć, aby bicze gwizdnąć. Ja cię znam,

robaczkowy wiechciec, rajfurko diabel-

ska, cholerna zabij atyko, mytko zatracona. Ale kuferka nie otworzysz, bodajem tak z nosem była! przez żywot mi -przeńdziesz, zanim się spuścizny dotkniesz!

I nagłym ruchem na wieku kuferka przysiadła, straszna, zaśliniona, biorąc w posiadanie W ten sposób kuferek, broniąc go przed napaścią obcycty.

—Józiek! — wrzeszczała przeraźliwie Szczepańska — chodzi tu psiawiario bronić twojej sierociej chudoby. Już ci ją złodziejki wydzierają i sadowią się na niej.

I szybko chłopca za kark porwawszy na kuferek go rzuciła.  
fi^r- Siadaj, chorobo! siadaj i ty, boć to twoje po prawie i słusności. A nie wstawaj, 'bo ci gnaty połamię, tak mi Boże dopomóż i ty nieboszczko, co widzisz ukrzywdzenie -- twej sieroty i sposponowanie twej rodzonej.

I nagle w płacz wielki uderzyła, obiema rękami za głowę . się chwytając.

—O Jezu miłosierny! z „Kawalryjskiej" góry boleściami płaczący! ześlij Ty siedmiorackie choroby na tę wiedźmę, co nawet dla trupa uwzględnienia nie mai

Drzwi skrzypnęły — do izby wsunął się Florek, chudy, mały, niepokaźny człeczyna.

Na progu się zaraz zatrzymał, oczy mrużąc, nagle ze światła do ciemności przeszedłszy. Za nim trochę jasności się wkradło, ukośną strugą oblewając kuferek i siedzącą na nim pyskaczkę, i Józka uczepionego u rogu wieka.

Florek oczami trupa .matki szukał, lecz Szczepańska do łóżka zastąpiła mu drogę.

—Nie ma dla ciebie dostąpienia do nieboszczki — zawołała -T-; siadaj se na kuferku, gdzie ci się już twoje ugniata! O spadkowe wam chodzi, nie o poczynienie nieboszczce honoru...

Florek otworzył usta, lecz pociągnięty silną ręką żony, nagle na kuferku przysiadł.

— Siadaj tu... — syknęła pyskaczka — broń, co swoje, i obcym dobra nie oddawaj. Zęby nie ja, byłbyś już czorta smażonego, nie korale -matki widział! Ta ci choroba do kuferka sdozdiejską łapę ściągała, inom wieko sobą przy- tłukła. Siedź!... nie ruchaj się! słyszysz!..,

. Szczepańska na krawędzi łóżka przysiadła.



— To siedźcie, ino ja się nie ruszę i sieroty tej oto ma-

łoletniej ukrzywdzić „tyż” nie dam. Siedzieć i ja będę, aż sąd na miejsce zjedzie i on rozsądzi.

Florkowa śmiać się zgryźliwie zaczęła.

—Sąd da. temu recht, kto jest mocniejszy w ilość. Nas jest dwoje... ja i mój — a Józiek sam!

Szczepańska podskoczyła jak piłka, ściągając z trupa lekką kołdrę i odsłaniając nagie, spiczaste kolana nieboszczki.

--Widzicie ją? jak wy kalkulowała! A ja? to co? ja. za Józkiem, to też dwoje!

Pyskaczka ramionami wzruszyła.

—Ejże? a jakie to prawo? Na siostry nic w przepisach nie ma. Nijakiej ulgi. Ino ślubne moc mają i pokrewieństwo z nieboszczykami. Nas dwoje... to i nasza moc!

Florek tymczasem chmurnie przed siebie spoglądał. Ponury był zawsze, małomówny i na grosze chciwy.

Znać było po nim, że choć nie mówi nic, ale siłę żelazną ma i nikomu z drogi nie ustąpi.

Józiek w nosie dłubał, znudzony trochę całą tą sprawą. Przez otwarte drzwi widać było dziedziniec brudny, ponury, po którym pływały jakieś żółte ciecze, spadające z szumem w otwartą kratkę kanału. Na dziedzińcu Maciek, obojętny na pozór, świeżą miotłę obcinał i kij do niej przypasowywał, opierając się silnie o belki podtrzymujące pierw- szopiętrowy ganek. Stojący obok niego cebrzyk z wapnem bielił się nagle jak surowa, otwarta jama w tej wąskiej ciemnicy, z której płynęła woń zgnilizny piwnicznej i świeżo rozrobionego ługu.

Maciek od czasu do czasu ukośne spojrzenie w głąb izdebki rzucał i lekki uśmiech twarz jego zmęczoną wykrzywiał.

Siądzieli tak we troje na wieku kuferka przeszło dwie godziny, nie myśląc nawet o zajęciu się pogrzebem ani o złożeniu trupa do trumny. Szczepańska zdawała się ciągle pracować myślą, w jaki sposób pobić argumenta pyskaczki. Józiek, oparłszy się o ścianę, drzemał, wsadziwszy ręce w kieszenie od spodni. Florek głowę w dłonie ukrył i wciąż w ziemię patrzył. Pyskaczka tryumfowała, zaciskając usta i mrużąc oczy. Trup tymczasem na łóżku drętwiał coraz

bardziej, świecąc nagością wychudłych członków strawionej miłosną żądzą kobiety. W izbie jednak wszyscy zdawali się zapominać o jej obecności, pochłonięci jedynie myślą o znajdujących się w kufrze koralach. Jak winne jagody z Obiecanej Ziemi, tak w tej smrodliwej ciemnicy zdawały się tańczyć i rosnąć do potwornych rozmiarów te purpurowe kule. Ludzie nie mogli nawet obliczyć już ich wartości. Maćkowa cały swój majątek w nie włożyła... Kilkaset papierków — może i więcej.

Nagle Szczepańska porwała się z łóżka i pędem wybiegła na dziedziniec, do Maćka przypadła i o coś go prosić a molestować poczęła. On ramionami wzruszał i głową kręcił. Pyskaczka ciekawie wyglądać zaczęła.

— Co ona tam świdruje? — wyrzekła wreszcie — może tego projdyświta \* chce tu wtrynić? Niech spróbuje... tak go zmaluję, że gnatów nie policzy...

— Siedź cicho — ozwał się wreszcie Florek — ozór trzymaj za zębami, ja tu mężczyzna i wiem, co się patrzył

Lecz już Szczepańska wracała tryumfująca i rozpromieniona. Milcząc, z zaciętymi ustami przeszła koło kuferka. Niosła jednak głowę wysoko i gdy znów na łóżku usiadła, małe jej oczki świeciły się w ciemnym kącie jak kocie źrenice.

Z podwórka zniknął Maciek, ustawiwszy w kącie miotłę, która białą prostą linią nowego drąga znaczyła się wśród cienia.

Od czasu do czasu przemknęła przez dziedziniec postać sługi, ciekawej zobaczyć trupa Maćkowej, lecz na wpół przymknięte drzwi stancji i cisza grobowa panująca wewnątrz onieśmiały najciekawsze.

Na gankach krążyła wieść, że „familia się żre” — i z daleka śledzono postęp tego „żarcia”, obiecując sobie wiele wskutek sławnej gęby Florkowej.

— Samego księdza od Panny Marii przepyskuje! — mówiono sobie do ucha z miną tajemniczą.

Cisza więc panowała prawie zupełna. Czasem tylko za- łopotał tasak o stolnicę, zagdakala kura, trzasnęły drzwi lub zaszumiały pomyje płynące ze zlewu. Nagle jak wichur od bramy pomknęła prosto do stancji

stróża — dziewczka młoda, silnie w plecach rozrosła, odziana w biały haftowany kaftanik i jasnoniebieską spódnicę. Włosy, starannie uczesane, splecione miała w jeden warkocz, opuszczone na plecy i związane różową wytłuszczoną wstążką. Włóczkowa czarna chusteczka z pleców jej spadała. Ze szlochaniem gwałtownym po żółtych kałużach biegła, maczając w nich swe czarne, ceratowe pantofle.

—i O Jezu! Jezu!... matusiu! matusiu!...

Przez balustrady ganków sługi ciekawie przechylać się zaczęły.

— Taż to Julka... wiecie... ta... co pod Zamkową Bramą siedzi!...

Lecz Julka już do stacji wpadła.

— Matuś! gdzie matuś!

Do łóżka się ze łkaniem rzuciła i na kolana upadłszy, o deskę czołem bić zaczęła.

— Matuchno! czego ty zmarła!...

Szczepańska od łóżka odstała i tryumfująco na pobladłą z gniewu pyskaczkę spojrzała.

— Was dwoje? — zamruczała — teraz i ich będzie dwoje!

Lecz pyskaczka, nie powstając z wieka, wrzasnęła:

— Ona też bezprawna, to... małpa. Ona się w sądzie nie liczy!

Szczepańska ujęła się pod boki.

— Jak to nie? choć małpa, ale córka! Liczy się, tak mi Boże dopomóż, liczy się, ot-że taki

— To uliczna! ją sąd od spuścizny wyforuje!

— Ot-że nie! dziecko jest i prawo za nią stoi!

Tymczasem Julka po rękę trupa sięgnęła.

— Matuś, taż spojrzysz ty choć na mnie raziczek jeden!

Nagle nagie kolana nieboszczki ujrawszy, chustkę swą włóczkową z pleców zdjęła i na trupa śpiesznie rzuciła.

— Nie okryta leżysz... ciałem gołym świecisz, bienia- siu! — szeptała, jakby okruszyną wstydu zdjęta, tak jej ten szmat nagiego matczyngo ciała zaświecił w oczy, jej, dziewczce ulicznej, na wpół wiecznie nagiej i żyjącej wśród bezustannego szału pijanej rozpusty.

Szczepańska się do niej ostrożnie zbliżać zaczęła.

— Julka! dosyć żalości, masz tu co jeszcze na łbie „jen- szego”. Matka koralu zostawiła cały huk, tobie się trzeciak

z nich przynależy. Te tam gnaty zaległy już kuferek. „Siondnij” i ty na nim, a choćby ci palice mór powykręcał, nie ruszaj się z miejsca! Lecz Julka zamglonymi od łez oczyma spojrzała na ciotkę.

— Czego to kole matki nie stoi Jezusik i nie płoną świeczki? — zapytała.

Szczepańska ramionami wzruszyła. — Ta któż o tym staranie by miał. Od rana się żrą jak owe psy o kości, trupska nie szanujące. Siondnijże wedle nich, Julka, bo cię ubiorą wedle spadku. Lecz Julka po kątach obrazka szukała.

— Idzi ciotka po świeczki, idzi! — prosiła. Szczepańska rękę wyciągnęła. — Daj dwie szóstki.

Dziewce broda nerwowo drgać zaczęła.

— Nie mam! — wyszeptała. Pomyślała chwilkę.

— Polecę do domu, do pani!... -

Do drzwi się już kierowała, ale Szczepańska za rękę ją chwyciła.

— Gdzie cię cholera niesie, tu ci pedam ostań, ta miejsca nie ustąp.

Korale ci świsną!

Pyskaczka w ręce klasnęła.

— Ci? j&k świsną to swoje, rajfurzyno jedna. Uliczne do śmiertelnego spadku nic nie mają. Po policję iść trzeba... Niech ją do cyrkułu odstawią! Lecz Florek żonę silnie za rękę schwycił.

— Milcz! słysz!

Józiek spod oka na Julkę spoglądał. Ta siostra, o której już wieść nawet przepadła, objawiła mu się nagle jak uosobienie nocnej ćmy w czerni latarni się włóczącej. Dziwił się, że ma ciało tak jak inne, znajome mu dziewczęta. Przyglądał się jej rękóm wydelikacowanym użyciem gliceryny i grzywce lekko wyfryzowanej i spalonej żelazkiem. Wydawała mu się bardzo piękną i doskonałą istotą. Gdy ciotka wtłoczyła ją po prostu pomiędzy nich na wieko kufereka, poczuł nagle ciepło w zetknięciu się z ramieniem dziewczyny. Uśmiechnął się głupkowato i zmrużył oczy, cały podbity urokiem zmysłowego dreszczu, jaki w przedwcześnie jego rozbudzonym ciele grać nagle począł.

I znów zapadła cisza, Julka, styranizowana przez ciotkę, przysiadła na kuferku i szlochała, lekko podciągając nosem. Szczepańska tryumfująco, jak dowodzący pułkiem, przed rzędem siedzących spadkobierców stała, zważając pilnie na każdy ruch pyskaczki i śledząc klucz, który tkwił w zamku i spod fałd spódnicy Florkowej wyzierał.

Południowy blask słoneczny czernił teraz i szarzał, jakby gazą przyćmiony. W studnię podwórka wpadł, leniwo po kątach i zakamarkach murów się rozwłócząc. Kury z kojca wypuszczone pod próg izby podchodziły; w uchylone drzwi zaglądając.

Na pieńku, tuż ponad kratką ścieku przysiadł Maciek i ręce oparłszy o kolana, od czasu do czasu ku izbie spoglądał.

Wejść jeszcze nie śmiał; bojąc się przeważnie Florka, który mu zawsze ponurą swą twarzą imponował. Chciał przecież swe szmaty zabrać i do ciemnej komórki pani rządczyni się przenieść, zanim trupa wreszcie do trumny nie włożą i na cmentarz ńde poprowadzą.

Eecz — już ku stancji, przez dziedziniec ukradkiem na wszystkie strony się oglądając, zmierzała niska i gruba Żydówka, w kraciastej, wielkiej chustce narzuconej na głowę w ten sposób, iż tylko świecące czarne oczy i początek krogulczego nosa dojrzeć można było. Szła jak cień, cicho i równo, przyzwyczajona do pełzania, jak gad ślizgający się po powierzchni błota.

Doszedłszy do drzwi stancji, ostrożnie głowę w szczelinę wsunęła.

— Julka!

Na ten głos dziewczyna porwała się z kuferka jak podcięta szpicrutą.

Szczepańska ku niej się rzuciła.

— Nie wstawaj!

Dziewczyna się zawahała.

Żydówka lekko cmoknęła.

— Julka!

Dziewka ciotkę odepchnęła.

— Puść ciotka, pani mnie woła.

Do szczeliny drzwi podeszła.

— Czego? — spytała, oczy w ziemię spuszcżając.

— Chodź ty! |§ wyszeptała spoza fałd chustki Żydów

ka — chodź, dosyć ty za domem była. To nie twoje wyjście, nie twój dzień...

Po twarzy dziewczyny przemknął jakby cień smutku.

— A no idę!... nich matulę ucałuję i pacierz zmówię!

— Ino się nie zabawiaj!

Julka do łóżka znów przypadła i chwil kilka z głośnym szeptem i świstaniem Wieczne odpočnienie odmawiać zaczęła. Łzy gradem lały się jej po tłustych policzkach, nie ocierała ich nawet, ciągle drżącymi palcami wychudłą rękę trupa gładząc.

— Julka! — ode drzwi rozległo się wołanie.

Dziewka powoli się od łóżka dźwignęła i z oczyma w ziemię spuszczone ku wyjściu kierować się zaczęła.

Zastąpiła jej drogę Szczepańska:

— Idziesz? a korale? a spuścizna?...

Lecz dziewczka ręką machnęła.

— Niech je choroba weźmie... matuś zmarła... ot!...

Łkanie zdławiło jej słowa.

Wyszła, drzwiami trzaskając.

Na dziedzińcu Żydówka ją za kaftanik schwyciła. <sup>a</sup>

— Chustka? aj!... gdzie ty harasówkę podziała? co?

Dziewczyna zdawała się wahać chwilę, wreszcie rękę Żydówki szorstko odtrąciła.

— Matki nogi okryłam!

— Aj! waj! wróć się zaraz! odbierz!

Lecz Julka hardo ku bramie zmierzała.

— Z trupa nie ściagnę!

— Aj! taka piękna harasówka!

— To mi ją pani na dług policz! Ja odrobię!...

Trup wciąż leżał, sinawy już teraz, zmieniony, z oczyma szeroko rozwartymi jakby ze zdziwienia, że mu tak długo trumny i pochowku odmawiają.

W stancji mrok prawie panował zupełny. Postać Szczepańskiej wciśniętej w kąt izby niknęła prawie w cieniu. Józiek z głodu i znużenia o ścianę oparty drzemał. Py- skaczka pluła na podłogę i wydawała ciężkie westchnienia. Florek milczał z oczyma w ziemię wlepionymi.

Nagle na progu izby stanął Maciek, zasłaniając prawie sobą niepewny szarawy zmrok, który otwarciem drzwi

w tę ciemnicę wpuścił. Spojrzał na rzędem siedzącą na kuferku rodzinę i milcząc przeszedł izbę, ku kąтови pod łóżkiem się skierował. Schyliwszy się, wyciągnął-mały węzełek i powoli ze ściany swe ubrania zdejmować zaczął.

Pyskaczka wyciągnęła szyję.

— Połóż, złodzieju! to nie twoje, familijne, spadkowe! — wrzasnęła.

Z kąta wystąpiła Szczepańska.

— Nie ruszaj! ty nic tu twojego nie masz!

Maciek prędko węzełek porwał i ku drzwiom się rzucił.

— Tu same moje szmaty! moja odzież! miałem ją, gdym do nieboszczki przysłał!

Z kufra podniósł się Florek.

— Nie miałeś nic, obwiesiu, koszuli na grzbiecie, łachmana.

Lecz Maciek był już za drzwiami.

— „Mianem” i swoje biorę, przed sądem odpowiem, jeśli nie swoje poruszył!

Do komórki pod gankiem wpadł i skobel z drugiej strony zasunął.

Węzełek z łachmanami na ubitą i wilgotną ziemię cisnął.

— A żeby was mór wydusił — zaklął, pięścią w stronę izby grożąc.

Przez wykrojony otwór w kształcie serca padała jaśniejsza smuga światła, przecinając jak strumień wody czarną przestrzót.

Do strugi tej Maciek ostrożnie przypadł i powoli zza pazuchy całą .moc koralu wyjął, które zadzwoniły głucho i zaczerwieniły się jak nagle wylana struga krwawej po- soki.

Chłop koralu te ważył, palcami lubieżnie wśród nich przebierał — aż wreszcie ku ziemi się schylił, w rozkopaną już przedtem jamę je włożył i ziemią ostrożnie pokrył.

Gdy powstał, aby ugnieść ziemię, miał na twarzy uśmiech tryumfu i rozkosznego zadowolenia.

A w stancji trup Madejowej leżał wciąż zimny, sztywny, z oczyma szeroko rozwartymi, domagający się wreszcie śmiertelnego przytułku i okryty do połowy chustką ściągniętą z pleców córki-ulicznicy...



## Dwie

W chwili gdy Hanika wynosiła z jadalni talerze, starsza pani powiodła za nią badawczym spod krzaczastych brwi wzrokiem.

— Co mama się tak Hance przygląda? — spytał Furko wski, rozkładając na białym obrusie czerwone swe ręce, poplamione koło paznokci fioletowym atramentem.

„Mama” skrzywiła się octowo.

— Nic, nic!... — odparła suchym, bezdźwięcznym głosem.

Zasnurowała usta, wzruszyła ramionami i po chwili milczenia krzyknęła dobitnie, zwracając się w stronę kuchni:

— Hanka!... leguminę!...

— Zaraz!... — doleciała przeze drzwi odpowiedź.

— Żydowskie zaraz!../ — mruknęła starsza pani.

Zapadło znów milczenie, przerywane tylko uderzeniem tępego narzędzia w formę blaszaną, którym to sposobem zapewne Hanka Ułatwiała sobie wyjęcie żądanej leguminy.

.Pomiędzy matką i mężem — w jasnym flanelowym szlafroku, lawową \* broszką spiętym u szyi, siedziała Michasia, prezentując w półcieniu zalegającym jadalnię — swą twarzyczkę pobladłą, wyżółkłą, z rysami nagle wyciągniętymi, postarzałymi, z sinymi plamami pod zaspanymi, błękitnymi oczyma.

Siedziała zgarbiona, skulona, opuściwszy ręce po obu stronach krzesła, dźwigając z trudem swe ciało, obarczone ciężarem przyszłego macierzyństwa, które anemicznie, lecz prawidłowo Tozwijało się jak kwiat sztucznie wypielegnowany bez słońca i bez szerokiej (przestrzeni). Tymczasem Furkowski, dumny i zuchwały, włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, spoglądał na żonę z pieczoło-

witością, w której przebijała się spora doza egoizmu. Ten spodziewany wkrótce potomek przejmował go rozkoszą niewymowną. W fabryce, w iktórej był buchalterem, wiedzieli Ao nim wszyscy, zacząwszy od dyrektora, skończywszy na robotnikach. Od chwili obwieszczenia wielkiej nowiny, Fur- kowskiemu zdawało się, iż urósł w oczach wszystkich. Chodził powoli, stąpał ostrożnie, tak był przejęty stanem żony. Chwilami, gdy siadał za biurkiem, usuwał delikatnie krzesło. Zdawać by się mogło, że on, a nie Michasia ma zostać matką. W domu otaczał żonę najtroskliwszymi wglę- dami, dogadzał jej, podniecony' Silnie spełnieniem się jego najdoskonalszych marzeń, t© jest — posiadaniem... pełnej- rodziny.

Zwykła podjazdowa wojna pomiędzy nim i „starszą panią”, matką Michasi, milczącą ugodą przeszła obecnie w zawieszenie broni. „Starsza pani” bowiem zanadto była przejęta ważnością chwili, aby zwracać uwagę na zięcia. Cała jej myśl-zwrócona była obecnie na dogadzanie i piesz- czenie Michasi, na robienie setek metrów powijaków, zbieranie starej bielizny i wyszukiwanie higienicznej, a „uczciwej” kołyski. Pomiedzy tym dwojgiem Michasia zachowywała się jak mały bożek, pozwalając się pieścić i dogadzać swym kaprysom, przesadzając swój stan chorobliwy bezustannym narzekaniem, włóceniem się z kąta w kąt z miną leniwej kotki, z grzywką spadającą w płaskich kosmykach na czoło, w pantoflach męża, ssąc pomarańcze, cytryny, zjadając całe słoiki musztardy i spodki pikli.

Czasem potrzasała melancholicznie głową, mówiła o śmierci, rozczulała się nad ową spodziewaną agonią, widziała się w trumnie i położywszy się na szeszlangu składała ręce i zamykała oczy.

\_ — O tak będę wyglądała w trumnie!... mówiła do męża, który przerażony, z oczyma ytrzeszczonymi, stał opodal, nie umiejąc znaleźć słowa, aby przykrócić te żałobne sceny, powtarzające się z dziwną regularnością.

Napisała nawet testament, wysmarowawszy na kopercie wielki krzyż i napisawszy wycieniowanymi literami: „Moja ostatnia wola”.

Przybrała minę wiedzionej na stos ofiary i zdawać się mogło, że popełniono względem niej jakąś winę ciężką, za

którą ona teraz cierpi, pokutuje, a świat cały nie ma dla\* niej dostatecznych względów, aby jej nieszczęsną dolę' osłodzić. Przestała się czesać i Hanka musiała nakładać jej pończochy. Nie wyciągała nawet ręki po karafkę z wodą i całe dni leżała, wyprowadzana gwałtem przez matkę i męża o zmierzchu na krótki spacer. Ledwie się dawała uprosić i wyciągnąć na tę krótką przechadzkę. Wracała wyczerpana, siadając na schodach, czepiając się poręczy. W gruncie rzeczy nie była bynajmniej bardzo osłabioną i jakkolwiek anemiczną i źle rozwiniętą, mogła być przejść to wszystko bez wielkich grymasów, tylko rola, którą grała, zanapłto jej przypadła do gustu.

Była główną osobą w domu, osiłą, koło której koncentrowały się wszystkie myśli, pragnienia, dążenia, czyny ■ — matki, męża, sługi, gości. Powoli zaczęła tyranizować wszystkich, promieniejąc egoizmem zepsutego dziecka, które czuło się panem sytuacji. |

Siedząc tak w tej półciemnej salce jadalnej, zgarbiona i milcząca, mając przed sobą słoik musztardy i korniszonów, pod nogami poduszkę, na poręczy krzesła poduszkę, na kolanach szal — odczuwała wielkie zadowolenie psutej przez los istoty, która w jednej chwili może tyranizować innych lub sformułować życzenie, nad którego wypełnieniem pracować będą ci, którzy dawniej mieli prawo żądać od niej posłuszeństwa i uległości.

Był to rodzaj odwetu na matce i mężu, którzy przedtem nadużywali jej słabego charakteru, zaniedbując ją, pogrążeni w ciągłej wzajemnej walce i drobiazgach powszedniego życia.

Kanarek, zawieszony u okna poza fałdami muślinowych i trochę sinawych firanek, zaświergotał nagle i radośnie.

Michasia syknęła i rękę szarpnęła.

— Stanisławie! wyrzuć to ptaszysko do kuchni! — odezwała się starsza pani — widzisz, że to Michasię denerwuje. Prosiłam cię, abyś tej klatki tu nie wieształ!

Furkowski powstał i podszedł do okna. Chwilę zajaśniała zielonawą linią jego wytarta kamlotowa marynarka. Zdjął klatkę i szedł do kuchni, bijąc ręką po prętach.

— A cyt!... a cyt!...

Kanarek, przerażony, zatrzepotał i ucichł.

We drzwiach spotkał się Furkowski z Hanką, niosącą na

okrągłym półmisku kaszkę zapiekana, która rozsypała się cała i czerniała się deszczem drobnych rodzynek. Starsza pani spąsowiała z gniewu.

—A to klempa!... wyrzekła marszcząc brwi — nawet z formy wyjąć nie umie.

Hanka postawiła półmisek, zabrała pustą butelkę od piwa i wróciwszy się ku drzwiom, szła szybko, kołysząc się w fałdach perkalowej, granatowej spódnicy. Była to niewysoka dziewczyna, o mizernej i płaskiej twarzy i szeroko rozwiniętym ciele. Kąciki ust miała opuszczone i oczy pod- siniące. Policzki pokryte żółtymi plamami, które się rozlewały szeroko aż ku skroniom, z których włosy szesane i zdarte, zlepione były pomadą i spięte z tyłu głowy zardzewiałymi olbrzymimi szpilkami.

Starsza pani powiodła znów za nią wzrokiem badawczym, przenikliwym i gdy dziewczyna wyszła zamykając drzwi za sobą, stara kobieta z wyrazem ffcryumf u pokiwała głową.

—Byłam tego pewna!... — wyrzekła uradowana — a mówiłam wam zawsze, że to ladaco ta dziewczyna. Nie chcieliście mi wierzyć... teraz macie!

Furkowski siadał właśnie do stołu.

—Cóż się stało? — zapytał.

Teraz starsza pani odłożyła łyżkę, którą włożyć zamierzała w leguminę, i spojrzała piorunującym wzrokiem na zięcia.

—To się stało, że panna Hanna skandalizuje nasz porządny dom, rozumiesz? Spójrz na nią uważnie, a będziesz miał odpowiedź. Ja tego znieść pod moim dachem nie mogę! W tej chwili po obiedzie idę do kantoru. Gdy wrócę, każę Hance spakować manatki i niech idzie na cztery wiatry. Co za czasy!...

I w cnotliwym oburzeniu kobiety, która przeszła przez całe życie prosto, bez śladu walki z namiętnością lub choćby chwilową pokusą, wzrok nienawiści pełen utkwiała we drzwi, spoza których rozlegał się teraz łoskot łupanych drzazg.

—A to ladacznic!... — dorzuciła przez zaciśnięte zęby — ośmieliła się zgodzić do służby w takim stanie: dam ja jej!... Wszystko, co stukła, wytrącę... i zadatku nie daruję... Złodziejka!...

I nagle zwróciła się do córki, która jakby zbudzona ze snu, ożywiona, wyprostowała się na swym poduszkami oblepionym krześle.

— Jedz kaszkę!... — prosiła podając Michasi talerz pełen leguminy — miałaś dziś rano chęć na niąL.

Lecz młoda kobieta odsuwała talerz gestem znudzonej królowej.

— Nie chcę!... nie mogę!...

Teraz mąż się wmieszał.

— Jedz, Michasiu!...

— Nie mogę!...

- Ja proszę!...

— Nie mogę, nie przełknę!...

Suchy łoskot opadających pod tasakiem drzazg mieszał się z proszącymi głosami i odmową Michasi.

W kuchni kanarek zaświergotał radośnie.

Hanka łupać dr<sup>^</sup>wo przestała.

— A na zdrowie ci!;.. — rzuciła ku klatce i słaby, blady uśmiech rozjaśnił jej twarz oszpeconą żółtą maską brzemiennej kobiety.

O szarej godzinie podniosła się z szezlonga Michasia i okrywszy szalem, stała chwilę niezdecydowana na środku sypialnego pokoju. Coś ją ciągnęło, aby pójść do kuchni i porozmawiać z Hanką. Matka wyszła do kantoru po nową służącą, a mąż z powrotem do biura. Uczuła się samą i smutną, przy tym analogia sytuacji ciągnęła ją ku tamtej', która oddzielona od niej kilkunastoma krokami odczuwała w tej chwili te same wrażenia, bóle i trwogi. Jak to się stało? — Dlaczego ona, Michasia, nie dostrzegła tego od dawna. Teraz widziała dokładnie i była pewną, że matka się nie myli. Tajemnica przecież tej dziewczyny ciągnęła ją ku sobie. Hanka była milcząca, pokorna i cicha. Była głupią, lecz doskonałą siłą roboczą, pomimo że matka następowała jej wiecznie na pięty, nazywając ją próżniakiem. Nie leniła się nigdy i szła spać bardzo późno, wstając ze świtem. Kręciła się wtedy po kuchni jak mysz i tylko czasem słychać było szelest jej spódnic, które nosiła krochmalone i dobrze wyprasowane. Miała w sobie spokojne poddanie

się pod jarzmo zwierzęcia, które nie żąda nic prócz łyżki stawy i dachu nad głową, oddając w zamian całą siłę swych nerwów i mięśni.

Gdy Michasia przeszła przedpokój i otworzyła drzwi do kuchni, Hanka klęczała koło łóżka i silną ręką wysuwała spod spadającego ku ziemi prześcieradła wielki sagan do gotowania bielizny. Jutro bowiem miało się zacząć duże pranie i odliczone już kawałki mydła leżały na okapie komina porządnie ułożonymi cegiełkami.

Na odgłos otwierających się drzwi Hanka podniosła głowę.

Michasia wsunęła się do kuchni i stanęła oparta o ścianę. Nie wiedziała, jak przemówić, od czego zacząć. Delikatność wrodzona jej naturze spędzała słowa z ust i myśli.

Hanka, wyciągnąwszy sagan, spojrzała uważnie do wnętrza.

A to ci, psiakrew, się zasmarował. — szepnęła do siebie, kuląc głowę w ramiona.

Michasia wyciągnęła rękę.

— Słuchaj, Hanka!... zaczęła, lecz urwała, bo dziewczyna zwróciła ku niej swą twarz pożółkłą i wynędzniałą, w której Michasia nagle poznała żółtość swej własnej cery i pod-siniałych oczów.

— A co młodsza pani chce? — spytała dziewczyna.

Michasia nie odpowiedziała nic, zdjęła ją jakby trwoga przed tym' macierzyństwem, które miała przed sobą, macierzyństwem w oczach świata grzesznym i występny, które niemniej przecież, w istocie rzeczy było tym samym naturalnym wypełnieniem kobiecego przeznaczenia, spłaceniem obowiązku, które jak fatalne a mistyczne piętno na łonie kobiety spoczywa.

Michasia była już trochę tą „zbuntowaną”, która poza ciasną ramę surowej moralności wybiega i liczy się z nieubłaganą koniecznością praw natury, mierząc przestępstwa nie nakreślonym szablonem, lecz logiką ustroju fizycznego winowajcy.

Matka jej nazywała Hanke „ladacznicą”, lecz Michasia, sama czując w sobie żyjącą istotę, nie mogła potępić tej drugiej, która także niosła w sobie nowe życie i stała teraz przed nią pobladła i zmęczona ciągłą pracą, czuwaniem i brakiem jakichkolwiek wygod i starań,

Hanka podniosła się z ziemi i sagan ustawiła na otwartym oknie, przez które płynęło łagodne, wiosenne powietrze. Maj śmiał się całą pełnią, skraj nieba, nad dziedzińcem zawieszony, miał o. zachodzie liliowobłękitne tony. Kanarek, skulony w środku klatki, żółcił się jak maluchna, blada gwiazdeczka.

Nagle Michasia zebrała się na odwagę.

— Czemu ty Hanka za mąż nie idziesz?... — spytała, nie znajdując innej możliwości zaczepienia drażliwego przedmiotu.

Lecz Hanka spojrzała na pytającą z wyrazem smutnego zdziwienia.

— A kto by się ta żenił ze mną...! -r- odparła bębniąc palcami po brzegach saganu... albo to ja mam co... ni to posagu., ni uczciwej kiecki! Podciągnęła nosem, wzruszyła ramionami i podniosła sagan do góry.

— I podziurawił się psiajucha!... — dodała zgryziona, przewidując awanturę ze strony starszej pani, skoro sagan cieknać zacznie.

Lecz Michasia zapamiętała tylko smutny wyraz podsi- niałych oczów dziewczyny, gdy mówiła „kto by się ta ze mną żenił”.

Więc ojciec jej dziecka znalazł ją dość majątną, by uczynić ją matką, ale za biedną, by nazwać ją żoną?....

Więc ona, Michasia, dlatego dziś ma nazwisko i zaszczyt macierzyństwa legalnego, iż miała sześć tysięcy rubli gotówką, srebra na dwanaście osób i porządną wyprawę!

W umyśle młodej kobiety powstał wielki chaos, chciała coś powiedzieć, przemówić do tej drugiej swej rówieśnicy, w tej chwili zrównanej z nią majestatem wypełnionego obowiązku, lecz nie umiała znaleźć słów, zdjęta nagle litością wielką dla tej opuszczonej i spracowanej dziewczyny, w której łonie szarpało się dziecko tak samo do życia, jak i to przez nią noszone, prawo mające.

Lecz Hanka okno zamknęła i do komina podszedłszy drzwiczki otworzyła.

— A teraz, niech młodsza pani stąd wyjdzie, bo będę ług gotować.

Zemgli panią abo co!...

Michasia wysunęła się cicho, powróciła do sypialni i długo siedziała na szezlongu z twarzą ukrytą w dłoniach.



Już Furkowski i Michasia zasiedli do podanej przez Hankę herbaty, gdy wreszcie starsza pani pojawiła się w jadalni. Była rozpromieniona, udało się jej bowiem do- . stać sługę z „rekomendacji”, nie z kantoru. &~  
Przyjdzie jutro! ---mówiła rozwiązując wstążki kapelusza — rozumiecie przecież, iż Hanka nie może ani chwili u nas pozostać, byłby to grzech tolerować podobne rzeczy i na to dłużej pozwolić nie można!

Furkowski aprobował, maczając rogalik z masłem w herbacie. Z zajęciem śledził rozpływający się tłuszcz po powierzchni szklanki. I on był zdania, że obecność Hanki kompromitowała cały dom. Należało ją usunąć jak najprędzej.

Lecz Michasia gryzła wargi z najwyższą niecierpliwością, wydając się jeszcze żółtszą i bledszą, w świetle wysoko zawieszanej lampy. Zmieniła niebieski szlafroczek na biały wyrurkowany kaftanik i z szerokich rękawów wychylały się teraz do łokcia jej ręce białej, anemicznej blondynki.

Spojrzała na matkę i na męża, silnie zniecierpliwiona.

—Po co ją oddalać? — wyrzekła wreszcie przyciszonym głosem — niech'zostanie... można by ją zatrzymać na mamkę, to biedna dziewczyna!

Furkowski podniósł ze zdziwieniem głowę. — Starsza <pani otworzyła szeroko oczy i spojrzała uważnie w twarz Michasi.

—Na mamkę? — zapytała — na mamkę takiego latawca! Żeby dziecko złe skłonności wyssało?... Michasiu!... co ci to? Opamiętaj się! A toż takie rozpustnice różgami siec, a nie darowywać i jeszcze się z nimi cackać. Widocznie jesteś chora i masz gorączkę, skoro możesz mówić takie potworne rzeczy!... Zdawało mi się, że wszczepiłam w ciebie uczciwe zasady i całym życiem dałam ci przykład, czym życie uczciwej kobiety być powinno!... Żeby już raz z tym Skończyć, idę natychnia)ia& 4q kuchui, zrobię z Hanką obra

Sciemniło się zupełnie i noc wiosenna weszła pełna woni, gwiazd i szumu rozwiniętych drzew ponad układające się do snu miasto. Ciepły cień owinał siedzącą w milczeniu kobietę i czarną draperią ku stopom-jej się osunął.

chunek i każe się jej od jutra wynosić. Musi przecież jeszcze przez dzisiejszą noc porządek w kuchni zrobić i wszystko poszorować. Nalejcie mi herbaty i posmarujcie rogalik. Zaraz wracam!

Weszła do kuchni i słyhać było podniesiony głos jej, lecz wyrazów rozróżnić nie było podobna. Z początku widocznie Hanka próbowała się zapierać, bo słyhać było od czasu do czasu:

—Ale, jak Bożię kocham!...

Po czym głos sługi umilkł i teraz stara kobieta mówiła sama jedna jak ksiądz z kazalnicy, gromiąc i piorunując, licząc rondle, odsuwając stolnicę, potrącając balię...

W jadalni tymczasem Michasia siedziała długą chwilę, wpatrzona w światło lampy, jakby zahipnotyzowana, starając się nie myśleć o tym, co się dokoła niej działo. Lecz głos matki, dolatujący do niej z kuchni, mimo woli szarpał nią i sprowadzał do rzeczywistości.

I nagle ogarnęła ją wielka, olbrzymia, nieskończona litość. Zdawało się jej, że to ją samą torturują, w postaci tamtej drugiej, że jest ich dwie, a przecież jedna, której wyrzucają, że spełniła swe przeznaczenie, i sieką chłostą obelg w zbolale i pełne macierzyństwem łono — i gdy nagle z kuchni rozległ się zawodzący płaczem głos Hanki, z oczów Michasi polały się dwie strugi łez, jasne, lśniące w świetle lampy, jak drogi mleczne z gwiazd najczystszych utkane<sup>^</sup>

Furkowski zerwał się od stołu i do drzwi kuchennych poskoczył.

—Mamo! Michasia płacze!...

Starsza pani natychmiast do pokoju wpadła. Razem z nią przez drzwi otwarte, jak jęk jesiennego wichru, tak wdarło się zawodzenie służącej. Hanka, przypadwszy do kuferka, biła głową o ścianę szlochając głośno.

Starsza pani odwróciła się od progu.

—Cicho mi! — krzyknęła rozkazująco — co to za krzyki? Jeszcze się młodsza pani przez ciebie rozchoruje... chcesz spazmować, to ruszaj do sieni!...

Hanka kułakami usta zatkała i płakała dalej po cichu, bez jęku, bez ruchu, cisnąc głowę do ściany...

## FRANIA

### SZKIC

Pójdziemy na festyn? -

— Jak chcesz!...

— Ta ta ta!... masło maślane... obłudnik! faryzejczyk!... myślałby kto, że trzech zliczyć nie umie. Tyran!...

Marulka stulił uszy, poprawił się niespokojnie na krześle i drżącą ze starości ręką po obrusie zaczął nożem krzyżyki znaczyć.

Lecz pani Franciszka porwała go za rękaw i gwałtownie nim targać zaczęła.

— Połóż toj... niedorajdo!... obrusy teraz będziesz krajać w kawałki!... niszczyć bieliznę stołową, co moją krwawą pracą w kupie trzymam, bez florku piórę i nie daję się jej rozpaść w kawałki!

Umilkła na chwilę, lecz zaraz podjęła tym samym krzykliwym głosem:

— Ty byś chętnie serce moje wziął i tak na sztuki nożem pokrajał... znam cię, ptaszku!...

Marulka podniósł na żonę swe wielkie zamglone źrenice, nad którymi sterczały krzaki brwi od siwizny białych.

— .Co ty gadasz, Franiu!... wyszeptał wzruszając ramionami.

Lecz Frania w spojrzeniu tym znalazła nowy powód do gniewu.

. OL. jak to patrzy! jak to patrzy spode łba... jak zbój!...

Uderzyła drobną pięścią w stół. ||||i Nie patrz na mnie, bo mi schab przez gardło nie przejdzie...

Marulka opuścił pomarszczone i zaczerwienione powieki i siedział teraz nieruchomy jak posąg, strawiony rdzą czasu, pracy i niedostatku. Przed sobą miał szerokie i rozłożyste piersi żony, objęte wykrochmalonym i wyrurkowa- nym kaftanikiem. Poprzez oczka haftu przebijała masa

białego, przesiąkniętego tłuszczem ciała i świecił się łańcuszek, na którym zwieszało się kilka medalików. Frania jadła szybko, a okrągła jej twarz o drobnych rysach i ustach wiecznie ściągniętych, jakby w przesadzonej chęci dystynkcji, drobnych oczkach złotaworudych, nad którymi świeciły się przyklepane i pomadą wysmarowane włosy, zmieniała się machinalnie pod wpływem dobitnego poruszania szczęką dolną, jak twarze marionetek w gabinecie figur woskowych \*. Frania nie jadła, lecz żuła.

Żuła, przeżuwała, żuła znów, zanim zdecydowała się połknąć ów nieszczęsny kawałek strawy. Jedząc, układała 'kupki z jadła na brzegu talerzu, przyglądała się im, rozrzucała, mieszała, układała na nowo i wreszcie decydowała się nabrać na brzeg noża trochę strawy i wsunąć do ust zaledwie rozwartych.

Zdawać by się mogło, że ta czterdziestoletnia kobieta żyje jedynie dlatego, aby zasiać przy brzegu stołu i żuć, żuć bez końca te rośliny, to ciało innych zwierząt, to maczać chleb w sosach długo, długo, i wreszcie gdy tłuszcz już skrzepł na talerzu, podnieść rękę do ust i chleb ssać - : powoli zacząć.

Mała, tłusta, z biodrami szeroko rozwiniętymi, z głową małą, wtłoczoną pomiędzy rozlane ramiona, lubiła ciepło, jadło, obuwie ze spiczastymi nosami, kawę, spacerować na Plantach, panią Tulipską, sąsiadkę z pierwszego piętra. Nienawidziła za to mężczyzn, księżycy, muzyki, pani Gundelskiej, sąsiadki z drugiego piętra, sług w ogólności, książek, miłości wraz ze wszelkimi akcesoriami," a szczególnie męża.

Dwadzieścia lat małżeństwa z człowiekiem o trzydzieści lat od niej starszym oprócz tortury małżeńskiego łoża nie przyniosło jej ani jednej chwili jaśniejszej, drgnięcia zmysłów, stracenia choćby na sekundę świadomości o brutalności i szpetocie aktu, na który przysięga ślubna skazywała ją bez litości. Marulka, Czech limfatyczny i chorowity, był dla niej w chwilach nagłej czułości uosobieniem kata, '

gabinet figur woskowych — galeria historycznych postaci naturalnej wielkości, odlanych z wosku; znane tego rodzaju galerie znajdują się np. w Paryżu, w Londynie

znęcającego się nad jej zupełnie zimnym i milczącym ciałem.

Po długich walkach nareszcie zmuszona mu ulegać, miała w swych oczach taką moc wstrętu, że każdy cofnąłby się przed tą wyraźnie zaznaczoną nienawiścią i pogardą kobiety.

Gdy mąż jej zadowolony zapalał fajeczkę i pogwizdywał polkę, Frania gryzła do krwi usta z bezsilnej wściekłości. Uległa!... ulec musiała! Lecz dlaczego? Czyż nie była właścicielką swego ciała?. Skąd i kto nadał prawo temu człowiekowi znieważać ją brutalnym aktem, w którym po latach tyłu ani na chwilę nic prócz szpetoty dopatrzeć i odczuć nie mogła? I powoli z tej Frani jasnowłosej i w krasę bogatej zrobiła się drobna, gruba kobietka, żująca potrawy, które sama przyrządzała w kuchni całymi godzinami. Prasowała sobie kaftaniki, rurkowała je i szarymi godzinami gawędziła z panią Tulipską, sąsiadką z pierwszego piętra, o drożyznie mięsa, jaj, mleka i mieszkań.

Czasem potrafiły o sługi, a raz nawet zgadało się o miłości.

Pani Tulipska westchnęła i ramionami ruszyła.

—Moja paniusiu droga — wyrzekła zakładając ręce na piersi — romanse to fidrygansę!... miłość!... albo to istnieje na świecie? Ot, człowiek z człowiekiem się zejdzie, złączy ich wola Boska i klepią biedę we dwoje. Z początku to kobiecie ciężko się przyzwyczaić do tych... wymagań mężowskich, później to się znosi... ot! jak dopust Boży!...

Frانيا pokiwała głową.

—Patrzcie państwo!., to i paniusia także... ano, to cieszy mnie bardzo, że nie ja jedna. Mój pan małżonek mówi mi, że to ja tylko taki głaz!

Pani Tulipska parsknęła śmiechem.

—Co zmówi... wszystkie my tak!., panom mężom to jeszcze czasem fidrygansę-romanse w głowie!

Czuli się to, czuli, a ja najczęściej, gdy mnie Tulipski całuje — o jutrzejszym obiedzie myślę albo o tym, czy aby strych będzie wolny w przyszłym tygodniu i czy mogę zacząć pranie...

—To tak, jak ja!... — przyświadczyła Frania.  
Mrok zapadał błękitny i tajemniczy.

W klatce kanarki kurczyły się do snu, chowając głowę pocf skrzydełka. Przytuliły się do siebie blisko, blisko i wisiały tak nieruchome w przestrzeni, jak dwie gwiazdeczki złote nagle ze sobą złączone.

Przed obydwoma kobietami na maluchnym stoliku, pokrytym czerwonym obrusem, stały filiżanki od kawy, cu-kierniczka, okruchy ciastek na talerzyku i w pudełku smażone owoce.

Pani Tulipska utkwiała wzrok w klatkę z ptakami.

—Będzie pani miała młode? — spytała wreszcie chrapliwym głosem.

—Będę! — odparła Frania — kupiłam niedawno samicę na miejsce tej, co zdechła. Zaraz się pokochali z kanarkiem i teraz panuje między nimi wielka miłość...

Pani Tulipska wydeła usta i sięgnęła po smażoną gruszkę.

| — Och!..., te zwierzęta!.. — wyszeptwała przewracając oczy.

Nienawiść, jaką miała Frania do objawów miłości męża, powoli przeszła i na samą postać Marulki. Ośmielając się, coraz więcej ściagała go tą nienawiścią ciągle, siekąc go różgą pogardliwych wyrażeń, rzucając mu w twarz jego wiek, złamaną postać, trudność wysłowienia się. Cały rząd domu przeszedł w jej ręce, odebrała mu pieniądze i wydzielała mu centy na marki do listów lub na trochę tabaki. Marulka był urzędnikiem w niewielkim banku i pensyjka jego zaledwo wystarczała na skromne życie dla dwojga. Frania znajdowała w tym doskonale źródło utyskiwań i tro- nując wśród swych dwóch pokoi w powodzi białego per- kalu i tanich wstawek, czuła się. tylko na chwilę uspokojoną, gdy zasiadła do obiadu. I tu jednak ściagała jeszcze męża nienawistnym wzrokiem, nazywając go „tabaczarzem, tyranem" lub „przeklętym Czechem".

Marulka milczał, kulił siwą głowę w ramiona, rozumiejąc dobrze, skąd pochodzi źródło wiecznej urazy tej kobiety ciągle chmurnej, złej i jakby skrzywdzonej.

Ustępował we wszystkim nie dlatego, aby jg kochał obecnie, bo Marulka także kochać nie umiał, lecz dlatego, że przyzwyczał się do niej, do jej dąsów, wymysłów, nienawiści i jej zimnego i zbuntowanego temperamentu.

Po obiedzie był festyn w Strzeleckim Ogrodzie. Zieleń, kurz, stoliki z hrabiankami galicyjskimi, sprzedającymi losy na loterię, namioty z aktorkami w scenicznych sukniach, odświeżonych na tę uroczystość, panowie komitetowi, latający jak gromada szaleńców z jednego końca ogrodu na drugi dla niewiadomych przyczyn, trzy kapele wojskowe grające równocześnie lub na przemian fantazje z Trawiaty \* i Carmeny, lampiony poszarpane zanim jeszcze zmrok nastał, tłok ludzi koło stolików restauracyjnych, słońce wspaniałe, olbrzymie, boskie, ponad tą gromadą robaków, wijących się w śmiertelnych podrygach ambicji, próżności, próżniactwa i miłości.

Po zasłanych, jak śniegiem, biletami loteryjnymi alejach szła wyprostowana Frania, trzymając się ramienia Marulki, który uroczysty, w długim surducie i nowym kapeluszu, starał się swe ogromne stopy zastosować do drobnych kroków żony.

Frانيا miała na sobie szarą jedwabną suknię, narzutkę okrytą dżetem, kapelusz koronkowy z żółtym kwiatem i koronkowymi „brydami”. Ten żółty kwiat niepokoił ją. Zdawało się jej, że jest „krzyczący”, nieprzyzwoity...

Gdy włożyła kapelusz, odwróciła się do męża:

— Prawda, kokocko wyglądam? — spytała w obawie uczciwej mieszczaneki przed skandalem, jaki mógł wypaść z powodu tak wyzywającego stroju. -

Marulka, przyzwyczajony do ciągłego potakiwania żonie, przyświadczył i tym razem:

— Prawda...

Lecz Frania przyskoczyła do niego z zaiskrzonymi oczami - — Co prawda? — wrzasnęła — co (prawda?

Ano to, co mówisz!...

— A!... więc kokocko wyglądam?

Podparła się pod boki, dusząc się w zbyt ciasnym gorsecie i aksamitnym kołnierzyku sukni.

Żółty kwiat chwiał się na jej głowie, jak chorągiew niesławy.

— Ja... nie mówię — jąkał nieszczęśliwy Marulka.

— Otóż na złość pójdę, tak jak jestem! wołała Frania — a jeżeli mnie kto zaczepi albo paupry mnie seko- wać zacząną, to będzie twoja wina, mój czuły panie mężu!...

Uspokoila się wszakże, przyglądziła włosy i wskazała parasolką drzwi.

— Proszę iść naprzód!... — wyrzekła — nie mam ochoty, żebyś mi kiedy na kark spadł na wschodach, a ty potrafisz mi to zrobić... o!... znam cię, chytra sztuko!...

Poszli więc na ów festyn i Frania szła teraz po alejach Ogrodu w takt marsza z Carmeny, nie odwracając głowy, (patrzac prosto przed siebie i sznurując usta. Wiedziala bowiem, że może spotkać panią naczelnikową, pana naczelnika i kolegów męża, należało im pokazać, że pani Marulka jest kobietą „dobrze” i\* potrafi reprezentować instytucję, w której mąż pracuje. Gdy doszli do restauracji, Marulka zaproponował żonie „a seid'l” \*, za co został silnie uszczypany w łokieć, gdyż piwo pić można, ale o zejdlach i halbach mówią tylko prostacy.

Właśnie koło ogrodzenia niedaleko latarni opróżnił się stolik i kelner sprzątał kufle i ułamki precli, rozsypane na blacie; Frania usiadła na krzeselku i sznurując ciągle usta, zażądała dwa „kufelki” piwa. Kelner poszedł machając serwetą, a orkiestra skończyła fantazję z Carmeny.

I nagle pośród stolików, w obrębie białej palisady, odgraniczającej piwiarnię od reszty ogrodu, wybuchł gwar, szum i hałas. Zagłuszone muzyką rozmowy zawirowały w powietrzu jak łopot skrzydeł potwornej gromady ptaków.

Stoliki, otoczone zbitą masą ludzi, tworzyły białe plamy, pocętkowane ciemną masą kufli. Tu i owdzie bieleły, jaśniały suknie kobiece. W oddali krwawiła się nawet j<sup>^</sup>kaś bluzka koralowej barwy, nieco dalej laurowe, błękitne jak turkusy sukienki podlotków przybierały w świetle zachodzącego słońca fioletowe, dziwaczne tony. Pęki kwiatów kołysały się na żółtych tłach kapeluszy, tu i owdzie pióra drżały, poruszone niewidzialnym podmuchem wiatru.



Środkiem, pomiędzy stołami, szło maluchne dziecko w długiej, aksamitnej, fioletowej sukience, dziecko białe, różowe, tłuste i śmieszne, wlokąc za sobą laskę z dużą srebrną gałką. Co chwila jakaś ręka wyciągała się w stronę dziecka, jakby chcąc pochwycić to różowe zjawisko, lecz ono szło dalej, dumne i trochę zamyślane, z oczami utkwionymi przed siebie, w szeroką przestrzeń ogrodu, który się przez otwartą bramę rozkładał w zieleni drzew i klombach kwiatów, przyczernionych teraz tłumem ludzi, co się po alejach snuł.

Poza ogrodzeniem przemknęła gromada dam i mężczyzn, śmiejąc się głośno i hałasując. Kobiety miały jasne płócienne suknie, skromne i na biodrach obcisłe, mężczyźni doskonale skrojoną odzież i jasne cylindry. Mówili po francusku krzykliwymi głosami i bezwiednie zabierali całą przestrzeń alei, usuwając innych w cień i ciszę.

Siedzący w ogrodzeniu restauracyjnym ludzie zaczęli podnosić się z krzeseł i wymieniać nazwiska:

— Hrabinal księżna, ol o!... te cztery panny w białych włóczkowych pelerynkach to córki namiestnika... a to sama namiestnikowaL. Ten młody blondyn w meloniku brązowym — to baron Brunszwicki... A to jego narzeczona...

Frania wyprostowała się i zacisnęła jeszcze więcej usta. To zbliżenie się arystokracji, którą czuła oddzieloną od siebie zaledwie kilkoma krokami i linią sztachet, przejmowało ją uroczystym nastrojem. Baczenie spojrzała na męża, który pił w tej chwili piwo, a płyn ciekł mu po siwej brodzie i spadał kroplami złotawymi na białą pikową kamizelkę. Na Franię wystąpiły ognie. A nuż kto dostrzeże. Wyciągnęła nogę i kopnęła nią męża, ten podskoczył i spojrzał na żonę przełożony. Lecz Frania uśmiechała się ciągle i jakkolwiek bardzo czerwona nie rozsznurowała ust ani na chwilę...

Gromada arystokratyczna, popychając się i mówiąc często chowską francuszczyzną, zniknęła pod gałęziami drzew.

Teraz powoli stoliki opróżniały się i damy sprzedające bilety wstawały znużone, przeciągając się lekkim, wdzięcznym ruchem.

Panowie komitetowi, złani potem, obliczali kasy, zsypywali pieniądze w kapelusze.

Brzęk ich łączył się z dalekimi tonami muzyki, które majaczyły w przestworzu.

Wraz z odejściem arystokracji dokoła Frani wytworzyła się moralna pustka. W umyśle tej biednej kwoki owe hrabiny i księżny stanowiły jądro społeczeństwa. To, co zostało i piło piwo przy stolikach, nie było w dziesiątej części warte uwagi.

I teraz Frania zmrużonymi oczami patrzyła dookoła, jakby nagle czując się wyższą, bogatszą, lepiej urodzoną od całego tłumu. Zdawało się jej, że jakaś fatalność wtłoczyła ją pomiędzy tych ludzi... Jej moralne „ja” bez przyczyny zaczęło roić i przybierać wielkie rozmiary.

Było tak silne i gniewu pełne, że czuła, iż niedługo jej fizyczne „ja” nie wystarczy na pomieszczenie tej pychy i tej przerażającej pustki, która jej serce rozsadzała.

Potoczyła wzrokiem dokoła; mrok zapadał i gdzieś tam zapalono latarnie i lampiony gazowe. Jasne punkciki migotały w błękitnym świetle. I nagle Frania uczuła silny, gorący prąd, przebiegający jej ciało. Oczy jej padły na mężczyznę siedzącego obok jej stołu, schylonego nad kuflem piwa, który spokojnie patrzył wprost przed siebie, paląc papierosa. Na chwilę jego duże, ciemne oczy spotkały drobne źrenice Frani i z głębi jego oczów w oczy kobiety wpadł ten prąd nieuchwytny, to drganie atomów, okrążających każde ciało, stanowiących drugie ciało, odlatujące od nas dobrowolnie, pite, połykane, wchodzące w krew, trawione, inkrustowane w źrenicach innych osobników, którzy nawzajem dają nam z siebie ten obłok niewidzialny, ciągnący się za nami wszystkimi jak para ponad słupem wrzącej wody.

Frانيا, nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy, czuła jednak, że od tego człowieka płynie ku niej jakiś czar, coś nieuchwytnego, a przecież co powoli wypełnia ją całą | przejmując ją na wskroś jak ciepło wiosenne...

Zmieszana, przerażona, pochyliła się nad stolikiem i kreśliła palcem po blacie niewidzialne zygzaki.

Lecz po chwili podniosła znów głowę i wzrokiem szukała nieznanego. Siedział ciągle przy stoliku samotny, spokojny, opierając się teraz na lasce, z przygasłym papierosem w zaciśniętych zębach.

Był to rosły, dość chudy brunet, ubrany czysto i porządnie, z włosami gładko przystrzyżonymi i siwiejącymi już na skroniach. Rysy twarzy jego były regularne, nos silnie zaznaczony i zagięty, usta ocienione niewielkim wąsem. Słowem, postać dość pospolita, często spotykana tu i owdzie, nie zwracająca uwagi.

Lecz pod rondem kapelusza migotały duże, czarne oczy, wielkie i ocienione rzęsami. W oczach tych leżał główny ozar, który Franię uczynił nagle zmieszaną i bezsilną, napętniając jej istotę niepokojem pensjonarki pomimo jej lat czterdziestu.

Nigdy żonie Marulki nie zdarzyło się odczuć tego piorunowego uderzenia, które wstrząsa całą fizyczną i moralną istotą kobiety. Zaczęła drżeć nagle i naciągnęła na plecy narzutkę, schowała pod nią ręce i obie pięście przycisnęła do żołądka. Miała teraz wygląd przerażonej kury, którą nagle spętano i przed której ślipiami błyska już ostrze kuchennego noża.

Mężczyzna nie patrzył teraz na nią i zwrócony profilem, śledził powolne zapalanie się lampionów na ciemnym tle parku. Frania nie spuszczała go z oka. Zdawało się jej, że człowieka tego zna doskonale, że spędziła z nim długie lata, życie całe! Wielkość jej malała teraz, drobniała i czyniła ją pokorną i mniej złośliwą. Pobladła i nie czuła, że kapelusz przekrzywił się jej, zsuwając na lewe ucho. Bezwiednie miękła w swym śmiesznym i mizernym gniewie wobec jakiejś przepotężnej duchowej zagadki, którą odczuć umiała, lecz szła w nią na oślep, jak zwierzę w wąwóz pchane.

Chwilę chciała się otrząsnąć z tego wrażenia, zwróciła się w stronę Marulki, lecz ten właśnie dobywał ukradkiem z kieszeni tabakę i gotował się do zażycia porządnego niucha.

I po raz pierwszy, w życiu Frania odwróciła głowę, nie złorzecząc i nie wymyślając mężowi za ten nałóg, który napętniał ją wstrętem.

Czuła, że gniewne słowo zabrzmiało fatalnie w tej chwili, w której w jej piersiach zimnych i pustych coś jakby dławione łkanie nurtować zaczyna!...

I znów fatalnie, jakby więzami skuta, zwróciła się ku nieznanemu, który siedział wciąż nieruchomy, tonąc coraz więcej w cieniu, podczas gdy w oddali tłumy ludzi zaczynały występować jaskrawymi sylwetkami pod masą płomieni gazowych.

I w cieniu tym nieznanomy nabierał coraz więcej fantastycznej i tajemniczej grozy. Teraz bowiem Frania, nie widząc dokładnie jego

rysów, całym nerwowym napięciem swej istoty krążyła dokoła jego postaci, chcąc dojrzeć jego twarz, spojrzenie, ust wycięcie. Ciągnął ją ku sobie jak otchłań, jak przepaść. Straciła wolę i świadomość siebie. Nogi jej zlodowaciały, a wzdłuż bioder przebiegały płomienie. Chwilę przesunęło się jej przez myśl słowo „opętanie” to znów „tyfus”. Wreszcie myśli mięszały się jej w chaosie zupełnym, nie wiedziała dokładnie, kim jest, gdzie jest, czuła tylko, że ginie w jakimś pragnieniu i tęsknocie wśród dreszczów i błyskawic, targających jej ciałem i rozsadzających jej piersi nieokreślonym smutkiem.

Była to dla niej męczarnia, lecz męczarnia dość słodka i pełna wdzięku. Siedziała cicho i spokojnie, bojąc się spłoszyć tego ptaka, co w ciele jej bił skrzydłami rozkosznego niepokoju. I tylko wciąż oczyma śledziła postać nieznanego, odgadując go teraz więcej, niż widząc; znała go tak dobrze! pomimo że widziała go po raz pierwszy, od dawna, od dziewczęcych jej lat był w niej, w głębi jej samej, był nią samą, czuła to, wierzyła, miała to niezłomne przekonanie.

I powoli teraz zaczęła się uspokajać, nie tracąc wszakże nic z wrażeń niespodziewanych, które opadły ją jak chmara motyli nocnych o wspaniałych złotem utkanych skrzydłach.

Zrozumiała, że temu człowiekowi oddałaby się chętnie i bez wstrętu, że z nim pożycie małżeńskie byłoby nie tylko znośnym, ale nawet pożądanym, że w jego objęciach nie myślałaby o drożyźnie masła lub o plotkach pani Gundelskiej...

I równocześnie z tą myślą ogarnął ją żal za tym czymś, co to w książkach drukują, co być może istnieje, co inne kobiety czują, co im dopomaga do przebycia ciężkiej włóczki życiowej, i razem z tym sentymentalnym nastrojem zaczęły w niej drgać i kipieć uśpione zmysły, domagające

się o tej spóźnionej porze, w chwili krytycznego przełomu koniecznego zaspokojenia.

I gdyby ten człowiek, ten siedzący w cieniu, wyciągnął rękę, byłaby mu osunęła się do stóp pokorna i wdzięczna, spragniona jego pieśczoćty jak zranione zwierzę wody, drżąca na samą myśl królewskiej rozkoszy, jaką przeczuwała lat tyle, i wreszcie, gniewna i rozzalona, z kobiety stała się nędzną i wystygłą bryłą.

Muzyka, ukryta na balkonie restauracji, grała teraz jakieś urywki operowe. Frania zaczęła otwierać i słuch na dźwięki melodii. Nie drażniły jej rozpasanych w ustawicznym gniewie nerwów. Przeciwnie, teraz dobrze towarzyszyły jej sentymentalno-zmysłowemu podnieceniu.

Cały szereg fatalnych zmysłowych obrazów przesuwiał się przed oczami tej skromnej i biednej istoty.

Wyobrażnia jej rozpasła się nagle i przełamała bariery wstydu i konwenansów światowych.

Chwilę w fantazji swej ta mała, gruba urzędniczka w kapeluszu na bakier i zbyt ciasnych bucikach miała pożądania i chęci Messaliny \*, marzącej na łożu ze słoniowej kości...

Lecz nagle ten, który wzbudził w tej małej, śmiesznej duszy cały pożar nieznanych jej namięćności i pragnień, wstał i zadzwonił kuflem o spodek.

— Zahlkelnerf... \*

Do stolika przypadł kelner, zgarnął pieniądze i podał mężczyźnie laskę. Frania rozpaczliwie zacisnęła ręce pod narzutą. Kilka frędzelek dżetowych pękło z suchym trzaskiem.

Mężczyzna powoli, lawirując wśród stołów, odszedł, przekroczył ogrodzenie i znikł w ciemnej alei, gdzie zamiast lampionów przez gęste krzaki przedzierał się srebrny blask księżyca.

W oczach Frani równocześnie zgasły fosforyczne blaski, gorączka ustąpiła nagle chłodnemu spokojowi. Poprawiła

Messalina — żona cesarza rzymskiego Klaudiusza, znana z chciwości, intryg i rozwiązłego życia. W 48 r. n.e. została stracona na rozkaz Klaudiusza.

Zahlkelner właśc.: Zahlkellnet (niem.) — główny kelner w restauracji (płatniczy)

kapelusz i wypila reszte piwa. Zasznurowala usta i zlozyla rece w małdrzyk, siedziala tak gruba, niska, zgarbiona w swej dzetowej pelerynce z „kokockim” kwiatem na czubie kapelusza.

Tego wieczoru raz jedyne, i to przez krótką chwile, Frania lubila muzyke, mezczyzn i swiatlo księzyca!

## Ostatni Promień

### Szkic

ściemniało się, już zupełnie, gdy Elszykowska weszła cicho, tłumiąc odgłos swych kroków, do przedpokoju.

Potarła o ścianę zapalając, którą trzymała w ręku i błękitnawy ognek zabłysnął wśród ciemnej przestrzeni.

Ognik ten oświecił od dołu twarz kobiety i odbił jej słaby cień na ścianie pokrytej szarym, bezbarwnym obiciem.

Elszykowska zbliżyła się do kinkietu wiszącego naprze-; ciw wieszadła — lewą ręką uniosła w górę szkło, prawą wraz z zapalającą zbliżyła do knota, po czym rzuciła dogasającą zapalającą na ziemię, zasadziła szkło, poprawiła knot i teraz oparła się o ścianę tuż obok kinkietu, z którego biło na nią niepewne żółtawe światło złej i taniej nafty.

Kobieta stała dłuższą chwilę z rękami zawieszonymi po obu stronach ciała — wysoka i smukła, a nawet chuda w swej zużytej bluzce z ciemno czerwonej wełny, ściśniętej w pasie zrudziałą czarną wstążką. Brązowa spódnica zwieszała się z bioder sterczących fiszbinami gorsetu, rękawy bluzki, zbyt ciasne, ścisnęły ramiona i napędzały do rąk krew, znaczącą się błękitnawymi pręgami na tle żółtej skóry.

Elszykowska trzymała głowę opartą o ścianę, głowę podłużną, niemal - spiczastą z powodu skręconych na czubku włosów przepiętych lawową strzałą. Na skroniach włosy te siwiały, wyciągając się silnie jak struny szarawe, przepojone pomadą na śnieżnobiałej skórze obciążającej czaszkę. Pod rzadkimi, silnie do góry podniesionymi brwiami migotały oczy, spłowiałe, błękitne, jakby zdziwione zmarszczkami, które zwartą siatką oplatały je dokoła, ciągnąc się koronką delikatnych linii ku szyi długiej, smutnej, chudej, wyciągniętej w górę jak szyja ptaka szukającego wyjścia z sideł, w które wpadł wśród nocnych cieni.

Naprzeciw Elszykowskiej stało wieszadło, okrągłe, złożone z kołków świecących teraz migotliwymi punkcikami. Na tym wieszadle, jak nędzna szmata, zwieszało się ku ziemi zielonawe, zużyte palto męskie, z kieszeniami wypchanymi masą książek, broszur, zwitków zapisanego papieru. Podszewka tu i owdzie była rozpruta, żółtawe kłaczki zbitej w masę waty białeły około pach, na ciemnym tle wytartej podszewki.

Palto owe miało w sobie coś z abnegacji człowieka, który je nosił, widocznym było, iż okrywało dawno spadziste ramiona i wypukłe plecy swego właściciela. Miało w sobie smutną pracowitość i brak energii zupełny, tak rękawy jego zwieszały się bezsilnie, -jakby ramiona wisielca.

Elszykowska wpatrzyła się w fałdy tej odzieży, wpiła się w nie wzrokiem i usta jej rozchyliły się powoli, jak kwiat zwiędły pod działaniem wrzącej wody. Oczy powlokły się mgłą, na szyi wystąpiły pręgi żył, cała twarz i postać kobiety przybrały wyraz sentymentalnej namiętności.

Jakieś rozrzewnienie prawie macierzyńskie mieszało się ze zmysłową chęcią posiadania. Widocznym było, iż sentymentalizm przeważał, pokrywając rodzajem welonu gorączkę trawiącą zmysły, mimo to chwilami welon się stawał przezroczystym i w zdziwionych źrenicach, oprawnych siatką zmarszczek, błyskało coś na kształt fosforycznego, bladego światełka.

I nagle — Elszykowska oderwała się od ściany, rzuciła się ku wieszadłu i ująwszy klapę paltota, tulić doń swą twarz wychudłą zaczęła. Szeptala po" cichu jakieś krótkie, urywane słowa — drżącymi palcami mięła tkaninę. Zamknęła powieki i o policzek ocierała wytarty wąski pasek aksamitu kołnierza...

Nagle drzwi się otwarły i szybko do przedpokoju wpadła czternastoletnia dziewczyna, z warkoczami spuszczonej na trochę zgarbione plecy. Miała na sobie bluzkę z tego samego co i bluzka Elszykowskiej materiału — tylko w pasie krwawoczerwoną wstążkę i na biodrach piaskowo jasną spódnicę. W ręku trzymała zwiniętą książkę nieoprawną, z poszarpaną błękitną okładką.

Poskoczyła ku wieszadłu i tam spotkała się z matką, która cała okryta nagłym potem, drżąca, zmieszana, uda-



wała, iż wkręca w słup źle trzymający się kołek, na którym wisiał okrągły kastorowy \* kapelusz.

Dziewczyna zatrzymała się, rękę z książką cofnęła w tył i ukryła w fałdach spódnicy. Chwilę panowało milczenie i tylko słyhać 'było monotony głos chłopięcy, który nagle spoza drzwi dolatywać zaczął. Wreszcie Elszykowska wysunęła się z cienia.

— Czy Tadek nie skończył jeszcze lekcji?

Dziewczyna patrzyła bystro na matkę spod brwi dobrze nakreślonych i lekko ściągniętych.

— Przecież mama widzi palto Belszyńskiego, zresztą aż tu słyhać, jak Tadek swoją grekę stęka!

Elszykowska powoli zaczęła odzyskiwać równowagę.

— Czego tu chcesz, Jadziu! — spytała niecierpliwie.

— Kucharka pyta, co będzie do herbaty.

Elszykowska zagryzła usta.

— Idę} — wyrzekła przyciszonym głosem.

I skierowała się ku drzwiom w głębi, otworzyła je i znikła, przykładając rękę do rozpalonych policzków, na które wystąpiły purpurowe plamy. Jadzia patrzyła na oddalającą się matkę i gdy ta znikła poza zamkniętymi drzwiami, wzruszyła ramionami. Zagadkowy uśmiech przesunął się po jej wąskich wargach. Zbliżyła się szybko do wieszadła i w kieszeń paltota wsunęła trzymaną w ręku książkę. Broszura uparcie połamana nie chciała wejść w zbyt ciasny otwór odzieży. Jadzia rozwinęła ją, wyprostowała i na kolanie zwinęła znów ciaśniej, wygładzając zwinięte rogi czerwoną, chudą ręką. Warkocze spadły jej na piersi i wiły się jak złote węże na krwawym tle stanika.

Na żółtej okładce zaczerniły się litery:

Also sprach der Zarathustra \*.

A nieco niżej:

Fryderyk Nietzsche.

Gabriela Zapolska Nareszcie Jadzia zdołała wsunąć broszurę w kieszeń palta. Odsunęła się od wieszadła. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich młody człowiek, niski, z ciemną brodą okalającą twarz, o okrągłym, a mimo to wychudłym owalu. W twarzy tej czoło miało dziwny charakter uporu, lecz zarazem jakiejś nerwowej słabości; włosy od linii zarostu twarde i szorstkie falowały dalej miękko, niepewnie, jakby na wolę losu rzucone. Reszta rysów grubych, chłopskich, okrytych ciemną skórą, tonęła prawie w masie tych czarnych włosów, kryjących usta, które zaledwie bladą linijką przebłyskiwały wśród zarośli brody. Zniszczona kurtka zwieszała się z ramion, przybierając te same fałdy i kierunek, jakie miało palto zawieszane na szaragach. Na kamizelce połyskiwał nikłowy łańcuszek z małym srebrnym medalionikiem.

Ujrzawszy go, Jadzia cofnęła się w głąb przedpokoju i na jego niedbały, trochę nieśmiały ukłon nie odpowiedziała nawet skinieniem głowy. Nie odchodziła wszakie, zacisnąwszy usta i schowawszy ręce w fałdy spódnicy.

Bełszyński tymczasem zdjął palto i zaczął je powoli wciągać na ramiona. Jadzia spod opuszczonych powiek śledziła jego ruchy, sama nieruchoma, oparta o ścianę, przybierając tą samą pozę, jaką miała przed chwilą jej matka, gdy stała wpatrzona w owo zielone palto, obeonie ożywiające się i wypełniające postacią studenta.

Bełszyński ujął w rękę kapelusz, pomacał kieszenie, jakby chcąc się przekonać, czy wszystkie broszury i książki są na swoim miejscu i chrząknął silnie, jakby mu nagle zaschło w gardle.

—Już idę! — wyrzekł bardzo niskim i dźwięcznym głosem — może pani zechce mamy o bilet poprosić!

Jadzia zmrużyła oczy, ściągnęła brwi, krótką, jedną sekundę wpiła się żrenicami w twarz mężczyzny i wreszcie otworzyła drzwi prowadzące do dalszych pokojów.

—Mamo! — zawołała — korepetytor odchodzi!

Natychmiast z ciemni wynurzyła się postać Elszykowskiej, tak jakby ona sama stała pode drzwiami, oczekując na tę chwilę.

Nie wchodząc do przedpokoju, wyciągnęła rękę.

—Proszę pana... oto bilet! — wyrzekła cichym głosem. Bełszyński ciężkim krokiem podszedł ku niej.

— Dziękuję!

Wziął kartkę, no której grubymi cyframi naznaczona była rzymska dwunastka, zawahał się chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, o coś prosić... jakby czekał na jakieś słowa z ust gospodyni domu, lecz ona, na wpół ukryta w cleniu, stała milcząca i tylko w ciemnej głębi majaczyła niewyraźnie plama żółtawa jej twarzy i jednej ręki, którą Elszykowska trzymała tpraz kurczowo u szyi zaciśniętą.

Wobec tych dwóch milczących postaci kobiecych, których źrenice czuł na sobie, Belszyński cofnął się i odsunawszy rygiel, wyszedł, wpuszczając otwarciem drzwi wchodowych prąd zimnego powietrza i smugę światła gazu, napełniającego mleczną białością klatkę wschodową.

Elszykowska weszła na chwilę do sypialnego pokoju.

Była to podłużna szuflada, oklejona ciemno szafirowym papierem.

Pod ścianami stały dwa łóżka palisandrowe, porządnie zasłane i okryte kapami szydełkowej roboty.

Pomiędzy nimi komoda, na niej tualebka, dwie świece oprawne w srebrne lichtarze. Przy oknie mały stoliczek, na nim koszyczek z rozpoczętą szydełkową robotą.

Nigdzie ani śladu kufzu, wszystko czysto sprzątnięte, ustawione, na umywalni szczoteczki ułożone metodycznie w głębi porcelanowego pudełka.

Na stoliczku lampka niewielka, przyćmiona papierowym abazurem.

Elszykowska zbliżyła się do komody i oparłszy się łokciami o blat, ukryła w dłoniach głowę.

Tak! kochała się w Belszyńskim i to od dwóch lat, od chwili, gdy ten brzydki i chmurny student wszedł na próg ich domu.

Kochała go w tajemnicy najwyższej i długo nawet przed sobą samą nie chciała się przyznać do tej miłości dla korepetytora swego syna, miłości, która czyniła ją śmieszna, nędzna, głupia, a mimo to wżarła się już tak w jej istotę, że stanowiła część jej samej.

Belszyński zdawał się nie spostrzegać nawet tej gorącej, sentymentalnej namiętności, jaką wzbudził w tej czterdzie-

stoletniej kobiecie, chudej, zmęczonej, siwiejącej i traktującej go z jakąś dziwną, według niego „niegrzeczną”, lękliwością. Kilkakrotnie przy podawaniu mu biletu lub wypłacaniu pieniędzy palce ich się zetknęły. Elszykowska natychmiast cofała swoje jakby za dotknięciem rozpalonego żelaza. Uważał ją jak „matkę swojego ucznia” — nic więcej. Była dla niego tym samym, czym to wieszadło, na którego kołku zawieszał swe palto ód lat dwóch. W ogóle było to usposobienie zimne. Kobieta była dlań niższym organizmem — przechodził mimo dziewicy często, mając na ustach sprośne żarty i słowa, lecz zbywając wzruszeniem ramion to, co namiętnością płciową zwać się mogło. Kobieta była dlań potrzebna do zachowania gatunku — kiedyś, później, skoro 'będzie mieć ku temu środki, weźmie sobie może towarzyszkę, z którą spełni akt altruizmem podyktowany.

Tymczasem Elszykowska kochała go coraz głębiej, coraz namiętniej, mając w tej pasji ostatni jasny promień nędznego życia żony urzędnika, który po mozolnej pracy lat czterdziestu doszedł do tysiąca sześciuset rubli rocznej pensji i chronicznej choroby, na którą nawet specyfiki ogłaszane na czwartej stronie pism pomoc nie mogły.

W pierwszych latach małżeństwa Elszykowska walczyła z niedostatkami, z ukrytą i łataną biedą — i powoli pod wpływem tej ciągłej walki o możność kupienia funta wołowiny na rosół lub serdelka do herbaty straciła najzupełniej jakiegokolwiek namiętne porywy. Nie kochała nigdy nikogo, trochę męża, trochę dzieci — i doszła tak w tym chłdzie i przyzwoitej moralności do lat czterdziestu — gdy nagle serce jej zatrzepotało jak ptak długo więziony w zbyt ciasnej i ciemnej klatce. Ten młody chłopiec od pierwszej chwili sprawił na niej piorunujące wrażenie i po pierwszej jego bytności w ich domu zdawało się jej, że dostała obłędu. Gdy nagle wymówiono imię nowego korepetytora, twarz jej oblewała się krwawym rumieńcem, jak twarz piętnastoletniej dziewczyny. I odtąd jedyną troską jej życia było ukrycie tego uczucia, które w tajemnicy wzrosło do olbrzymiej potęgi szalonej namiętności. Chwilami Elszykowską ogarniała żądza namiętnych pieszczot i ona, tak zwykle spokojna i martwa, roiała sceny przechodzące zakreślone wyobraźni granice. To znów przeważał

sentymalizm i po kryzysie zmysłowego nastroju następował nerwowy smutek beznadziejnej uczuciowości.

Mimo to nigdy najłżejszy cień kokieterii i uczynienia wrażenia nie przesunął się przez jej postępowanie. Czesłała ciągle po chińsku włosy, nie zasmarowując farbą siwiejących nici. Jak spłoszona sarna przemykała się przez pokój, w którym Belszyński uczył jej syna. Często stawała pode drzwiami i wsłuchiwała się z rozkoszą w niski, basowy głos studenta. Zamykała oczy i zaciskała ręce koło szyi, do której krew napływała gorącą strugą. Często spod przymkniętych powiek spływały łzy, drżały na nędznych rzęsach i spadały na stanik okrywający zapadłą pierś, jak całun rozkładające się części trupa.

Było to dla niej cierpienie, lecz zarazem i rozkosz wielka, a dawniej dla niej nie znana. Zdawało się jej, że jesień jej życia ozłaca gorąca struga słońca. Przed poznaniem Belszyńskiego miała przekonanie, iż jest już bardzo starą i zgrzybiałą kobietą, lecz gdy zbudziło się w niej serce, odmłodziła moralnie i miała złudzenie, iż teraz dopiero zaczyna się jej życie, jakkolwiek nadzieją wzajemności nie łudziła się ani na chwilę. Wystarczył jej widok studenta, dźwięk jego głosu, ta krótka chwila, w której podawała mu bilet, i przeświadczenie, że go zobaczy jutro, pojutrze i w dniu następnym.

Resztę uczucia koncentrowała w marzeniu, w snach gorączkowych, namiętnych, to znów w potoku łez, który obmywał jej twarz zmarszczkami pooraną.

—Tatko!

—Na szczęście! myślałam, że się już nie doczekamy!...

Jadwisia złożyła książkę, nad którą siedziała zgarbiona tuż obok gotującego się samowaru.

W przedpokoju Elszykowski zdejmował futro, kalosze, wycierał nos i pluł w chustkę, chrząkając przy tym półgłosem.

Wreszcie otworzył drzwi i wszedł do jadalnego pokoju.

— Jak się macie, dzieci! — wyrzekł nosowym głosem — gdzież mama?... Mamo! Mamo!...

Podszedł do drzwi sypialni, zacierając ręce, i powtórzył kilkakrotnie:

— Mamo! Mamo!...

W sypialni dały się słyszeć szybkie kroki i przez drzwi uchylone wsunęła się Elszykowska, trzymając chustkę przy zaczerwienionej twarzy.

— Cóż to? Znów zęby? — zapytał Eiszykowski i nie czekając na odpowiedź, posunął się ku stołowi.

- Nalejcie mi herbaty... Psie zimno... Zmarzłem, aż mi ręce poszty wniały. Elszykowska zbliżyła się do stołu i wzięwszy czajnik w rękę, nalewała esencję do poustawianych na obrusie filiżanek.

Unikała pełnego światła i kryła się w cieniu poza samowarem, zastawiając się owym bólem zębów, który wymyśliła sobie jako ochronę przed zbyt gadatliwością męża lub dzieci, a zarazem jako usprawiedliwienie zbyt często teraz załzawionych i zaczerwienionych oczów.

Lecz Eiszykowski nie patrzył na żonę, wziął w rękę filiżankę i podniósłszy ją ku górze pod lampę, przyglądał się z zadowoleniem przeświecającej przez porcelanę herbacie....

— Ładne filiżanki — przemówił z uśmiechem — cieszę się, że je kupiłem, niedrogie, porcelana cienka, pasek złożony dystyngowany... Poprawił się na krześle i po chleb nasmarowany masłem sięgnął.

— Zresztą, teraz w przyzwoitych domach nikt herbaty w szklankach, nife pije!...

Nikt mu nie odpowiedział, codziennie bowiem Eiszykowski powtarzał to samo, codziennie przyglądał się porcelanie filiżanek i wieszował sobie ich nabytku.

Jadzia i Tadzio, przyzwyczajeni do maniactw ojca, pili herbatę i jedli gorące serdelki.

Eiszykowski sięgnął po leżący na stole kurierek.

— Dlaczego mama zostawia gazety na stole? — zapytał z wymówką, zwracając się w stronę żony. — Jadzia stara się czytać fejetony, a teraz Bóg wie co w nich drukują i dobrze wychowane panienki nie powinny czytać takich rzeczy!

Elszykowska nie odpowiedziała na ten zarzut męża,

usiadła poza samowarem i oparła twarz na dłoni. W jasnym świetle wiszącej lampy wydawała się jeszcze starszą, nędzniejszą i bardziej pomarszczoną.

Elszykowski rozwinął kuriera i czytać zaczął. Tymczasem Tadek z drugiej strony starał się przeczytać ogłoszenia. Jadwisia obojętnie spoglądała na kłęby pary bijące z samowara.

Nagle Tadek łamiącym się głosem podrostka zawołał:

— Proszę taty! trzeba podać do kuriera!

Elszykowski, zdziwiony, spoza drukowanego arkusza się wysunął.

— Dlaczego?

— Bo ten Belszyński nie może już dawać korepetycji!

— Dlaczego?

— 'Nietęgi jest-w matematyce; po herbacie będę musiał pójść do kolegi, aby z nim zadanie przerobić...

Elszykowski podniósł znów w górę filiżankę i palcem po drugiej stronie ścianki wodził.

— To się go odprawi — Zakonkludował spokojnie, stawiając filiżankę na spodeczku.

· Ja mu dziś powiedziałem, że wyjeżdżamy na tydzień na wieś, do Grodziska.— ciągnął dalej Tadek — niby do babci 1 że. napiszemy do niego, kiedy powrócimy. . Niby zawsze... tak grzeczniej. Prawda?... Co?... Prawda, tatusiu?...

Elszykowski kiwnął głową. Naturalnie, grzeczniej i przy- zwoiciej, choć znowu nie ma potrzeby robić tyle ceremonii względem korepetytora... Zatrzaszczył się tylko o cyfrę lekcji, jakże te dziesięć rubli rozłożyć. Lecz Tadek uspokoił go natychmiast.

— Diiiś dała mii mama dwunasty bilet. Prawda, mamo?

Elszykowska siedziała nieruchoma, na pozór niezmieniona, tylko cała nagle zlodowaciała pod wpływem tego ciosu, który druzgotał jej serce.

Trzymała wciąż chustkę przy ustach i zęby jej dygotać zaczęły jak w febrze. Przed oczyma mąż, syn, kłęby pary — wirowały i rozpływały się jak nieuchwytnie cienie,

Elszykowski, nie otrzymawszy odpowiedzi, zwrócił się znów do syna.

— Ha... to napisze się ogłoszenie, ty radź sobie tymczasem, odpisując od kolegów, a temu panu pośle się jutro

przez posłańca pieniądze. A teraz dajcie mi święty spokój i siedźcie cicho, niech kuriera dokończę.

Wszyscy zapadli znów w martwe milczenie, tylko jeden Tadek pił herbatę i opychał się chlebem z masłem i serdelkami.

Jadwisia nagle jeść przestała, pobladła i oczy utkwiała w deseń obrusa. Machinalnie gniotła chleb i rozrzuciła dokoła kruszyny. Jedna z nich wpadła w filiżankę Tadka. Chłopak brutalnie odepchnął łokieć siostry i zaczął na spodek wylewać herbatę. Lecz Jadwisia, jakby tylko oczekując sposobu ulżenia strasznej nerwowej walce, jaką w sobie toczyła, porwała silnie, okrutnie niemal, brata za ucho.

— Smarkaczu!... — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

Tadek ryknął płaczem.

— Mamo! Jadzia się bije! — wrzeszczał, otwierając szeroko usta i podskakując na krześle.

Noc.

Zwrócona twarzą do ściany, w rurkowanym czepku i długiej nocnej koszuli leży Elszykowska, podobna więcej do trupa niż żyjącej istoty.

Ta jedna godzina uczyniła ją zgrzybiałą staruszką, zmieniła jej rysy, pogrzebała w tym szmacie ciała ją samą, jej serce, jej duszę, jej istotę życia.

Nigdy przez umysł jej nie przesunęła się myśl, iż Belszyński może przestać być korepetytorem jej syna. Było to przecież bardzo logiczne, ale ona, w chwili gdy kochać zaczęła, wykluczyła logikę ze swego programu umysłowego. I nagle spadł na nią ten grom, pociągając ją w ciemnię po chwili słonecznego blasku. Czuła teraz, iż to, co ją wiązało z Belszyńskim, nie było jedynie zadowolnioną potrzebą serdecznego uczucia, lecz że razem z nim jednoczył się jeszcze jakiś prąd świeży, coś doskonalszego nad to, co ją otaczało, czego nie rozumiała, jak gąsienica w pochwie zamknięta, lecz co przeczuwała jak ta, która była może już kimś na wzór Belszyńskiego, kimś, co w górę szedł ku szerszym gościńcom, ozłoconym blaskiem idei '.



Lecz gdyby ją kto zapytał, co jest idea lub co stanowi wytyczną owych szerokich gościńców — nie umiałaby na nie znaleźć odpowiedzi. Tak samo nie umiałaby określić rodzaju bólu, jaki szarpał jej całą istotę. Wiedziała tylko, że cierpiała i że cierpienie to nie miało się skończyć nigdy.

I nagle łkanie spazmatyczne podniosło jej pierś i wśród ciszy nocnej rozległo się jak jęk dławionej ofiary.

Z naprzeciw stojącego łóżka podniósł się na wpół Elszykowski zaspany i zmrużonymi oczyma starał się w świetle lampy dojrzeć twarz żony.

Ona, przerażona tym wybuchem rozpacz, leżała teraz cicho, mnąc w palcach prześcieradło.

— Cóż ci to?... Znów zęby?...

Nie było odpowiedzi.

Elszykowski wzruszył ramionami.

— Mogłabyś też już raz pójść do dentysty i kazać sobie powyrywać spróchniałe korzenie. Przestałabyś kawęczyć... To sensu nie ma. Mnie tylko po nocy budzisz i sama się mizerujesz!

Ułożył się znów do snu, zbił mocno poduszkę, wetknął sobie pod głowę jaśka i naciągając na uszy kołdrę, dodał:

— A jak ci o to chodzi, to możesz sobie kazać kilka zębów wstawić. Czytałem, że tam gdzieś na placu Zamkowym wstawiają po rublu kop. pięćdziesiąt od sztuki. Idź tylko, ja zapłacę!...

Za chwilę chrapał doniośle.

## SIOSTRZYCZKA

Ozy już wracamy do domu?

—Nie, dojedziemy jeszcze do kraty wejściowej i zawrócimy ścieżką koło ślimaka...

—A jak nas kto zobaczy?

Siostrzyczka wydeła buzię.

—Phi!... wielka historia, czy to nam nie wolno jeździć konno?

I pojechały obie, pojechały na koniach fantazyjnych, złożonych z olbrzymich gałęzi, które zamiatały ziemię, podnosząc tumany kurzu.

Sylwetki ich ginęły w tych obłokach, lecz chwilami wy- nurzały się z tumanu okolone aureolą olbrzymich, słomianych kapeluszy. Kapelusze te złościły się i bujały w promieniach słońca, które całymi kaskadami płynęło na wołyńską ziemię w to w lipcowe popołudnie. Na lewo staw zarosły sitowiem lśnił się bez skazy jak tafla aluminium. Nawet nie odbijał błękitu nieba ani wierzb na brzegu płaczących. Na prawo aleja drzew i krzaków leszczyny. Tu i owdzie czarne grona ożyn. Poza tym wałem zieloności, het daleko na wzgórku dwór z gankiem i dachem pokrytym czerwonymi dachówkami Obok jedna topola roztrzaskana piorunem. Koło piekarenki słyszać rąbanie drzewa. Piec dziś będą obwarzanki, starczące na cały tydzień do herbaty wieczornej.

Poza stawem wieś — jak stado grzybów o dachach szerniałych od promieni słonecznych. Za wsią las — za lasem... kto wie?... Może pole, może inna wieś.

Panienki, jadące na koniach z gałęzi lipowych i poganiające te drewniane rumaki szpicrutami z witek leszczyny, nie troszczą się o to, co jest poza lasem. Pędzą teraz galopem, a wiatr włosy i sukienki ich rozwiewa. Jedna z nich duża, smukła — fi topolą młoda — prawie dojrzała I rai-

winię ta kobieta; druga mała, malutka, siedmiolatka ledwie, dorastająca do pasa swej starszej siostrze. Biegają jednak razem, trzymając się swych koni za pomocą kunsztownej maszynerii, złożonej z czerwonej harasówld i dzwoneczków, odczepionych od szyi tekturowego królika.

Kapelusz młodszej panienki spadł na plecy i biegnie za nią na pasku wstążki różowej, zsuniętej aż pod brodę. Panienka nie ma czasu się zatrzymać, bo starsza siostra galopuje wciąż z brzękiem dzwonków po piaskiem zasłanej drodze. Drobnymi nóżkami pędzi siostrzyczka — za długą spódniczką dorosłej dziewczyny, a nóżki te, odziane w długie czarne pończoszki, migają w słońcu jak dwa węże żywe. . Dziewczyny dopadają prawie do bramy, dzwonki brzęczą, suknie fruują, włosy, rozrzucone dokoła zarumienionych twarzyczek, mienią się barwą złota i miedzi. Jasno- liliowe sukienki unoszą się poza nimi jak lekkie skrzydła, delikatne ciała, owinięte tą cienką tkaniną, mają kształty tanagryjskich figurek \*.

—Hop! Hop! — woła starsza siostra.

- Hop! Hop! — powtarza cieniuchnym głosem siostrzyczka.

Zawracają od kraty, nie widząc tumanów kurzu, które pędzą ku nim z przeciwnej strony drogi, nie słysząc turkotu kół i tętentu prawdziwych koni. Na owych fikcyjnych rumakach galopują wciąż rozradowane, zupełnie zadowolone tą fikcją, tym mirażem rzeczywistości, którego cugle trzymają w dłoni.

—Dalej!... do kaliny, a potem do stajni! — wyrokuje siostrzyczka.

Pędzi teraz naprzód, dysząc ciężko. Bije się witką, obraną z liści, po nóżkach i nie czuje bólu, tak daleko unosi ją fantazja.

Nagle słyszy przerażający turkot prawie nad swoją głową.

Zatrzymuje się, odwraca i widzi, że starsza siostra zatrzymała się również na brzegu rowu, niezdecydowana, zarumieniona.

Drogą toczy się zgrabny powozik, zaprzężony W cztery bułanki — och! bułanki nie z gałęzi, ale pra<sup>^</sup>ziwe, blado- żółte z odcieniem różowym, z grzywami o\*łzłotoblond połysku. Na koźle stangret i lokaj w długich, ciemnych li- beryjnych płaszczach. Nie ma na nich śladu kurzu, widocznie' przed bramą zdjęli z siebie okrycia płócienne.

We wnętrzu powoziku, na ciemnoszafirowym tle sukna, siedzi młody mężczyzna, blondyn (och, jaki!), z oczyma błękitnymi, z twarzą trochę nadwiedłą, lecz z wąsami nadzwyczajnej długości. Owinął się rodzajem pudermantla\* i bladawobłękitnej satyny i jasna jego cera i niebo oczu tworzą doskonałą harmonię barw.

Na jego widok starsza siostra, stojąca wciąż nad rowem, okrywa się pasem i drżącymi rękami stara się odrzucić precz od siebie gałąź, strojną w czerwone tasiemki i dzwonki. Gałąź jednak trzyma się uparcie, jak talent nędzarzy — i panienka ma prawie łzy w oczach, tak bardzo rada by odzepić od siebie swego folbluta\*.

Młodzieniec w pudermantlu podnosi się cokolwiek na poduszkach i patrzy ze zdziwieniem na ten manewr panienki.

Ona — zrozpaczona — nie widząc innego ratunku, siada nagle na ziemi, łamiąc swego wierzchowca, który rozpada się na dwie części.

Tymczasem — siostrzyczka — odwraca się i urągając konwenansom i wszelkim przepisom przyzwoitego zachowania się, pędzi na swej gałęzi ku kalinie, która jak bukiet

•purpurowy spośród zieleni wykwita.

—Złamałaś swego konia?... Jakim sposobem?... pokaż, może się da związać...

I siostrzyczka, szczerze zmartwiona, odzepia swoją gałąź, przywiązuje ją do pnia kaliny i zaczyna oglądać złamanego wierzchowca swej siostry.

—Szkoda go! — wyrokuje -f— choć go złatamy, nie bę-

dziesz mogła już na nim jeździć bezpiecznie. Trzeba będzie wystarać się o innego... Chodź w krzaki, może znajdziemy na ziemi coś odpowiedniego.

Idą więc obie siostry w krzaki (bladoliliowe suknie drą się w kawałki), siostrzyczka gorliwie szuka po ziemi odpowiedniej gałęzi.

— Na tym jarmarku nie ma nic! — wygłasza. — Chodźmy dalej! Lecz starsza siostra co chwila na dwór spogląda.

— Nie wiesz ty, kto był ten pan, który przejeżdżał przed chwilą? Siostrzyczka ramionami wzrusza. Co za pytanie? Co ją „ten pan” obchodzi? Czy dla niej „panowie” istnieją?... Słońce, lalki papierowe, małe koty, historia o uśpionej w szklanej trumnie księżniczce, ożyny, świeże obwarzanki, rekreacja, kukurudza z masłem, koń z gałęzi lipy, szpicruta z witki leszczyny — oto co dla niej istnieje.

Dlatego na pytanie siostry odpowiada chichocząc wesoło:

— Jakiś „Powidlaństri”, pewnie z interesem do papy!... „Powidlańskimi” nazywa wszystkich mężczyzn wystrojonych i pretensjonalnych.

Dlaczego? — kto zbada tajemnice siedmioletniej głowiny, niezdolnej nawet nosić porządnie słomianego kapelusza?

Lecz starsza staje nagle wśród gęstwiny i zamyśla się, patrząc szafirowymi, marzącymi oczyma w stronę dworu.

— Zdaje mi się — mówi — że widziałam go przeszłej niedzieli w kościele. Stał naprzeciw ambony, miał jasny, popielaty garnitur.

Siostrzyczka krzywi się i znów ramionami wzrusza.

— Może być!... „Powidlańscy” przecież także w kościele bywają... inaczej ksiądz by im nie dał na spowiedzi rozgrzeszenia. Zresztą... co ci do niego?...? chodź lepiej szukać nowego konia, bo na tym inwalidzie do domu nie wrócisz!

Starsza siostra zaczyna szukać, ale mniej gorliwie. Nagle słychać szmer druzgotanych gałęzi. Pomiedzy leszczyną ukazuje się głowa starego lokaja.

— Jaśnie pani prosi starszą jaśnie panienkę do salonu! Starsza „jaśnie panienka” rumieni się gwałtownie.

Dobrze, idę!...

Odwraca się ku siostrzyczce:

— Zaczekaj tu, Wańdziu!... Ja zaraz powrócę!...

I ciągle rumiana, z wypiekami na twarzy, biegnie szybko w stronę dworu. Siostrzyczka powraca do swych „koni” i dla zabicia czasu zaczyna zbierać rozsypane po ziemi kaliny. Kręci się, wierci, przysiada, liliowa sukienka tworzy dokoła niej ■ jasne koło. Zebrała już dużo kalin, więcej, niż jej kieszeń pomieścić zdolna. Patrzy wciąż w stronę dworu i czeka cierpliwie, czy rychło starsza siostra nadejdzie.

Lecz nie widać drugiej jasnej sukienki i drugiej aureoli kapelusza...

Słońce zaczyna słać ukośne promienie, szafir nieba, zaczyna nabierać czerwonych blasków. W powietrzu zapada cisza coraz większa, lecz kołatek bydła nie słyhać jeszcze spoza lasu.

Natomiast rąbanie drzewa ustało, obwarzaneczki się pieką... będą dziś smaczne, chrupiące... Siostrzyczka usiadła teraz na ziemi i uśmiechnięta jej buzia powoli zmieniać się zaczyna. Ogarnia ją nagły smutek, czuje się po raz pierwszy tak samą i opuszczoną. Przygarnia ku sobie obie gałęzie, brzęczące dzwoneczkami, i swoją, i tę drugą, złamaną, którą związała chusteczką do nosa.

Powoli pochyła ku tym fikcjom swe czoło i oparłszy je na łbach-sękach, patrzy wciąż na dwór, patrzy bezustannie.

Czeka...

II

Nie pojedziemy dziś konno?

— Nie.

— O!... Dlaczego?©

Siostrzyczka staje przed fotelem, na którym siedzi jej siostra.

— O! Jadziu, choć do kraty!... — prosi składając opalone ręce.

Lecz Jadzia opiera głowę na dłoni, głowę uczesaną dziś bardzo starannie, z za fryzowaną grzywką nad zachmurzonym czołem.

—Nie, Wańdziu!... Nie mam ochoty!... Głowa mnie boli!

—Już pięć dni nie jeździłyśmy! Konie się zastoją... trzeba je przeprowadzić...

— Przeprowadź je sama!

—Nie... bez ciebie nie mogę, nie umiem!

I siostrzyczka tuli głowę do kolan Jadzi, która gładzi z roztargnieniem jej rozczochrane włosy i patrzy wciąż na drogę, która białą wstęgą ściele się i wiję pomiędzy łanami zboża.

Bo z tego „piąterka”, na którym mieszkają panienki razem z boną Wańdzi, jest widok nie lada. Rozlane całe morze złocistych kłosów, ciemna zieleń lasu, drobne dachy chat. Wszystko widać jak na dłoni. A wczesnym rankiem, gdy dziewczęta w białych z łóżek wyskakują i różowymi piętami dudniąc ku oknom biegną, a okna te na ścieżaj roz-  
tworzą —to z tego morza kłosów, to z tej zieleni lasów, to z tego stepu błękitu płynie taka woń rozkoszna świeżą rosą skąpanej trawy, iż panienki dosyć nałykać się jej nie mogą, a pierś swobodnie praeuje, oddycha, rozszerza się w rozkosznym upojeniu.

Na tym „piąterku” są trzy małe pokoiki.

Dwa białe, z firankami nad łózkami, z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w fałdach muślinu. Tylko jeden — ten większy — ma tualetkę, biureczko, szezlonżek, obity tanim kretonikiem w różowe róże, a ten drugi, mniejszy — jest cały zagracony masą świstków, skrawków papieru, witkami leszczyny, pudełkami farb, stosami kamuszków, garnuszkami, w których moknie trochę lnu i kilka gałązek kaliny. Na oknie ustawiony cały rząd figurek tekturowych, lalek wycinanych z arkuszy kupowanych w mieście, ustrojonych w krynoliny i pamele \* lub szafirowe fraki ze złożonymi guzikami. Lalki te sterczą wśród zwiędłych gałązek, po wtykanych w kupki piasku i mających wyobrażać aleje parku. Na ziemi, koło dwóch małych fotelików i stołu, za którym mokną w szklance pędzle i walają się ołówki, leży uzda i trzęzła \* z czerwonej tasiemki, naszytej dzwoneczkami.

Lecz i w pokoju „starszej siostry” widać na oknie kilka lalek, siedzących na meblach, pracowicie wycinanych i lepionych z kart. Na tualetcie leżą nożyczki, a za nie zaczepiony as kierowy. Fłaszczka z gumą arabską, przewrócona, sączy strumyk błyszczącego płynu. Kilka kropli spadło już na dywan, lecz Jadzia\* siedząca obok tualetki, zdaje się nie widzieć, nie spostrzegać nic z tego, co ją otacza.

Patrzy wciąż na drogę, na drogę, co się wije ścieżką białą wśród złotych mas zboża. Po drodze ciągną teraz woły z pustym wozem. Parobek nawołuje je głośno, wóz skrzypi, aż go na „piąterku” słychać. Jadzia wzdycha cicho. Zakłada na piersi ręce, odziane w długie rękawiczki, i znów patrzy na drogę — patrzy, aż oczy jej mgłą zachodzą.

U kolan jej tuli się siostrzyczka.

Kto jej przemienił tak nagle jej Jadzię? Kto odebrał humor „starszej” — i dlaczego Jadzia nie galopuje już po alejach ogrodowych na rumaku z lipowej gałęzi, ustrojonym w harasówkę i brzęczące dzwonki? Dlaczego Jadzia nie wycina już z arkuszy lalek, nie podlepia im podstawek, nie ubiera w tekturowe suknie, nie ustawia na oknie i nie śpiewa kadryla, kiedy ona, siostrzyczka, usiłuje manewrować lalkami, naśladowując figury kontredansa? Dlaczego piłki, wolanty, serso, małe, świeżo narodzone koty, obwarza- neczki, moczenie nóg w stawie i wiele innych rozkoszy, które dawniej wybuchały śmiechu z piersi „starszej” wywoływały — od dwóch tygodni działają rozweselająco jedynie na siostrzyczkę, i to warunkowo?

Och! bo siostrzyczka nie umie, nie może się bawić bez swej starszej siostry. Jakkolwiek jest między nimi różnica lat dziesięciu, jednakże gusta ich, upodobania, zabawy są jednakowe. Cały dom napełniają śmiechem i szelestem swych sukni, wiecznie razem — jedna dopełnienie drugiej, siostrzyczka uczepiona u ręki, ramienia, fałd sukni „starszej” — odziane jednakowo, z włosami rozrzuconymi kaskadą popielatozłotą na ramiona, z aureolą olbrzymich ka- peluszów ponad gładkimi jak marmur czołami. Jadzia, Wandzia, dwie panienki, uśmiechnięte, wpadające w życie z szumem nieopatrznej młodości, owiane lila muślinami, ze sznurkami świeżej kaliny naokoło szyi, z kolczykami złoto- różowych wiśni, parami uczepionych na maluchnych uszkach. I stosy lalek tekturowych, których losy były snem



fantastycznym, wysnuwanym z umysłów tych dwojga dzieci, panowie „Powidlaóscy” we frakach błękitnych, miniaturowe liliputy, wyśmiewane i wyszydzane przez obie panienki...

Mężczyźni bowiem nie cieszą się sympatią na owym „pią-terku” i oprócz „papy”, który nie jest mężczyzną — lecz „papą” — młodzież okoliczna i w ogóle cała płeć męska nie doznaje wiele szacunku i wyróżnień przychylnych. W tragediach i dramatach, które odgrywane są przez tekturowe lalki, panowie „Powidlańscy” są wiecznie ośmieszani i wyszydzani. Są to tchórze, nieuki, egoiści, samochwalcy, słowem ród Papkinów, przerobiony na prozę.

Kobiety za to cieszą się wielkim uznaniem i zdobywają się często na czyny bohaterskie. Lecz od dwóch tygodni Jadzia machinalnie ustawia lalki i sentymentalnie nuci kadryla. Powoli zaprzestaje nawet wyskakiwać rankiem wczesnym z łóżka i dudnić bosymi piętami po woskowanej posadzce. Natomiast staje często w oknie wieczorami i patrzy na gwiazdy. Raz nawet bona, panna Mina, rozgniewała się na dobre za tak późne otwieranie okna po nocy.

—Siostrzyczka się zaziębi! — mówiła Niemka.

Jadzia zamknęła okno, lecz przez szyby patrzyła na niebo. Siostrzyczka, układając do snu lalki, patrzyła na nią spod grzywy. Na co ona patrzy, ta starsza? Co ona tam w górze widzi? Jeśli coś zabawnego, dlaczego jej, Wańdzia, nie powie, nie podzieli się z nią tym, co ją zajmuje?

Lecz oto Jadzia teraz już i dniami całymi siedzi przy oknie swego pokoju i patrzy uparcie na drogę, chociaż słońce aż oślepia, tak jasno nad polami świeci. Na próżno Wańdzia namawia ją do „konnej jazdy”.

—Głowa mnie boli! — odpowiada zachmurzona panienka.

—Bawmy się w lalki! — proponuje Wańdzia.

Lecz Jadzia kręci głową.

—Nie!... Nie!... Nie dziś, jutro!...

Lecz Wańdzia biegnie do swego pokoju i za chwilę wraca z arkuszem tektury.

—Patrz! — mówi ucieszona — o! tu!... Ten w czekoladowym garniturze zupełnie podobny do tego „Powidlań-skiego”, który był tu dwa tygodnie temu... wtedy gdy złamałaś swego konia!

Jadzia nic nie odpowiada, tylko twarz jej oblewa się pąsem.

— Nie pamiętasz? — szczebioce dalej siostrzyczka — miał przecież na sobie niebieski pudermantel i siedział w powozie zaprzężonym w cztery bułanki?... Pamiętasz?...

Opiera się łokciami na kolanach Jadzi i natrętnie patrzy jej w oczy.

— Pamiętam!... — wykrztusza wreszcie panna Jadwiga.

— Otóż patrz tylko na tego w cynamonowym garniturze: dwie krople wody! Ten sam długi nos, wąsiska i żółta twarz... Jak Bożię Kocham!...

Lecz Jadzia odsuwa ją gniewnie od siebie.

— Nie wiedzieć co pleciesz — mówi szybko, rzucając na ziemię arkusz z lalkami — pan Siennicki jest bardzo przystojny mężczyzna, i proszę cię, ażebyś go nigdy „Powidłańskim” nie nazywała...

Urywa na chwilę, po czym dodaje pośpiesznie:

— I nie mów nigdy: „Jak Bożię Kocham!...” Wiesz, że to grzech!... I że Bóg się za to gniewa.

Siostrzyczka stoi przerażona.

Po raz pierwszy w życiu „starsza” tak ostro, tak surowo odezwała się do niej, po raz pierwszy odepchnęła jej ręce od swych kolan.

Twarcyzka dziecka zbladła i poczerwieniała. Zacisnęła silnie pięści, aby nie płakać i zaczęła łykać ślinę. Lecz łzy jej napłynęły do szafirowych oczu i jak sznurek pereł potoczyły się po policzkach.

„Starsza” widzi te łzy i nagle i jej źrenice pokrywa wilgotna mgła. Od kilkunastu dni dławi się łzami, serce ją boli, miejsca sobie znaleźć nie może. Nie chciała płakać, trzymała się. Lecz ta mała płacze, łzy są sympatyczne (zwłaszcza, gdy są tuż pod powieką).

Jadzia wyciąga ręce i Wańdzia wpada jej w objęcia.

Całują się tedy i płaczą, płaczą i całują, loki włosów popielatozłotychna moczą się łzami. I oto starsza tuli się zboląła i zdenerwowana do drobnej siostrzyczki, która szczęśliwa z pogodzenia, wśród łkania pyta:

— Jadzia mnie kocha?

— Kocha!

— I... nie gniewa się?

— Nie, moje złoto!

— A będzie się ze mną bawiła?

— Będzie!

Łzy przynoszą ulgę.

Obie panienki ocierają oczy. Płacz ich nie oszpecił, noski się troszkę zaczerwieniły. Wańdzia starannie chowa poza szezlong arkusz tektury z „Powidłańskim”-Siennickim, przyczyną niezgody, i czym prędzej ustawia w szeregu inne lalki, stroi je, odświeża pomięte, bibulane suknie. Jadzia zbliża się do okna.

I ona bierze w rękę jedną z lalek, umocowuje ją na podstawce, po czym wyrzuca za okno kilka zdechłych much, walających się w piasku.

Wańdzia, uradowana, rozpromieniona, ze śladami łez w dołkach policzków, rozpoczyna dramat.

— Oto pani Sagajło, wdowa po panu Sagajle, a oto jej cztery córki. Jedna jest leniwa, druga łakoma, trzecia zazdrosna, a czwarta bardzo dobra. Pani Sagajło ma jechać do Żytomierza i bierze' z sobą trzy córki, te złe...

— Nie!... Nie tak... — mówi Jadzia klękając przy oknie. — Niech pani Sagajło nie będzie wdową. Trzeba, żeby miała męża.

Wańdzia się krzywi i ręce rozkłada.

— Skąd go wezmę? — pyta — mamy samych młodych „Powidłańskich”, chyba że się któremu wąsy i brodę atramentem przyprawi... co, Jadziu?

Lecz Jadzia nie słucha.

Podniosła się z klęczek, cała w płomieniach, i duszą całą, siłą szafirowych oczu płynie na drogę. Daleko, daleko widać tuman kurzu. Tuman pędzi szybko i spoza osłon piasku widać już dwa przednie bułane konie, dalej dwa drugie i powozik, stangreta i lokaja, odzianych w płócienne kitle, a w powoziku niewyraźna sylwetka, ukryta w fałdach błękitnego pudermantlu.

Wańdzia podnosi główkę i patrzy, skąd turkot pochodzi. Poznaje bułanki, powozik, „Powidłańskiego”...

Chce zawołać, roześmiać się, ale przypomina sobie wybuch gniewu Jadzi...

Milczy więc, nie śmie spojrzeć na siostrę i przestępując z nogi na nogę, gryzie usta i mruży oczy. Lecz Jadzia już jest przy toalecie. Chuchając na chu-

steczkę, przykładając ją do oczu, chcąc zetrzeć z nich ślady łez. Szybko uporządkowuje rozfryzowaną grzywkę, obciąga bluzkę, odświeża kokardę zakończającą pasek.

Oczy jej błyszczą, usta się uśmiechają. Powozik zaturko- tał już pod gankiem, Jadzia chwytając irchę obciągniętą deseczkę i szlifując ją różowe, jak blade korale, paznokcie.

Siostrzyczka patrzy na nią zdziwiona i z lalką tekturową w ręku stoi wciąż koło okna, czekając na dalszy ciąg zabawy.

Toki Toki

Wsuwa się siwa głowa starego lokaja.

— Jaśnie pani prosi starszą jaśnie panią do salonu...

— Natychmiast przyjdę!

I Jadzia spogląda raz jeszcze w lustro, obciąga bluzkę, poprawia grzywkę i szybko, tanecznym krokiem biegnie ku drzwiom.

Znika, nie spojrzawszy nawet na siostrzyczkę, nie rzuciwszy jej uśmiechu, spojrzenia...

Zakochani!... Egoiści!...

Wandzia siada na brzegu szezlonżka i zaczyna szybko mrugać powiekami. Ogarnia ją znów ten sam wielki smutek, jak tam, wśród krzaków leszczyny.

Pochyla główkę, lecz nie płacze, tylko kurczy się, maleje jeszcze i siedzi tak jak sierotka moralna, nagle zapomniana podczas jakiejś rodzinnej uroczystości.

Szafirowe oczy utkwiała we drzwi, za którymi znikła jej siostra, szafirowe oczy spod złotej masy grzywy — dwa chabry ze świeżo ściętego snopu pszenicy...

Czeka...

Siostrzyczka rzuciła się ku „starszej” z krzykiem spazmatycznego bólu.

— Ja nie chcę!... Ja nie chcę!... — wołała tuląc się do jej rąk i kolan.

Jadzia, a raczej panna Jadzia, boć godność narzeczonej podnosi w hierarchii społecznej, uspokaja jak może rozszlochaną dziewczynkę.

16\*

— Nie płacz... nie krzycz... rodzice posłyszają... będą się gniewali... Cóż stąd, że pójdę za męż? Ty będziesz zawsze moją kochaną, drogą siostrzyczką.

— Nie!... — woła Wańdzia — będziesz miała dzieci i nie będziesz mnie już kochała!

Jadzia uśmiecha się pobłaźliwie.

— Skąd wiesz, że Bóg mi da dzieci? — mówi, gładząc rozczochrane włosy młodszej — to jeszcze nic pewnego.

— Owszem! — szlocha Wandzia — wszystkim panienkom, jak tylko za męż pójda, bocian przynosi małe dzieci.

— To będą tylko moje dzieci — tłumaczy Jadzia — a ty będziesz zawsze moją siostrzyczką...

— Och! — jęczy Wańdzia — mama nasza nas więcej kocha niż ciocię marszałkową...

— Nie bój się, ja ciebie będę więcej kochała.

— Nie będziesz się ze mną bawiła!...

— Owszem, będę się bawiła, skóro z mężem w odwiedziny przyjadę. Wańdzia uspokaja się cokolwiek, lecz Jadzia wpada na nieszczęśliwy pomysł wyprowadzenia na scenę swego narzeczonego.

— W dodatku — mówi z uśmiechem — pan Siennicki będzie cię kochał tak, jakby był twoim bratem. Będziesz i dla niego siostrzyczką...

Wańdzia odskakuje od kolan Jadzi.

Wygląda w tej chwili jak małe lwiątko. Potrząsa grzywą, złote włosy rozleciały się dokoła jej zapuchłej od płaczu buzi. Wyciąga ręce, jakby odpychała od siebie cisnącego się gwałtem do niej natręta.

— Siostrzyczką? — woła — jego siostrzyczką? Nigdy! Nigdy!... Ja jestem dla niego obca! Obca!... Ja go nienawidzę! nienawidzę!...

Płacząc konwulsyjnie, rzuca się na szeszlony i ręce topi w masie włosów. Jadzia wobec tej rozpaczki czuje się smutną i nieszczę? śliwą.

Czyż zawsze swe szczęście trzeba opłacać nieszczęściem drugiego, choćby tak małego serduszka?

Obraca więc na „serdecznym” palcu pierścionek zaręczynowy, olbrzymi szafir, ciemny jak jej oczy, otoczony bry-

lantami, błyszczącymi jak łyzy siostrzyczki, i czuje w swym sercu pierwszą bolesną ranę.

Czyżby miłość nie same uśmiechy rozsiewała po ścieżce, którą tak lekko przebiega?

\* \*

Ciężką misję włożono na barki siostrzyczki

Od chwili zaręczyn kazano jej być zawsze z „narzeczonymi”.

Wańdzia, dziecko posłuszne, dusza uśpiona w bezbuntowniczej równowadze, jakkolwiek czuje przykrość szaloną w znajdowaniu się w bezustannym zbliżeniu ze zniechęconym przez nią przyszłym szwagrem, skrupulatnie wypełnia dane sobie przez matkę zlecenie.

— Niech Wańdzia będzie zawsze z Jadzią i panem Siennickim! — poleca jej matka.

Wańdzia tedy stara się zawsze być z Jadzią i panem Siennickim, a w główce jej rośnie z tego wyobrażenie, iż pan Siennicki (ten obcy) może uczynić jakąś krzywdę Jadzi i że ona, Wańdzia, broni swej starszej siostry przed grożącym jej każdej chwili niebezpieczeństwem.

Drepcze więc za nimi ta mała „przyzwoitka”, ofiara konwenansów. Wszędzie jak cień zjawia się trzecia, gdy tych dwoje jak najczęściej oddala się od reszty ludzi, szukając samotności i cichych kąci.

W pierwszych chwilach wszystko idzie jak z płatka.

Jadzia, nieśmiała, spłoniona i drżąca nie chce i nie pragnie pozostać sam na sam z narzeczonym. Obecność siostrzyczki jest dla niej wielką pomocą i staje się potrzebną. Woła ją sama, tuli koło siebie, za rękę prowadzi.

— Wańdziuniu! Chodź z nami!

Siennicki także zdaje się interesować „Wańdziunią”. Przywozi jej paki cukierków, stara się wkraść w jej łaski. Lecz ona, nieufna, patrzy nań chmurnie spod strzechy swej grzywy. Cukierki zostawia nietknięte, francuskie książki w pięknych purpurowych okładkach porzuca z widoczną pogardą. Ciągłe jest gniewna i nieubłagana. Nie odpowiada na pytania „szwagierka” i uczepiona sukni „starszej”, suwa się jak cień za tą parą narzeczonych, którą można spotkać w każdym trochę odosobnionym kącie salonu lub ogrodu.

Powoli jednak następuje zmiana frontu<sup>^</sup> Jadzia ośmiela się coraz więcej i zbliża się do swego narzeczonego. On, ulegając również czarowi tej młodej i pięknej istoty, stara się uzyskać jej ufność duchową i choćby rękę dla złożenia (na dołkach) pocałunku.

Lecz pomiędzy nią a nim wiecznie staje siostrzyczka, moralna i materialna przeszkoda do uzyskania najniewinnej i szerszej pieczyoty i otwartszego słowa. Zniecierpliwiony próbuje ją oddalić.

—Może Wańdziunia trochę pobiega!...

Lecz Wańdziunia czepia się rąk starszej i nie patrzy nawet w stronę swego „przyszłego szwagra”. Lecz o ją teraz zastanawia, to milczenie Jadzi. Dawniej odpowiedziałyby: — „Nie! Niech zostanie z nami!” Teraz milczy, rumieni się, otwiera usta, ale milczy. W kilka dni później zdziwienie Wańdzi rośnie. Sama Jadzia wyrokuje z pewną nieśmiałością w głosie:

—Może Wańdziunia trochę pobiega!...

I ręka Jadzi prawie popycha w kierunku alei młodszą siostrę.

Wańdzia, posłuszna, czując się odepchniętą, idzie kilka kroków naprzód. Nie biegnie wszakże, lecz idzie powoli, patrząc bokiem na Siennickiego. Nagle staje i odwraca się.

Widzi, iż Siennicki zbliża się ku Jadzi z wyciągniętą ręką. Jednym skokiem jest już między nim a siostrą i czepia się jej Tamienia.

Serduszko jej na chwilę bić przestało. Czego on chciał od Jadzi?... Dlaczego rękę wyciągnął? Może chciał ją uderzyć? Popchnąć? Zabić?...

Lecz znów po upływie dni kilku Wańdzia wpada w coraz nowe niespodzianki. Jadzia i Siennicki najwyraźniej zaczynają od niej stronić i dość jest, ażeby weszła jednymi drzwiami, aby oni uciekli drugimi. Wytrwale jednak siostrzyczka walczy z tym nowym stanem rzeczy. Drepcze ciągle za nimi, zaaferowana, biegnąc wzdłuż całego domu, zaglądając poza pianino, za wschodki, na których ustawiono kwiaty, za skrzydła pluszowych parawanów. W ogrodzie biega po alejach, cała różowa i zdyszana, przyśpieszając kroku, skoro dojrzy jasną sukienkę siostry i nienawistną postać „szwagierka”.

Lecz oni powoli zaczynają zmieniać taktykę. Skoro dojrzą z daleka tą maluchną istotką, biegnącą jak kula na dwóch wężach w czarne pończoszki obciągniętych nówek, wstają czym prędzej z miejsca i znikają poza drzewami. Lecz ona, nie zmęczona, wiedzona instynktem serdecznej dla „starszej” miłości, potrafi znów odszukać tę zaręczoną parę, szepcząc sobie w kąciuku to, co mogą doskonale głośno powiedzieć wobec tysiąca osób.

Lecz dla nich właśnie ta tajemnica, ten sekret, to „we dwoje” ma cały urok, zwłaszcza dla Jadzi. Tyle ma do powiedzenia swemu narzeczonemu! Tyle słów, a treści tak mało! Dla niej jednak treść ta jest wielką i ważną tajemnicą, a on zdaje się słuchać słów swej przyszłej z głębokim zachwytem.

Wkrótce, gdyby Wańdzia była bystrzejszą obserwatorką i zamiast miękkiego serduszka posiadała więcej sprytu, dostrzegłaby, że obecność jej nie tylko jest zbyt dużą, lecz niepożądaną, nawet przez Jadzię, a może przez Jadzię głównie.

Lecz siostrzyczka zanadto gorliwie pragnie wypełnić misję „pilnowania” starszej, składa więc owe wycieczki na karb przypadku i goni parę narzeczonych po pokojach, altankach, alejach.

Jednego popołudnia zaprzepaścili się tak, że Wańdzia w żaden sposób ich znaleźć nie mogła.

Biegając wzdłuż galerii, spotkała matkę, idącą do'spizarni.

—Gdzie Jadzia i pan Siennicki? — spytała matka surowo.

Wańdzia zakłopotana zaczęła wyłamywać sobie palce u czerwonych jak raki rączek.

—Nie wiem, proszę mamy! — bełkocze połykając zgłoski.

Mama brwi marszczy i kluczykami dzwoni.

—Prosiłam Wańdzię, ażeby Wańdzia ciągle była z nimi!... — mówi rozniewana — Wańdzia mnie nie słucha... Wańdzia się robi nieposłuszna... Proszę iść zaraz odszukać Jadzię i pana Siennickiego i z nimi razem przyjść na podwieczorek!

Wańdzia gryzie usta i czuje, że dławi ją łkanie. Nie chce jednak powiedzieć matce, iż to nie jej wina, iż przed godziną może widziała niebieską sukienkę siostry i niena-



wistną postać Siennickiego wzdłuż płotów okalających ogród, lecz zniknęli jej nagle, ot, jakby w ziemię wrośli. Szukała ich w ogrodzie na próżno; sądziła, że może powrócili do domu, lecz dwór cały przebiegła i nigdzie pary narzeczonych odszukać nie może.

Wybiega jednak na ganek i znów biegnie w stronę ogrodu. Ma ochotę wołać na całe gardło, krzyczeć, skarżyć się, że ją połajano przez nich, z ich powodu. Dzień jesienny jest niespodziewanie skwarny i ciężki. Wańdzia biega po alejach, trawnikach, bez wyrachowania, zdjeta rozpaczą, z sercem przepelnionym goryczą i żalem. Myśl o niebezpieczeństwie, na jakie narażona jest Jadzia, przejmując ją trwogą śmiertelną, ciernie i bodziaki czepiają się jej nówek i przez pajęczą tkaninę pończoszek kaleczą do krwi jej delikatne ciało.

Nie uważa na ból, na spiekotę, gałęzie leszczyny biją ją po twarzy; odgarnia je koląc swe nagie ramiona, pędzi dalej, zdyszana, spocona, szukając oczyma błękitnej sukni siostry.

Nagle dostrzega ją... och, daleko — poza murem krzaków agrestowych, z których już i liście powoli lecą. Zatrzymuje się z bijącym sercem. Jadzia jest żywa i zdrowa. Rozmawia z ożywieniem, macha białą parasolką. Wańdzia po raz pierwszy ucieka się do podstępu. Powoli, pełzając prawie wśród trawy, kryjąc się w rowach i krzakach porzeczek, podsuwa się cichutko ku siedzącej pod krzakami młodej parze. Wie bowiem już z doświadczenia, że gdyby ukazała się ich oczom, uciekną, przepadną jej znowu bez śladu.

Jest już od nich niedaleko, nawet bardzo blisko; pokrzywy poparzyły jej ręce i musi co chwila zatrzymywać się, aby drapać okrywające się bąblami ramiona. Włosy, zlepione potem, przyłgnęły jej do czoła. Męczeński chrzest konwenansów spadł na jej drobną istotę. Pełza wciąż wśród trawy i nagle zatrzymuje się. Postanawia wstać i jednym susem dopaść do kolan Jadwini.

Starsza siedzi, niedbale oparta o duży kamień, który obie w lepszych czasach przeniosły pod krzaki agrestu i który służył im za stół w chwili zabaw, podczas których porzeczeki, ożyny i niedojrzały agrest stanowiły podstawę dań wspaniałej biesiady. Jadzia obecnie nie myśli o agrestie i liściach leszczyny, które z takim powodzeniem zastępo-

wały- serwisy z porcelany koreckiej, lecz z uśmiechem i oczyma błędzącymi w przestrzeni słucha słów siedzącego obok niej Siennickiego. Nagle ogląda się, pragnie wstać, składa parasolkę.

— Chodźmy!

Lecz on zatrzymuje ją błagalnie.

— Och! nie, jeszcze chwileczkę... tak rzadko się nam udaje być samym, bez argusowych ślepek \* panny Wandy...

Śmieją się oboje.

— Rzeczywiście — mówi Jadzia — Wańdzia staje się nieznośna.

Wańdzia słyszy te słowa, blednie, usta jej drżą.

Nieznośna?... Ona?... I to Jadzia o niej tak mówi!... Jadzia, której ona wśród cierni, ostów i pokrzyw szuka od dwóch godzin! Jadzia, na której ratunek śpieszy z takim poświęceniem!...

Gorycz przepelniająca jej serce zaczyna się przelewać przez brzegi, łyzy ją dławia...

Nagle budzi się w niej poczucie godności i chęć quand ' mSme \* spełnienia obowiązku.

Ruchem kociaka dopada do przerażonej Jadzi i uczepiwszy się jej sukni nerwowo zaciśniętymi palcami, mówi:

— Proszę na podwieczorek!...

I spod brwi zmarszczonych, nagle postarzała, ugodzona w samo serce, patrzy chmurnie w ziemię.

— Mama kazała, żebym państwa przyprowadziła — dodaje jakby w formie usprawiedliwienia się ze swego natręctwa.

IV

Październik.

Więc niby jesień, a przecież prawie lato. Aż się srebrzy w powietrzu od białych nici i niebo błękitne, choć z żółtawym odcieniem, i drzewa jeszcze liści się wszystkich nie pozbyły, choć spora ich garść na ziemi leży.

W kapliczce, stojącej na końcu ogrodu, w kapliczce drew-

nianej; malej, malowanej szaro, z wielkim obrazem Najświętszej Panny Ostrobramskiej w ołtarzu, zapalono mnóstwo świec i nawieszano girland z choiny tyle, iż zapach żywicy płynie szeroko z otwartych okienek w górę ku niebu.

Nie tylko bo zieleń choiny ustroiła ściany, ale całe pęki astrów liliowych, żółtych, białych, astrów jak gwiazdy różnobarwne, o płatkach rozstrzępionych na kształt migających promieni.

I cała ścieżka od dworu, którą iść będą państwo młodzi, zarzucona jest płatkami tych kwiatów różowych i białych, zaśnieżona po prostu kwieciami, po którym zda się przemknął odbłask jutrzeńki.

We dworze okna otwarte na roścież, na ganku pod słupami, umajonymi festonami zieleni, widać damy w jedwabnych sukniach, koronkowych szalach, mężczyźni we frakach staroświeckiego kroju, w białych krawatach.

Przed otwartymi oknami kręcą się tłumy takich dam i takich panów, napelniających pokoje. Tu i owdzie chichoczą panienki, ubrane białą, zieloną, niebieską. Co chwila zajeżdża jeszcze powóz, z którego wysiadają szeleszczące jedwabiami damy. Z daleka, na środku salonu widać siwą głowę księdza i jego biały habit dominikanina. Stary to przyjaciel domu. On będzie ślub dawał, on mowę przed ołtarzem wygłosi. Teraz rozmawia z arystokratami powiatu, którzy go słuchają pochylając głowy.

Tymczasem na „piąterku” w pokoiku Jadzi słychać głośnie szlochanie. To panna młoda rześnistymi łzami przygotowuje się do stanu małżeńskiego. Płacze już od wczoraj, płacze jak Albin w Ślubach panińskich. Spuchły jej szafirowe oczy, spuchł kształtny nosek. Wie, że ją ten nadmiar łez szpeci, jednak wstrzymać się od łez nie może. Wczoraj, ułożywszy się na swym łóżku pod białymi firankami, szlochała rozpaczliwie, tłumiąc łkania jaśkiem, na którym czerwoną bawełną wyszyta jej panińska cyfra. Dziś od samego rana płacze, jak na rzeź prowadzona ofiara. Ściśnięta gorsetem, ufryzowana, w jedwabnych pończoszkach (po raz pierwszy w życiu), w swych białych jedwabkach i iluzjach stoi przed swą panińską tualetką, którą na tę uroczystość ustrojono w białą tarlatan \*, kokardy i dwa srebrne bez świec kande-

labry, i płacze, płacze, jakby płacz ten należał do regulaminu uroczystości ślubnej.

Przed chwilą wyszła stąd matka, która pod wianek ślubny wsunęła dukat, przechowany w komodzie od czasu jej ślubu. Płakała naturalnie i matka, a Jadzia szlochając tak gwałtownie, że aż matka musiała zwrócić jej uwagę na nadmierne zmoczenie chustki batystowej, obszytej starą, brukselską koronką.

Jadzia uspokoiła się cokolwiek. Matka wyszła pozostawiając ją samą.

Nie samą, gdyż w kąciku tkwi druga niewyczerpana łez krynica.

To Wańdzia, ustrojona w niebieską muślinową sukienkę, uczesana po chińsku, w niebieskich fil d'Ecosse pończoszkach i atłasowych, błękitnych pantoflach.

I ona płacze, płacze, krztusząc się, dławiąc swymi łzami. Od chwili bowiem posłyszenia z ust Jadzi owej „niežnośnej” boczyła się na swą „starszą” i dziś dopiero wobec rozpaczliwych łez Jadzi i ona, Wańdzia, wybuchnęła długo tłumionym płaczem.

Patrzy spoza łez na tę rozpacz swej siostry, patrzy i zrozumieć nie może, dlaczego Jadzia idzie „za ten mąż”, skoro jej to tak straszny smutek sprawia?

Wysuwa się ze swego kąciaka i przysuwa się do panny młodej, która szlochając wciąga rękawiczki.

— Jadziu!... — zaczyna siostrzyczka.

Na ten głos żalorny Jadzia rzuca rękawiczki i chwyta Wańdźkę w objęcia.

Całują się i płaczą.

Płaczą i całują się obie, mocząc welon iluzjowy, który się im pod ustami płacze.

Nareszcie Wańdzia wykrztusiła wśród łez:

— Jadziu!... nie żeń się, kiedy nie chcesz!... Zostań ze mną, jak dawniej... nie żeń się!... moja złota!

Jadzia stawia na ziemi siostrzyczkę i uśmiecha się do niej wśród łez.

— Ach!... ty głuptasku!... — mówi kiwając głową, strojącą w śnieżnych kwiatów koronę.

I nie tylko Jadzia „ożeniła się”, ale jeszcze siostrzyczka musiała pod rękę poprowadzić znieawidzonego przez nią pana młodego przez cały ogród, od ganku aż do kaplicy, do samego ołtarza. Idąc po delikatnych płatkach astrów, patrzyła przez łzy na plecy siostry, która szła przed nią, prowadzona przez dwóch „Powidlańskich”, z głową pochyloną, jak jagnię na rzeź wleczone. Pan miody przeciwnie; wesoły, uśmiechnięty, w nowiutkim garniturze frakowym, był pełen uwagi dla siostrzyczki, którą nawet podniósłszy z ziemi, wycałował serdecznie. Wańdzia zapłonęła całą gniewem, chciała zawołać, że ona jest mu „obca”, że dosyć już unieszczęśliwił „starszą” i że ona, Wańdzia, pragnie nie mieć z nim nic wspólnego — ale nie było czasu: orszak zaczął się formować, panowie podawali, ręce damom, wszyscy zaczęli mówić po francusku, a ona, jako družka, musiała uczeplić się ramienia pana młodego...

Doprowadziła go do ołtarza i podczas ceremonii ślubnej łzy jej płynęły wciąż z oczu. Ocierała je szybko paluszkami. Zdziwiła się niemało widząc, że Jadzia nagle płakać przestała. Gdy odchodziła od ołtarza; „starsza” miała wyraz twarzy rozpromieniony i usta uśmiechnięte.

Natomiast „szwagier” spoważniał nagle i zaczął przybierać miny człowieka zapatrującego się „serio” na życie.

Jak tam było przy obiedzie, tego już Wańdzia nie pamięta. Siedziała na szarym końcu koło bony i jadła dużo, pomimo swego zmartwienia.

Jadzia tronowała na głównym miejscu i nie tylko że nie płakała, ale zdawała się bawić doskonale.

Dużo było „wiwatów” i Wańdzia maczała ciągle usta w kieliszku, który stał przed nią. Było wino słodko-kwaśne, syczało i perliło się w płaskim kieliszku. Wańdzi smakowała bardzo ta marka, „woda sodowa”, jak zauważyła po cichu, ciągnąc bonę za łokieć. Lecz mamzelle Kranz, zarumieniona, niewiele zwracała uwagi na swoją pupilkę. I ona połykała dziś lody, cukierki i wino z nadzwyczajną, ale nie niemiecką werwą.

Powoli przed oczyma Wańdzi zaczęła kręcić się sala jadalna. Słyszała, iż wołano: „Kochajmy się!...” Zrobił się szmer, zamieszanie, trącano się kieliszkami po raz ostatni, bukiety świateł płonęły w kandelabrach.

Zaczęto wstawać

od stołu. Wańdzia podniosła się także. Zatoczyła się i oparła się o krzesło. Nareszcie ustawiła się sztywno na swych nóżkach i wyszła razem z tłumem gości, który rozsypał się po pokojach.

Wańdzia stanęła na środku salonu i założyła ręce na pier- ■ siach.

Wypadki dnia tego zaczęły skakać jej po główce. Obejrzała się dokoła.

We framudze okna, poza firankami z czerwonego adamaszku, dostrzegła nagle białą suknię siostry i stojącego obok niej Siennickiego.

Przypomniała sobie rozkazy matki i wierna swemu obowiązkowi, postanowiła nie opuszczać „starszej” ani na jedną chwilę.

Zaczęła więc iść ku „młodej parze”, zakreślając zygzaki po śliskiej posadzce salonu.

I po dawnemu uczepliła się ręki siostry, stając pomiędzy nią a jej mężem, jak żołnierz nie opuszczający ani na chwilę wskazanego przez władzę stanowiska.

Jadzia, pochyliwszy się, ucałowała rozpalone czoło dziewczynki i wyrzekła łagodnie;

— Idź, Wańdziu, baw się z gośćmi.

— Baw się z gośćmi!... — powtórzył Siennicki.

Lecz ona rozpaczliwie, z uporem niezwykłym, oparła się silnie na chwiejących nóżkach i rzuciła im przez zaciśnięte zęby:

— Mama kazała...

I trudno jej było wytłumaczyć, iż teraz Jadzia mogła bezpiecznie pozostać z panem Siennickim nie tylko we framudze okna, lecz na końcu świata.

Musiano ją siłą odczepić od ręki siostry. Spłakaną, wytrzeźwioną, odprowadzono na „piąterko”. I tam dla pociechy położono ją do łóżka „starszej”, które od < tej pory ona zajmować miała.

Gdy na dole tańczono przy dźwiękach ukrytej poza oknem orkiestry, tymczasem Wańdzia leży okryta niebieską kaszmirową kołderką, leży i wzdyeha. Wie, że „starsza” ma

łankami, powozikiem wybitym szafirowym suknem, naprzód na stację kolei, a potem koleją fur!... daleko do Włoch, do Paryża...

Przed odjazdem ma przyjść ją ucałować. Przyrzekła jej to solennie w salonie, wtedy gdy bona uprowadzała Wań- dzie, używając niemal przemocy.

Wańdzia wzdycha i rozmyśla nad nieszczęsną dolą Jadzi. Pojedzie w nocy, sama z tym obrzydłym „Powidłańskim”!... Jak mogą rodzice zgodzić się na coś podobnego? Wczoraj jeszcze nie pozwalali Jadzi ani na chwilę pozostać samej z narzeczonym, a dziś ją puszczają w tak daleką drogę do jakiejś Nicei, do Paryża!... Dlaczego jej, Wańdzi, jechać z nimi nie kaza?

Wszystko to snuje się po jej rozpalonej główce, szpilki podtrzymujące chińską koafiurę wbijają się jej w skórę. Gorączka ją ogarnia... Tyle przeszła w ciągu tych kilku miesięcy, tyle przecierpiała, że już chyba nigdy w życiu większych smutków nie dozna!...

Tymczasem na dole, w pokoju matki, Jadzia zmienia swe białe jedwabie na skromne sukienko podróżne. Śpieszy się. Północ wybiła, do stacji siedm wiorst. Rodzice, mąż naglą, proszą o pośpiech. Nareszcie gotowa. Wciąga rękawiczki. Zarzuca na ramiona Szkocki płaszcz podróżny i całuje ręce rodziców. Chce biec na „piąterko”.

— Dokąd?

— Pożegnać się z siostrzyczką!

— Daj pokój!... Wańdzia śpi od dawna. Nie budź jej! Wsiadaj do powozu!... Spóźnisz się!

— Niech pani wsiada! proszę!... — woła Siennicki. Ucałowana, upieszczona, ze śladem łez matki na czole, wsiada Jadzia do powozu. Odwraca się jeszcze:

— Powiedźcie Wańdzi, że...

Lecz bułanki ruszają z miejsca, Siennicki porywa swą „żonę” w objęcia. Na koniec sami!...

Na „piąterku” świeca, pozostawiona w miednicy z wodą, dogasa. .’ ;  
Wańdzia jednak nie śpi, wpatrując się uporczywie we drzwi, którymi ma  
wejść „starsza”, aby ją ucałować na rozstanie, na długie rozstanie.  
Czeka!...

V

Gdzie Wańdzia?... — woła Jadzia Uściskawszy rodziców.

Wańdzia stoi „w kąciku, zarumieniona, jakaś zmieszana, spod  
nastroszonej grzywy patrzy na siostrę.

Ta podbiega ku niej, chwyta ją w objęcia, całuje i przygląda się  
zmienionej twarzyczce dziewczynki.

— Wańdzia zmizemiała! — mówi kręcąc głową.

Siennicki ze swej strony chce ucałować siostrzyczkę, lecz  
ona szybko jak węgorz wyśliznęła się z jego ramion i uciekła na  
„piąterko”.

— Co się jej stało? — pyta pani Jadwiga.

— Nie wiem!... — odpowiada matka — strasznie odczuła rozstanie z  
tobą... spoważniała, nie chce biegać ani się bawić, mizernieje... Myślimy  
oddać ją na pensję...

Wchodzą wszyscy do domu. Zaczyna się wesoła rozmowa, przeplatana  
śmiechem. Pani Jadwiga, ustrojona w zagranicznego kroju suknie, nabrała  
wdzięku, powagi.

Pan młody jest coraz bardziej człowiekiem „serio”. Zdejmując futro  
opowiada, że tęsknił niezmiernie do wsi, do „gospodarstwa”, i tym estymę  
papy-teścia zyskuje.

Podają herbatę, obwarzanecki, masło żółte w kryształowej masielniczce.

— Gdzie Wańdzia?

— Uciekła do swego pokoju.

— Pójdę jej poszukać!

Pani Jadwiga wstaje szybko i szeleszcząc jedwabiem  
podszewek, biegnie na „piąterko”.



Przy oknie zamarzłym siedzi Wańdzia, odziana szalem, i patrzy chmurnie przed siebie.

—Cóż, Wańdziu? nie idziesz na herbatę?

Jadwinia stoi teraz przed siostrą i nie śmie się do niej zbliżyć. Mała jest napuszona, smutna i siedzi nieruchoma na swym niskim, wyplatany foteliku.

— Czy się na mnie gniewasz? Nie ma odpowiedzi.

" Jadzia przykłęka i obejmuje wpół siostrzyczkę:

— Powiedz, co ci jest? dlaczego się na mnie chmurzysz? Wańdzia nie może już leż wstrzymać.

Nie płakała od dnia ślubu. Zamknęła w głębi swego serduszka całą urazę, całą boleść, jaką-odczuła, dowiedziawszy się, iż Jadzia odjechała nie pożegnawszy się z nią wcale.

Postanowiła, gdy siostra powróci, nie przemówić do niej ani słowa, lecz teraz, widząc /.starszą" obok siebie, serduszko jej taje.

— Czemuś ty się ożeniła!... — wybucha rozpaczliwie, ppierając głowę na dżetach, strojących stanik młodej mężatki #

- Jadzia uspokaja ją, gładząc jej roztargane, jak zwykle, włosy.

— Cóż chcesz? — mówi wzdychając — to przeznaczenie kobiety. I ty kiedyś pójdiesz za męż...

Lecz Wańdzia tupie nogami i bije pięścią o pięść w namiętym uniesieniu.

— Nigdy!... — woła. Jadzia uśmiecha się -blado.

— Zobaczmy! A teraz nie mówmy już o zamążpójś- ciach... Chcesz? będziemy się bawiły „w lalki”?

Na stolikach koło ściany leżą na stos rzucone lalki. „Po- widlańscy", państwo Sągajło, cztery ich córki, całe mnóstwo, cała setka figurek z papieru, polakierowanych jaskrawymi-farbami. Drzemią spokojnie, nie poruszane od miesiąca, nie porzucone w wir przygód fantastycznych, które wyobraźnia dwóch dziewczynek stwarzać i snuć z taką werwą umiała.

Jadzia sama dobywa te dobrze jej znane karykatury ludzi i ustawia je na stoliku obok Wańdzi.

Z początku czyni to szybko, z pewną radością wita owe lalki jak swe dobre znajome.

Powoli jednak ręce jej zatrzymują się, przez umysł przewija się tuman smutku. Ogląda się dokoła. Ten pokoik na „piąterku”, ta toaleta, biureczko, łóżko, te martwe przedmioty mówią do niej, skarżą się na ich opuszczenie, zapomnienie, wyrzeczenie się na zawsze.

— Oto pani SagajłoL. — mówi głosem wzruszonym, któremu usiłuje nadać odcień wesołości — a oto jej cztery córki. Trzy złe, jedna dobra... Pani Sagajło jest żoną chorążego...

Urywa, nie może znaleźć już w swej głowie tych baśni czarodziejskich, które przed kilku miesiącami snuła z taką łatwością. Trzyma w ręku lalkę w krynolinie wyobrażającą panią Sagajło i patrzy na nią spod brwi ściągniętych.

Nie może nic wydobyć z dziedziny fantazji.

Pałac marzeń zamknięty już przed jej oczyma.

Odwraca się ku siostrzyczce.

— Bawmy się, Wańdziu!... wymyśl ty coś o pani Sagajło...

Lecz i siostrzyczka milczy i kuli głowę w ramiona. Nie, i ona nie ma już fantazji, i przez jej wyobraźnię przeciągnęło czarne skrzydło życiowego smutku.

Nie płacze się bezkarnie, nawet gdy serduszko jest jeszcze bardzo małe, a łzy zdają się spływać, ot, jak rosa z liści kwiatu.

— Bawmy się! — powtarza Jadzia.

Lecz obie bawić się, marzyć, śnić nie umieją tak jak dawniej.

Fantazja młodości nie znosi łez, nie znosi szarej krepy, którą rzeczywistość życiowa rozsnuwa.

Wańdzia i Jadzia (każda z innego powodu) mają przed oczyma taką krepową zasłonę.

Dlatego nie umieją snuć dalszego ciągu historii o pani Sagajło i jej czterech córkach, z których jedna była zazdrosna, druga łakoma, trzecia leniwa, a czwarta... bardzo dobra...

## REHABILITACJA

Z próby wracali we dwoje ulicami, na których wczesny śnieg tajał i mało ludzi się snuło.

Była taka śliczna w swym nowym bolekku, tak ślicznie stawiała drobne nóżki, obute w ciasne buciki z świeżą jak lusterko lakieru, że nie mógł się oprzeć prośbie: Można panią odprowadzić?

Nie patrząc na niego, odparła:

— ChodźL.

— Bo...\_

— Co? czego?

— Może pani przeszkadzam?

— Głupi jesteś.

Głos jej brzmiał trochę twardo, chropowato. I to był jedyny kontrast z jej prześliczną, harmonijną całością. Wszystko w niej było „caca”. Główna drobna (nosiła ją troszkę przekornie na bok przechyloną), złote włosy, ogromne oczy niewyraźnej barwy, usteczka posmarowane dyskretnie pomadką Dorina, szyjka, bioderka, rączki, nóżki, słowem — całość. Była bardzo kobieca. Ale to bardzo.

Tylko ten głos i czasem jakieś ukośne, dziwaczne spojrzenie.

Takie jedno drobne spojrzenie...

I cała „anielskość” brała w łeb, takie się to nagle robiło złe, z zadatkami na coś ohydneho.

Ale to był taki jeden ukośny błysk. A potem znów spokój, dobroć, anielskość, usteczka jak pączek róży i taka buzia barokowego aniołka.<sub>M</sub> Słowem: „caca”.

Dużo kobiet, bardzo dużo, ma takie ukośne błyski i głos. trochę chrapliwy. Tylko mężczyźni nie umieją tego pochwycić, nie umieją patrzeć. A tu trzeba patrzeć nie wprost, ale trochę w bok...

Tak, tak.

Zobaczy się nieraz coś ciekawego. Ho... ho..

I jak! Tylko trzeba umieć patrzeć.

Raziewicz nie umie patrzeć, nie ma pojęcia. Ciągłe na Niutkę patrzy wprost, bo sam już taki jest z rodu. Trochę rubacha, duży, rosły, dobrze wyrosnięty. W teatrze mu nie idzie tego, bo ikairic ma sztywny i jakiś drwiący wyraz ust, który mu się nie wiadomo skąd przyplątał i pod młodziuchnym ciemnym wąsikiem gnieździ.

Wygląda tak, jakby sobie drwił ze wszystkich i ze wszystkiego. Więc reżyseria, dyrekcja i wszystko, co wraz z nimi dzierży berło i włazi z\*kaloszami w samą duszę sztuce, nie lubi Raziewicza.

Mówią o nim:

— To arogant!

A to jest nieprawda. Raziewicz ma przed „władzami” duży ^respekt^tylko się tak nieszczęśliwie ułożyły kąciki jego ust. ' Dlatego, choć Raziewicz mógłby doskonale kochać Julię, a w Romantycznych \* byłby wymarzonego zbirem, gra drugiego z ludu lub pierwszego gońca.

Pociesza się czytając Szekspira.

Rozumie go i kocha.

Chyba i to coś warte.

Ale Szekspirowi przybyła rywalka.

Raziewicz zobaczył na korytarzu wiodącym do garderób damskich takie coś małego, złotowłosego, cudownego, z buzią barokowego aniołka, owianego białą matinką, w różowej jedwabnej haleczce, pędzącego jak zbłąkany motyl w promieniu elektryczności.

Otworzył usta i stanął.

— Cóż to za cud?

Cud nadleciał, potknął się o niego, chude, ale bieluśkie ramionka wykwitły z puchu matinki, coś ciepłego, wonnego niby konwalia, niby ciało dziecka...

Raziewicz aż dreszcz przebiegł.

— Przepraszam...

Lecz z tumanów batystu, konwalii i białego ciała wyleciał chrapliwy głosik:

— To koń Pana Jezusa!...

Ale Raziewicz nic nie odtrąciło. Ani głos, jakby przepity, ani ten „koń Pana Jezusa”, ani złe spojrzenie.

Stoi z roztwartymi ustami i patrzy, a drzwi garderoby trzasnęły i cud zniknął.

Przechodzi aktor, „ubrany w kostium grecki, który leży na nim jak czaprak\*.

— Cóż tak sterczysz? — pyta Raziewicz. | — Ty... kto się tu ubiera? Palcem wskazuje na drzwi, za którymi zniknęła matinka. - — ^Tu?... nowa dzisiejsza.

— Kto to?

— Jakaś... coś z Warszawy czy skąd, do patrzenia jest, tylko czy będzie do gadania — to rzecz.

— No... a...

— Phi!... to numer!

- Ona?... to dzieciak.

— Strasznie jesteś głupi, co dzień głupszy. Kiedyż się ma puszczać, -jak jej nikt nie zechce? Chodź na papierosa.

Greki otwiera drzwi od swej garderoby.

Cała grupa Greków tkwi dokoła stolika i zapracowuje się w domino.

Raziewicz patrzy na wszystkich ze swym wieczystym ironicznym uśmiechem.

To irytuje jednego z Greków w szafranowej, zbyt krótkiej peruce, wsadzonej na czoło, zrobione z pończochy i za- smarowane szminką.

— Czego się wydrzyźniasz? — pyta Raziewicz — jeżeli nie lubisz domina, to jeszcze nie racja, żeby drwić...

— Ja? cóż znowu? ja bardzo lubię — tłumaczy się Raziewicz.

Odwraca się od grających, patrzy w lustro, przed którym płoną białawo elektryczne lampy. Nie widzi jednak ani siebie, ani Greków, ani nic, nic.

Wszystko mu przesłaniają batysty, matinki, konwalia, spódniczka różowa, która

czaprak

— przykrycie na konia

szeleści „szu, szu”, i te białe ramionka, wykwitające ku niemu z piany koronek i wstawek.

I ten „koń Pana Jezusa” wydaje mu się nawet i drogi, i wcale, wcale... tego...” - Zresztą, do przełknięcia.

Jak to mówią za kulisami, wzięło go.

Ona sama zdziwiła się, pokręciła śliczną główką i pyta:

— Cóż to? latasz za mną?

On na to nic, tylko przełyka ślinę i przestępuje z nogi na nogę. Nie może przecież powiedzieć: — Jakże cię nie kochać, jakże nie latać za tobą, kiedyś taka biała, taka różowa, taka złota, tak szumiąca, taka pachnąca... kiedyś ty promień i konwalia, i laleczka, i łątka nadrzeczna, i aniołek z tortu, i muszka, co tańczy kadryla w smudze słonecznej, i duszyczka mad Madonną Amiconiego \*, i pasterka Watteau \*:', i Greuze \*, i Tamagra, i dziewczeczka, o świtaniu w rosie umyta, i... ach! czy zliczyć można coś ty, ty, Boży cudzie o wyzłoconych aureoliną włosach, markizo w lakierowanych bucikach na paryskich koreczkach, z łokietkami sterczącymi jak pączek róży z koronek i mitenek.

Jej tego powiedzieć nie można, ale oczy Ragiewłcza mają pewien wyraz „barani”, właściwy zakochanym, i mówią wszystko ku ogromnej ucieście teatralnej czeladki.

— A to się wlepił!

Kobiety wzruszają ramionami.

— Także... ma w czym... takie coś!

Ach! Bo, niestety, ona jest „takie coś”, to cacko, ten Greuze, ta muszeczka, ta łątka tęczowa.

Takie coś!

Niby — rozumiemy się. Tłumaczyć nie trzeba. Dość, że

„takie coś” bardzo pachnie, bardzo szumi, strasznie jest obdzierane, wyczyszczone, całowane w oczy, opłute za oczy i co dzień coś nowego, złotego przywlecze na próbę. Świecą się w tym złocie kamyczki, świecą barwy: tęczowe, purpurowe, szafirowe. Czasem opal smutno zamigoce, ach! I perła raz nawet czarna, żałobna, zapłakała w małej dłoni, która ma połysk i gładkość konchy muszlowej.

Raziewicz to widzi i kryje się wtedy w kulisy, po ciemku gryzie paznokcie, mnie bukiecik, który przyniósł właśnie.

\* Taki maluchny bukiecik, gdzie jest jedna nicejska róża, biały gwoździk, trochę pachnących narcyzów.

— Dla panny młodej? — Co? — pyta go kolega.

I parska śmiechem.

Raziewicz czuje, że ta biel kwiecica niestosowna dla tej „panny młodej”, która przykucnęła przy budce suflera, złote kudełki spadły jej na różowy pyszczek, usta zacięła i uważnie przypatruje się łańcuszkowi ciężkiemu, zwisającemu spod rozpiętego żakietu. Na łańcuszku złote lusterko, osypane brylancikami.

Bardzo, bardzo cacy.

Przed teatrem czekają „gumy”, kostiumik z aksamitu leży jak ulany, pasowy, płomienny kapelusik otulił główkę.

Po. kulisach ironiczne szepty:

— „Takie coś”...

— Tak, pewnie — myśli Raziewicz — ale jakie to „takie coś” precudne!

I nastawia się w kącie, pilnując, w którą kulisę Niutka wpadnie, gdy głos reżysera wyrwie ją z kontemplacji złota i brylantów. Raziewicz ma nadzieję, że cud znów się potknie o iniego, a on posłyszysz:

— Ach!... ty „koniu Pana Jezusa”...

Czasem repertuar się zmienia.

Raziewicz słyszy „ty ośle”, to znów jest „krowięturą”, to życzą mu: „aby pies z nim tańczył polkę przez całe Wały Hetmańskie\*” lub inne równie niepojęte i nadnaturalne

Wały Hetmańskie — powstałe na miejscu dawnych warowni, stały się miejscem spacerów eleganckiego świata lwowskiego

rzeczy. On to wszystko wysłuchuje, połyka i cieszy się choć tym.

Powoli przecież Niutka jakoś nabiera do niego zaufania. Ciągłe ma mu coś do powiedzenia. Najczęściej jest to „ach! jaka jestem zmęczona” lub „nudzi mi się”. Potem — ziewnięcie. — Nie wyspałam się... On i to przyjmuje.

A w sercu młodym coś aż wierci, aż boli... Ale to nic.

Byle mógł być przy niej i patrzeć na nią.

Idą więc tak po ulicy oboje milczący, a Niutka jakoś nadprogramowo zadumana.

Coś tam nurtuje w tej maciupej główce, aż kreska przecięła dwie starannie podczernione brewki.

Raziewicz myśli w duchu, że to już od kilku dni cud taki zamyślony. Może ma jakie zmartwienie, jakie kłopoty. Kto to wie? Przecież i „takie coś” ma zmartwienia. Temu nikt nie zaprzeczy.

Doszli do kamienicy, w której Niutka mieszka.

Raziewicz chce się zegnać.

— Chodź na górę! — mówi Niutka.

Drapie się na drugie piętro po nie bardzo czystych schodach. Wchadzą.

Drzwi im otwiera amalgamat rozczochranych włosów, brudnej jedwabnej różowej bluzki, twarzy pomiętej dziwnie i ogromnych sarnich oczu.

Jest to „Pirlipata”, pokojowa Niutki, nazwana tak przez chlebobawczyjaię z powodu przedziwnej szpetoty, nawodzącej na pamięć narzeczoną Dziadka do Orzechów ze słynnej bajki Andersena \*.-

Andersen Hans Christian (1805—1875) — sławny poeta duński, którego bajki stały się popularne w całym świecie. Autorem bajki Dziadek do Orzechów (1816) jest jednak Ernest Teodor Amadeusz Hoffmann (1776—1822), słynny pisarz a zarazem malarz i muzyk niemiecki.

Pirlipata — to imię pięknej księżniczki, -która, zaczarowana przez królowę myszy, traci swą urodę. Odzyskuje ją dzięki pomocy Dziadka do Orzechów,



Na codzień Pirlipata przedstawia typowe potyradło, nie umiejące nic, biorące dużą pensję, ale za to tłukące wszystko, czego się dotknie.

Od progu Pirlipata anonsuje radośnie:

— Zbiłam kompotierkę...

Niutka rzuca w nią parasolem.

— A to bydlę!...

Pirlipata urąga \* gniewowi swej pani. Odbiera bolero i przytyka do niego z lubością swą twarz typowego kop- ciucha.

£Jiutka i Raziewicz wchodzą do salonu.

Mieszkanie lalki.

Ot, kilka pluszowych stoliczków, fotel bujający, parawa- niki, dywaniki, jakaś makatka. Wspaniała lakowa japońska szkatułka, dwie zapomniane albo wyłudzone porte-cigares srebrne z kamieniami.

W sypialni łóżko angielskie metalowe, grzecznie obciążnięte różową taftą, powiadam wam, łóżeczko dobrze wychowanej panienki.

Raziewicz zbaraniał do reszty. Patrzy, patrzy, Niutka przebiera się bez żenady w śliczną różową matinkę.

Ach!... jaką ona ma złotawą szyjkę.

— Pirlipata!... obiad!...

A potem do Raziewicza.

— Będiesz ze mną jadł.

Tak się ucieszył, że zapomniał się ceremonizować.

Siedzą przy małym stoliczku i dzielą się jednym befsztykiem.

Manon i des Grieux \*.

Ale „Manon” z sypialni taszczy butelkę koniaku.

— Napijmy się... nasze kawalerskie!

Ciągle jest jednak nachmurzona, coś jej dolega.

— Pij!

Raziewicz pije.

Pirlipata wzdycha.

— I ty pij!

Wyciągnęła nóżki, matinka jest źle zapięta. Dziwne światło bije od okien, które są zasłonięte seledynowymi storami.

— Jeszcze raz... Nalewa znów kieliszki. Wypili.

Jedzą samą musztardę i polewają ją "%maggi", bo obiad coś nie bardzo tego.

— Co tam... jeszcze po jednym Raziewicz protestuje.

— Nie, nie...

Aż się zachnęła i patrzy na niego srogo.

— Czemu nie? Cóż to trzy? to dla dzieci!

— Ale... już pani poczerwieniała.

— No to co?...

A potem sentymentalnie:

— Psie życie!

Wyciągnęła piąstkę, w której tkwi widelec, opuściła głowę.

— Psie życie!... — powtarza.

Twarzyczka jej nagle postarzała, przygasła. Nic jej nie może rozświetlić, nawet blask brylantowych kolczyków. Raziewicz delikatnie bierze ją za rękę.

— Co pani?

Ona pije znów koniak.

— Mów mi... ty!

— Dobrze. °

— I nie uśmiechaj się tak głupio.

— Dobrze, ale co tobie?

— Nic.

— Nieprawda. Od kilku dni jesteś taka smutna. Co tobie? Powiedz mi... Przecież chyba ja...

Aż go dławi, ale chce, musi jej coś powiedzieć, cokolwiek. Ona słucha, zasepiona, ale słucha.

— Ja wszystko zrobię dla ciebie, wszystko, duszę ci oddam... wszystko, co mogę!

Ona odsunęła się od stołu, łapka jej drży w dużej ręce Raziewicza jak mały, z gniazdka wyrzucony ptaszek. Jest prawie tragiczna, z .oczu płyną jej łzy.

— No... no... co tobie? co tobie?

A ta bródka drży, usta w podkówkę.

Znów się napiła kieliszek.

— Nie pij! to cię gubi!

— Wiem, ale co mi pozostaje?

— Jak to?

Milczy chwilę, wreszcie zrywa się, biegnie do sypialnego pokoju i rzuca się na łóżko.

— Ach! jaka ja nieszczęśliwa!

I szlocha, szlocha...

Raziewicz stoi bezsilny. Patrzy na śliczny, wąty jeszcze karczek, z którego osuwa się matinka, na nóżki, obute w złote pantofelki...

I ukląkłby u tych nóżek, całował je i błagał, aby ich właścicielka uspokoiła się, szlochać przestała.

Ale nie śmie.

Tylko pochylił się i powtarza:

— Co tobie? Co tobie?

I niespodziewanie z ust, silnie pofarbowanych vinaigre raisin bijou\*, który urąga wszystkim obiadom i pozostaje, triumfalnie do „koralowych” warg przywarty, wydostał się jęk: ^

— To... przez Rehabilitację!...

Ach tak — to tytuł sztuki, próbowanej obecnie w teatrze. Coś tam Niutce musi w roli „kloszować” albo i\*z roli nie- kontenta.

Więc Raziewicz:

— Dlaczego? Rola ci nie pasuje? Nie czujesz się w swoim sosie?

— Głupi jesteś!... „-

Matinka wydyma się na ramionach jak żagiel. Nowy potok łez moczy batyst poduszek. I „ach” — i „och” — i nóżki aż dygocą^ z rozpaczy.

Słowem coś straszego.

— Chodź! Wstań! przejdziemy rolę, to pójdzie jakoś...

Ale ona siada nagle na łóżku, odpycha go, rozgarnia

gąszcz włosów i mówić zaczyna:

— Nie, nie chodzi mi o rolę, gwizdź na nią, pluję... mam w pięcie. Tu chodzi o treść, rozumiesz, bałwanie, treść!

— iii

— Ach!... Jaka ja nieszczęśliwa... jaki z ciebie słoń, ta-  
pir, czart wie co... oiiic, nic, żadnej subtelności... Nie widzisz,  
co się we mnie dzieje od czytanej próby?... — ???

— Dzieje się to... że ja nie mogę dłużej tak żyć... że ja nie chcę być „takie  
coś”, że ja... że ja... się powieszę... że ja wolę umrzeć, jak ta w sztuce...  
rozumiesz, co?

Zrozumiał.

I zda mu się, że to nagle niewidzialny chór serafinów zeszedł i otoczył  
złożone łóżko z różową jedwabną kołdrą.

Aniołowie ci mają długie białe szaty, srebrne skrzydła, słodkie, białe  
twarze i ręce sióstr miłosierdzia...

Pochylają się nad łkającą Niutką, mówią coś do niej, budzą w niej  
godność kobiecą — o serduszko trącają skrzydłami, jak rosę słońce, tak z  
oczów załzawionych te łzy piją.

I wkoło, jakby głos harfy i przestworów, płynie cicho jedno słowo:

— Rehabilitacją!

Ukląkł przed nią i do nóżek jej się kloni, ale ona ku niemu rączki wyciąga.

—Zrozumiałeś?

—Tak, Niutuś, zrozumiałem.;, słuchaj... słuchaj...

Całuje ją po rękach.

— Nie całuj, ja jestem potwór, ja nie jestem warta dobrego słowa — ja  
żyję rzeczywiście strasznie. One mają rację odwracać się ode mnie. Ja  
jestem ostatnią z ostatnich! I dlatego chcę umrzeć!...'

Aż pociemniały jej ślepki i zacisnęła ręce wokoło szyi Raziewiczza.

—Chcę umrzeć! — powtarza z energią.

—Nie, nie, posłuchaj tylko...

Ona nic słuchać nie chce. Nie, nie. Chwyciła się moralnie za włosy i  
tarza w prochu. Na prostą jej duszę oddziaływał melodramat francuski w  
przerażający sposób. Słyszy ciągle: „upadła dziewczyna”... i stosuje to do  
siebie. Koniak dziel

nie dopomaga. Rozzalenie jej wzrasta. Ach! była stworzona na żonę, na matkę, mówi łamiąc ręce, lecz co? co? Zresztą, nic ona nie winna. To... Zatrzymała się. Nie wie, na kogo zwalić winę. A więc jakaś... jakaś ciotka, która ją pchała do złego.

I zaczyna się fantastyczna legenda, którą Raziwicz połyka, a chóry anielskie wciąż akompaniują.

— Tak... ciotka... ciotka... I tu bajeczne cyfry, przymusy. Bóg nie wie co. Raziwicz pięści ściska.

— Ach! stara megeraL.

Lecz Niutka staje się anielsko wyrozumiałą.

— Nie potępiaj jej!... — prosi — ona także tak była wychowana. Ja wciąż jej pieniądze posyłam.

Raziwicz porywa się i chodzi po pokoju pełen energii.

— Truciznę jej poślij!

— Ach!... Co ty mówisz. To moja bądź co bądź matka.

— Mówiłaś: ciotka.

— No... tak... pomyliłam się!... Ale muszę, muszę...

Raziwicz staje nagle przed nią chmurny i zdecydowany.

— Słuchaj, Niutka... ja cię Kocham!...

Niutka objęła kolana rękami i patrzy w przestrzeń.

— Słyszysz?

— Słyszę.

— Kocham cię i jeśli chcesz, jeśli się poprawisz... to...

Krztusi się, ale wyrzuca:

— Ożenię się z tobą!

Niutka wciąż patrzy w przestrzeń.

— Nie mówisz nic?

— Nie. To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Ty jesteś uczciwy, honorowy, a ja...

I znów rozpaczliwe łkania, upadek na poduszki i potok łez.

Raziwicz znów klęczy przy Jpżku.

— Ależ... jeśli się poprawisz przez jakiś czas, to ludzie przestaną gadać i zapomną.

— Nie, nie, oni podli — oni nigdy nie zapomną!

— Daję ci na to słowo, że zapomną, a potem, skoro będziesz moją żoną, wara wszystkim! Zobaczysz, to się utrże!...

Niutka leży cicho, patrzy w sufit i widać, że myśli. Wreszcie pyta:

— Taki prawdziwy ślub?"z księdzem?

— Naturalnie!

— I nazywałabym się mężatką?

— Tak — najprawdziwszą. Ile jest takich, co przed ślubem, a potem! W arystokracji... daję ci słowo...

Tak, tak! Mówił mi jeden hrabia... Wzmianka o „jednym hrabim" działa na Raziewiczza trochę przygnębiająco.

— Musisz się, Niutuś, odzwyczaić od wielu rzeczy — mówi cicho — zapomnieć, wyrzec. Zrozum, cała twoja przeszłość nie istnieje. Teraz będziesz żyła jak inne kobiety. Cicho, spokojnie, oszczędnie.

— Kiedy ja mam długi

Raziewicz chwilę milczy, zbity z tropu.

— Jakoś poradzimy, ułożymy się, na raty wezmę pożyczkę.

— W banku, co? Ja ci ułatwię. Mówił mi jeden dyrektor, że...

—; Ach! Proszę cię... zostaw! Zapomnij o swoich dawnych znajomościach. To łotry, wyzyskiwali cię... szubrawcy!

— Nie. To wszystko bardzo porządni ludzie. Raziewicz aż zębami zgrzyta.

— Może... ale czy który zaproponował ci małżeństwo?

— Nie!

— A widzisz... A ja chcę się z tobą ożenić. Ja jestem uczciwy. Ja cię szanuję. Ja cię chcę zrehabilitować...

— Ach! Tale!... Prawda! To byłaby rehabilitacja!

Aż w ręce klaszcze z radości. Łzy osy cha ją, oczki świecą się jak lampki żarowe.

— Dobrze, dobrze, pójdę za ciebie!...

— I poprawisz się?

— Poprawię.

— Żadnych zabaw, strojów, jeżdżenia na gumach, kolacji... , .

— Żadnych!

Całują się na potęgę. Młodymi ustami przylgnęli do siebie i piją jak miód dreszcz i rozkosz.

— Mój Niutuś? Mój?

— Twój!

— Moja żonka?

— Mój mężuś?..>

Chce porwać się z łóżka.

— Poczekaj, mam śliczny, angielski pierścionek. Szafir i dwa brylanty, męski. Dam ci go na zaręczyny.

— Nie, nie, nie chcę!

Powiedział to energicznie i z gniewem. Odczuła, że go uraziła.

— Chcesz?... Ja to wszystko wyrzucę za okno?

Gotowa do czynu, już stoi koło toaletki.

— Nie... nie; odeślemy to wszystko. To będzie godniejsze.

Zafrasowała się.

— Nie wiem, czy sobie przypomnę, co od kogo.

— Postaraj się. A teraz nie mówmy o tym. Zaczynamy nowe życie. Dziś nie pójdziesz po południu na próbę. Ja cię wytłumaczę. Będziesz siedziała w domu. Czytaj, szyj i czekaj na mnie.

— Przyjedziesz?

— Tak, o siódmej.

— I pójdziemy na kolację?

— Nie.

— Dlaczego?

— Narzeczona nie włączy się po knajpach. Zjemy tu kolację razem. Każ tylko nastawić samowar, a ja co bądź przyniosę.

Niutka jest zachwycona.

— Dobrze... dobrze... To będzie ślicznie! Mamy tu mały stoliczek. Każę Pirlipacie zapalić w piecu. Przesiedzimy cały wieczór razem. Zacznie się rehabilitacja!...

Śmieje się srebrzyście, okręca na pięcie, różowa matinka rozwiewa się dokoła jak skrzydła.

— Żonka moja!

— Mój mężuś!...

— A powiedz na próbie, żeśmy się zaręczyli To będzie po nosie tym, co mi się przestali kłaniać.

— Pewnie, że powiem.

Bije trzecia.

— Już trzecia, idę na próbę.

— Jeszcze pocałuj!...

— Ty... jedyna... ty cudzie... ty...

— Dostyc, bo mnie udusisz!

— Czekaj cierpliwie...

— A ty przychodź prędko...

Wybiegła za nim na schody, cała różowa jak zorza.

— Wracaj do pokoju, zaziębisz się! — upominał ją troskliwie.

Uwiesiła mu się u szyi;

— Ty mój mąż! -

Cieszy się tą nazwą, jak nowym pierścionkiem.

— Mąż, mąż!

Ugryzła go w ucho. Ma ochotę powiedzieć mu: „koniu pana Jezusa”, ale się waha. Zdjął ją jakiś lęk.

On schodzi wreszcie i patrzy ciągle na nią, jak przychyłona przez poręcz, śmieje się do niego w całej krasie swej gracji, swej elegancji i szyku porcelanowego aniołka.

Próba ciągnie się długo, długo.. Cyzelują, przesiewają przez sitko, przez alembik. Raziwicz aż -nosi. Siódma dawno wybiła. Jest zdenerwowany.

Gdy reżyserowi, powiedział, iż Niutka nie przyjdzie, bo chora, ten Skrzywił się dwuznacznie.

— Spła się? Co?

Raziwicz aż dźgnęło coś w serce.

— Prosiłbym pana reżysera...

— Co?

Bystre oczy spojrzały prosto w twarą chłopca.

Raziwicz chciał zmilczeć, ale uznał, że byłby to krok nieszlachetny.

Zmarszczył brwi, przybrał godną podstawę.

— Prosiłbym, aby się pan reżyser w ten sposób o tej pani nie wyrażał.

— A to co znowu?

— Tak... ja proszę...

— Oszalałeś! Idź za kulisy. Akt się zaczyna. Dyrektor przyszedł.

Raziwicz chciał mu powiedzieć jeszcze, że zaręczył się z Niutką, ale odejść musiał. Dyrektor mknął przed budką suflera, widmowy, dziwny, nieprzystępny.

— Biedactwo moje, siedzi tam, czeka, czyta- szyje... —\* myśli Raziwicz, tuląc się w ciemną kulisę.



— Ja wiedziałem, że w tej duszyczce jest coś dobrego, wiedziałem. I tak mało było potrzeba, ażeby się to coś obu-, dziło. Ręczę, że będzie z niej najlepsza żona, matka...

Uśmiecha się tryumfująco.

— Tak, tak. Będzie to wszystko moje. I buzia, i łapki, i włosy złote, i ona cała. Zdziwią się, pogadają i zamilczą. A nie, to jak Boga kocham, w pyski...

Krew mu do głowy uderza. Spogląda groźnie dokoła. Aktorzy zajęci sobą, rolą, puszą się jak pawie. Nikt się o niego nie troszczy.

Wreszcie próba się kończy.

Raziewicz wypada na ulicę i pędzi do znanego mu sklepu. Tam drżącym głosem każe pakować szproty, czekoladę, herbatę, masło, sery, ciasteczka, homara, małą puszczkę pasztetu.

— Wezmę rumu do herbaty, od razu nie można jej od wszystkiego odzwyczajając.

Więc rum i pół benedyktyнки, i daktyle, i szynka pra\* ska, i bryndza preparowana, i rolmopsy, i Bóg wie co.

Ćwierć gaży oblubieńca przechodzi do kasy sklepowej.

Wreszcie, obładowany jak słoń, pędzi i pnie się po wschodach.

Dzwoni.

A serce mu stuka, stuka...

Cisza.

Dzwoni znów.

— Może zasnęło dzidziątko —- myśli — a ta Pirlipata wyszła... To szturmak, muszę ją odprawić.

Po chwili słychać w głębi mieszkania: szur, szur...

Wreszcie drzwi się otwierają.

.Staje w nich zaspana Pirlipata z ogarkiem świeczki w ręku.

W mieszkaniu ciemność.

Raziewiczowi serce się kurczy. Tak mu nagle zimno, tak bardzo zimno...

— Pani jest? Śpi?

— Pani nie ma.

— A... gdzie?

— Po panią przyjechali panowie, pani się ubrała i pojechali...

— Słyszałam, że jechali naprzód do Colosseum, a potem zjawiali się do Żorza, tylko pani nie chciała...

— Pani nie chciała?

— Tak, do Żorza. Mówiła pani, że się tam dosyć natruła. Pani chciała do Imperialu.

— Dobrze... dosyć...

Wie już wszystko, a przecież nie odchodzi. Jakby wrósł, do tej słomianki, na której pod błotem ciemnieje napis: SalveJ \*

Przed nim wdzięczy się rozczochrana Pirlipata. Stearyna ze świecy cieknie jej po palcach. Ona znosi to z lubością.

— A... dla mnie.,, nic... pani nie kazała powiedzieć? — pyta wreszcie Raziewicz. >

— Nic..- nic....

Teraz już musi odejść stanowczo.

— Dobrze... proszę powiedzieć pani...

Urywa.

Wyciągnął rękę, chciałby zostawić paczki. Niech wie, że był, że on dotrzymał słowa, że...

Ale ogarnął go wstyd cichy i smutny. Ona jego kolacji nie potrzebuje, mignęła mu przed oczy jasno oświetlona separatka, stół dostatnio nakryty, srebrne wazy z szampanem.

Cóż jego szproty, jego rum, jego puszciczka pasztetu! Jakie to ubogie, nędzne, liche... •

I jakby zbity pies, odwrócił się i cicho zeszedł na dół.

Słyszał jeszcze, jak Pirlipata drzwi hałaśliwie zamknęła.

Coś mu z tym stukiem przywarło się w sercu i zapanowała w nim głucha, głucha ciemność.

Chóry serafinów zamilkły, rozplynęły się...

Raziewicz idzie po roztopionym śniegu i myśli:

— Pójdę, pójdę do knajpy i jeszcze gdzie, będę pić, a ju- - tro nie spojrzę na nią, nie spojrzę.

Gabriela Zapolska

Ale ja wam ręczę, że on na nią spojrzy.

## TAKA BYŁA SŁODKA.....

Mówiono, że to był dom „pod białymi różami”.

Tak w zakładzie nazywano szalec szwajcarski, po którym wspinały się białe róże, a we wnętrzu którego były białe kobiety, białe, bo krwi nie miały.

Ale to nie było żadne określenie tego domu, koło którego snuły się wczesnym rankiem czarne rozszczebiotane kosy.

Bo to nie był dom pod różami. To z fali róż białych wytryskały jego lekkie szarawe ściany. Z fali słodkich, białych, niewielkich, a w gęste grona zbitych białych róż. Całymi płatami słały się przy podmurowaniu i biły w górę jakby spienione bałwany, gdzieniegdzie poznaczone delikatną zielenią drobnego listowia.

Po werandach śniegiem pięły się cz\*arowne i niezmożo- ne. Do okien wkradały się i zwisały od balustrad ganeczków. Takie białe, takie^wonne, takie czyste, a płatki z nich, gdy leciały, zdawały, się rozpływać w powietrzu. O wczesnym ranku brylantami były posypane i tęcze w nich grały. Na parterze w sali hydroterapii słycać było szum wody i gwar ludzkich głosów. Z daleka orkiestra grała walca. Dom pod białymi różami budził się cały w woni i kwiatkach. Czarne kosy zaglądały do okien i dziobami pukały w szyby.

—Śpicie tam, wy, chorzy? chodźcie patrzeć, ile rankiem rozkwitło się róż...

Chorzy stawali o ile mogli najszybciej i biegli do okien. Żółte ich twarze i ten dziwny, niepewny wyraz, jaki mają długo chorzy, witał ranek.

Nieśmiało stawali w obramowaniu róż i wychudłymi rękami uchylali okna.

—Wy dla nas kwitniecie, wy?

I szybko oofali ręce, oszpecone artretyzmem, drżące ner

wowo, jakby lękali się dotknąć tych delikatnych, wonnych kwiatów, które ku nim się śmiały. ^

— Wy dla nas kwitniecie, wy?

I znikali w głębi swych pokoi, szukając opasek, bind\*, prześcieradeł. Róże zwilżyła rosa. Tęcza w niej grała. Tęcza ta uleci w etery błękitne i zginie. Szorstka dłoń kąpielowego czeka.

Jak daleko choremu człowiekowi do róży!

Czasem przebiegła młoda pokojowa, zerwała kilka róż i zatknęła na piersiach za ba wetem\* fartuszka.

Śmiała się przy tym wesoło:

— O! wy moje kwiaty!..

Lecz już wchodząc do pokoju chorego, gasiła uśmiech a gasła swobodna piękność kwiecia.

— Jak zdrowie dzisiaj? — pytała układnie, podając śniadanie.

Często milczenie jest odpowiedzią.

Bo ci, którzy długo chorują, nie mają słów.

Milczą.

Bo -czemu mówić mają?

Czy cieszyć się słońcem, kwiatami i tym,- że żyją?

Chyba tym ostatnim.

Że jeszcze żyją.

II

Ale jedno z okien domu pod białymi różami otwierało się wcześniej niż inne.

Otwierało się szybciej, jakoś bardziej zdecydowanie, gestem kogoś, kto ma zdrową, niezdeformowaną rękę.

I w oknie tym pod całą nawałnicą róż ukazywała się postać kobieca.

Przesłodka, madonno wata.dziewicze twarze, które nigdy, zda się, zlej myśli nie miały..

Czym byli aniołowie Erą Angelico da Fiesole\* w sukniach gwiazdzistych, z włosami odwiniętymi, jak pani Pom- padour\* odwijala w tyle lat później, wobec tego czoła, ozłoczonego półksiężycem złota o połysku miedzi?

W wyrazie zaś twarzy miała ta biała donna coś z lecących geniuszków Piotra Pawła Prudhona\*.

Słowem, synteza słodocy zaświatowej i ziemskiej.

A tak była białą, złotowłosą, błękitnooką i tak miała cudny owal delikatnej twarzyczki, iż nie ma ani pędzla, ani pióra, które oddać by ten cud mogło. Gdy powiał silniejszy wicher, drżało się nie o róże, ale o nią, aby nie wionęła w przestrzeń, aby planować pod obłokami z oczyma przy-  
mkniętymi i-rękami złożonymi na piersiach. Bo cała była tą wiotką, przejrzystą, przedziwną, na której, zda się, cudem trzymają się koronki, etaminy\*, krepony\*. Nogi jej były wąskie i długie, ręce tak samo. Karnacja ciała miała tony róż, które otaczały jej okno. Gdy odziana w długi, lekki, przedziwnie seledynowy szlafrok, opierała się o ramę i słodkie turkusy swych oczów słała w przestrzeń, zamarzyć się, zapatrzeć.

Włosy długimi pasmami opadały jej na ramiona. Czasem zarzucała na głowę gazową, białą zasłonę. I wtedy było to stwa florenckiego przedstawiając świętych w strojach współczesnych i na tle życia współczesnego. Freski Ghirlandajo znajdują się w Rzymie w kaplicy Sykstyńskiej.

coś tak prymitywnego, że aż olśniewało. A gdy kto z drugiego okna lub z dołu przemówił do niej, nie zmieniała pozy, ale usta jej okalał tak słodki uśmiech, taki wykwint anielskości rozjaśniał twarzyczkę, że chory, pozdrawiający ją, chłonał w siebie tę słodycz i upajał się nią.

— Jaka słodka! — mówili wszyscy.

A ona szła w tej smudze słodkości i zdawała się być dobrą wróżką. Dziewicą świętą, idącą wśród złotej pustyni areny cyrkowej, niosącą męczennikom i dzikim zwierzętom biel róż w fałdach swego welonu i czystą rezygnację najczarowniejszej dobroci.

W tym sanatorium podwiedeńskim, przylepionym u stóp góry, w szmerze fontann i woni kwiecica całe setki chorych ludziły się, że znajdują to, co z wielkim biciem skrzydeł ulatało od nich w nieskończoność.

Ale uluda jest słodka. Choćby opłacić ją męką i ofiarą ostatków pieniężnych. Byle dalej od tej czarnej, zimnej, tak dobrze zamkniętej trumny. Może się uda. Może...

Pierwsza konsultacja, nowe badania, asystent, doktor, świeża słuchawka, to tu, to tam... tak, coś nowego stanowczo. Jakiś błysk, A potem ta recepta w rękę, jakby rąbek szaty ulatującego anioła. I choć targa coś koło serca, szaleństwo! nowa słuchawka musiała pochwycić nowy rodzaj rzeżenia. Ten prawdziwy, ten, który właśnie jest przyczyną, że to coś, bijąc wielkimi skrzydły, ulata. Więc dlatego sanatorium pełne.

Kobieta o twarzyczce Madonny nie jest właściwie bardzo chora. Niedokrewna, trochę nerwowa. Ale i dla takich miejsce pomiędzy chorymi być musi.

Kobieta o twarzyczce Madonny zmienia codziennie białe toalety kilkakrotnie. Lato jest bajeczne i biały kolor jest w modzie. Tylko w pokoju madonna nosi zielony, mdławy szlafroczek. Wychyla się wtedy często z okna, a rozchylone rękawy opadają na pęki róż, jak skrzydła jakiegoś fantastycznego ptaka, który spoczął na chwilę.

Ponad oknem słodkiej pani otwierać się zaczyna także dość wcześnie drugie okno. Przechyla się zeń ktoś, ledwo odziany, jakiś mężczyzna.

Przytrzymuje jedną ręką kurtkę płócienną u szyi i przez gęstwę róż stara się dojrzeć, co się dzieje na dole. Gdy zielona krepa, biała gaza i złote włosy zamigocą, przechyla się jeszcze więcej.

— Dzień dobry pani! — mówi łagodnie.

Słodką pani podnosi swą twarzyczkę i roztwiera śliczne oczy.

— A!... to pan!... — mówi tak słodko, tak miło, tak rozkosznie.

A panu w oknie zdaje się, że z wonią róż i ten głos, i ten uśmiech tak dziwnie miło wita go o rannych chwilach.

— Jakże pana zdrowie? — pyta dalej pani, przechylona, podana naprzód, cała jakby ulecieć chciała na drugie piętro szwajcarskiego domku.

— Lepiej mi — odpowiada pan.

I rzeczywiście jest mu w tej chwili lepiej. Strzyknie w nogach od czasu do czasu, ale on w tej chwili, pochylony nad klombem najcudniejszych uśmiechów, zrywa je delikatnie i o bóle swe nie dba.

— Jedziemy dziś do Wiednia? — zapytuje wisząc cały, jakby miał wypaść lada chwila.

— Lękam się, że pan się zmęczy.

I wzrok trwożny, lękliwy.

— Cóż znowu! Jestem na pani rozkazy. Po zabiegach. Dobrze?

— Skoro pan tak chce koniecznie...

— Ależ naturalnie. Do widzenia.

— Do widzenia!

Mdlej ąco i miło.

— Do widzenia!

Przeginają się jeszcze. Przechylają ku sobie. Wpatrzyli się w oczy, w usta.

— Do widzenia!

Wreszcie cofnęli się do pokojów. Teraz ona naciera piegi cold-creamem -i benzoessem, a on przymierza nowe jasne buty na dziwnie zdrętwiałe nogi.

— Profesor nie kazał mi męczyć się — myśli — ale niech go diabli... pojedę, choć wiem, że gdybym Opowiedział jej, że cierpię, nie skrzywi się. To anioł! Tak słodkiej istoty nie spotkałem jeszcze w życiu. Jak z bajki.

### III

Idą w Wiedniu w Ringstrasse.

Ona biało i on biało. Oboje są wcale sznittowni. On utyka trochę, ona zasłania się od słońca parasolką.

Idą bez celu i gawronią się po sklepach. Znają je już na pamięć. Ale to tu, to tam jakiś drobiazg, jakaś tandeta wabi ją, jak ptaka zwierciadło.

— Och! torbeczka z zegarkiem!— Och! klamra dziwna... jakaś żmija, wysadzana ametystami... jakież to śmieszne... widzi pan?...

— Podoba się pani?

— Nie. Tylko tak. Ciekawe.

On notuje sobie w myśli adres sklepu. Idą dalej.

— Widzi pan... widzi pan?

— Co? co?

— Ta parasolka. Cała w cień. Inkrustowana koronką.

— Podoba się pani?

— Nie. Tylko tak.

On znów notuje w pamięci firmę.

Jakże chętnie zakupiłby to wszystko, rzuciłby jej pod stopy. Tym bardziej że jest dziwnie delikatną w swych zachwytach. Mija jubilerów, wystawy Zwiebacka i inne drogie firmy. Zatrzymuje się tylko przed świecącymi drobiazgami. I tak słodko, tak rozkosznie się uśmiecha mówiąc - swoje:

— Tylko tak!

On maca portfel, napęczniony średnio, ale mogący zadowolić takie skromne, delikatne kaprysiki. Właściwie sam nie wie, co będzie, bo ta dama jest dla niego jakby zagadką. Sądził, że jest panną, jakąś artystką. Lecz ona ze smutnym wionięciem swych rzęs nieporównanych powiedziała, że jest rozwódką, i to zupełnie prawną, z wszelkimi-formalnościami.

— Rozwiodłam się.

— O! dlaczego?

— Nie był dobry.

— O! jakże" <ila pani można być niedobrym?

Owinęła się w swój prymitywny welon, bo siedzieli wieczorem w altance w parku, daleko od wszystkich.



— A jednak był niedobry.

Umilkła chwilę, a potem dodała z nieokreślonym wdziękiem w głosie: .

— A nawet bił mnie.

On rzucił się pomimo osłabienia.

— Niegodziwiec!

Powstrzymała go łagodnym ruchem ręki. . — Niech pan się uspokoi. On jest gdzieś bardzo daleko.

Odsapnął trochę.

— Jego szczęście!...

Gdy w nocy pozostał sam, długo zasnąć nie mógł. Jego kult dla kobiet zaczynał z latami przybierać rycerskość sta- rokawalerską.

Jeszcze nie był tym starym kawalerem, ale coś już było za progiem. A przy tym choroba i ciągle cierpienie kazały mu patrzeć na rzeczy życiowe z jakiegoś odmiennego punktu widzenia. Zwłaszcza co do kobiet. Dzielił je na dwie połowy: te, które są coś warte, i te, które nic nie są warte. Leżąc przez życie, potykał się tylko o takie dwa rodzaje. A więc dla tych, które były coś warte, miał w zanadrzu duchowym cześć i pokłony, dla tych, które nic nie były warte, umiarkowany szał i charakterystyczne wydęcie ust.

Biała madonna była stanowczo coś warta. Taka dokoła niej była atmosfera wartościowa. Przy tym trzymała się ładnie. Rozdawała, a raczej rozsiewała swą słodycz na odległość. Gdy mówiła do sekretarza w administracji, była tak uprzejma i łagodna, jak wtedy gdy rozmawiała z księżną, opłukującą swe spuchnięte, dostojne kolana w basenie lub rezydującą majestatycznie w nasiadówce. Gdy dowiedział się, że ma na imię Ama, nie zdziwił się zupełnie. Inaczej ta kobieta nazywać się nie mogła. Duchowo i krótko. Tylko jego wyróżniała, i to w jakiś inny sposób. Nie był to flirt. Niech Bóg broni od tej fałszowanej szpetoty, mającej woń zwietrzałej cykorii! Manewrowanie welonem było coś więcej. Prostota i zarazem gest zwiewny i zawsze prawie troska:

— Jak zdrowie?

W duszy Sadowskiego aż grało z radości. Ile sympatii i rzeczywistego zajęcia się w tych dwóch słowach, co ran-

kiem, po różach pnących się z pierwszego piętra wpadały do niego na pięterko.

Stanowczo coś warta!

Oprócz Amy ma etykietkę krótką: Herncisz, zdaje się, po owym mężu, który... bił.

Taką delikatną, jasnowłosą, taką w welonie...

Sadowski aż podskoczył w swej opasce, którą na noc mu kąpielowy zamiast słuckiego pasa przodków brzuch owinał.

— Gdyby nawet dopuściła się zbrodni, gdyby nawet zdrady, nie miał prawa!

I zaraz wzruszył ramionami.

— Ona zdrady? W oczach tych jasność sama, i to taka promienna, prawa, czysta. Ona ani złości, ani zdrady dopuścić by się nie mogła. Poprawił opaskę i usiłował zasnąć.

— Jutro mię znów o zdrowie zapyta.

Uśmiechnął się.

— I tak słodko...

Słowem, ciągle są razem, czy w Wiedniu, czy w zakładzie. Ona idzie naprzód w ekstazie przed wystawami sklepowymi, a on w jej smudze.

— Gdybym mógł jej ofiarować tę torbeczkę z zegarkiem — kombinuje — gdyby to można tak zrobić, ażeby ona zrozumiała, że ja za to... Ach! Nie!... broń Boże!

Patrzy właśnie, jak ona idzie przed nim w białej, płóciennej, ubranej gipiurami sukni, i z kapelusza zwiesza się jej długi, haftowany gazowy welon. Wiedeńczycy patrzą na nią jak na zjawisko.

— Ja co... od niej... choćby pocałunek... och! Aż się połknął o biust jakiejś wiedenki

— Od takiej archanielicy!...

Ona odwraca się. I uśmiecha się prawie jak dzieciątko.

— Zmęczony? — pyta delikatnie.

— Nie, nie! — zapewnia Sadowski.

— Ale zmęczony. A jeśli nie on, to ona zmęczona., Pokazuje na siebie nieporównanym, ślicznym gestem. Sadowski chwytą okazję z radością mężczyzny, któremu

się trafia możliwość „wpadnięcia” do knajpy.

— Może gdzie wstąpimy?

Mówi to nieśmiało. Ale archanielica rezolutnie dosyć przystaje.

— Dobrze. Tylko na werandzie.

— Ależ tak!

Za chwilę siedzą w restauracji poza szpalerem szarych od kurzu i ugarniowanych bielą niedopałków bluszczów. O kilkanaście kroków konie fiakerskie biją kopytami i rozwiewają żółte, ciężkie dery, pod którymi muchy odprawiają całe parlamenty.

Sadowski z rozkoszą patrzy, jak Ama połyka kremy, torty, pianki, i znów torty, kremy i pianki.

On miał ochotę na sznycla, ale ona z anielskim gestem zabroniła mu mięsa. Jest bowiem skazany na wegetariańską kuchnię. Ama troskliwie wybiera mu „menu” ze szparagów, kalafiorów, brukselki i innych zielenin.

— Nie wolno... nie wolno... ja każę!

Rozkoszą napęła go ta słodka staranność. Nagle doznał jakiejś dawno nie znanej wesołości. Ta słodka kobieta, gwar Wiednia, trochę ulgi w cierpieniu — podnieca go radośnie. I warszawskim zwyczajem nie pojmuje inaczej wyładowania tego radosnego uczucia, jak w formie pękatej, szkaradnej butelki, sterczącej w odrapanej wazie, imitującej nieśmiało srebro.

— Każę zamrozić...

Ale ona zarumieniła się z oburzenia.

— Proszę pana... co to znaczy?

— Ja... nić... tak...

— Panu nie wolno. A jeśli dla mnie, to ja mam wstręt do szampana. I cudne, łagodne, domowe spojrzenie.

— Po co takie wydatki?

Uśmiechnął się. Sprawiała mu tym wielką radość. Stanowczo była dużo warta. Tak naiwnie troszczy się o to, aby nie wydał za dużo na szampana. Prawie naiwna. Słodka! I tamten ją bił!...

— Zresetą ja tylko jedno wino lubię — dodaje.

—

— Liebfrauenmilch.

Sadowski rzuca się, jak szaleniec, na kartę win. Jest Liebfraueńmilczi, jakieś bajeczne, trzy razy droższe niż Roe- derer. Pal sześć! Skoro Ama lubi. Przynoszą z czcią i sza

cunkiem. Kelner idzie, jakby niósł urnę z popiołami Napoleona. Sadowski rozlewa wino z równym namaszczeniem. Jedna Ama pije ten cud jak zwyczajną lurę, po koronie fifkę. Sadowski, który czekał na jakiś zachwyt, jest trochę zdziwiony. Wreszcie zapytuje:

— Dobrze?

Ama uśmiecha się anielsko.

— Dobrze.

I zaraz dodaje:

— Wreszcie ja się nie znam.

Sadowski zaczyna żałować, że się zagalopował w retro- spektywność i postanawia na drugi raz zbliżyć się z datą Liebfrauenmilchu więcej do terażniejszości. Zdziwienie jednak wzrasta, gdy Ama (pomimo tego, że się nie zna) natychmiast ostrzega go łagodnie:

— Tutaj są nieuczciwi ludzie w tej restauracji. To wino różni się znacznie od poprzedniego.

I z boskim uśmiechem dodaje:

— Bo nie chcę, aby panu działa się krzywda.

IV

Sadowski grzęźnie coraz bardziej. Nawet asystent profesora, ten, który mieszka w willi róż po to, aby czuwał nad spokojem nerwów chorych, kręci znacząco głową.

— Zawsze mam kłopot z wami, Polakami! — mówi — zaraz miłość...

Sadowski protestuje gorąco.

— Ach! skądże miłość. Jesteśmy oboje sami, wśród obcych, stąd zbliżenie. Ale to tylko zwyczajna przyjaźń. Pani Ama tak sympatyczna!.;-;-

— Tak słodka...

— Tak, słodka. Tak. To wyrażenie właściwe. Zresztą czuję, że znajomość ta działa na mnie zbawiennie.

Młody asystent zdaje się być rozbawiony.

— I owszem. Niech się pan bawi, ale do pewnej granicy. My dozwalamy naszym pacjentom grać w kręgle na żarty... Ale gdy partia zaczyna się na serio, profesor stawia veto.

Sadowski aż się zarumienił.

— Jak pan może, panie asystencie? Taka kobieta! to jest taka, co jest dużo warta... Ja bym nigdy się nie ośmielił!...

—Toteż nie pan, ale ona się ośmieli!

—Co?...

Zdawało się, że Sadowski skoczy małemu wiedeńczykowi do szyi.

—Co?...

— No, proszę się nie denerwować! Ja zawsze w życiu najwięcej się boję tych kobiet, które są... słodkie.

I uchyliwszy kapelusza, asystent zostawił Sadowskiego na środku alei.

Muzyka grała jakąś piłę z Wdówki \*.

Sadowski usiadł na żelaznym krześle obok paralytyka, który -patrzył na niego gasnącymi oczami. Sadowskiemu było niewyraźnie. Jakby zjadł coś niestrawnego, po czym musi być chory. Wdał się sam ze sobą w rozmowę tajemną i tłumaczył się, że oprócz wycieczek wiedeńskich i ciągłego przebywania z Amą, właściwie nic na nim nadzwyczajnego nie ciąży.

— I to nie jest nadzwyczajne. W Krynicy tak samo asystuję damom.

Rozjeżdżamy się potem każde w swoją stronę, choć czasem na -

Michasiowej dalej się zajdzie niż tutaj z Amą. I potem jedna, druga kartka i szlus. Spotkam na ulicy, chapeau bas \*, to jest wedle tego czy warta, czy nie warta. Tutaj tak samo.

Muzyka grać przestała. Wodotrysk szemrał lekko. Cisza zaczynała panować dokoła. — Szkoda, że tutaj nie ma Michasiowej... — zawirowało delikatnie w najtańszej skrytce Sadowskiego.

Otworzył oczy i starał się oprzytomnieć.

— To przez tego głupiego asystenta. Rozbudził we mnie zwierzątko! Niech go...

Mimo woli zaczął liczyć ni stąd ni zowąd, ile to już flaszek

Liebfrauenmilchu poszło.

— Jedenaście... daję słowo honoru. Nie żałuję. O, nie jestem skąpy... ale jedenaście. I gdyby choć całą wypić,

ale zawsze połowa zostaje. Nie wypada mi się spytać, czy nie ma pół butelki. Zwłaszcza że jest w niej delikatność niezwykła. Wczoraj, gdy wychodziłem z nią z restauracji, chciałem kupić od przekupnia kilka róż. Zażądał, widząc mnie z kobietą, rzeczywiście bająńskiej sumy. Ona natomiast z dziwną słodyczą powstrzymała mnie od tego wydatku. Prawda, że wróciliśmy do zakładu fiakrem zamiast koleją. Sama tego zażądała. Mówiła, że lęka się, czy przesiadanie się dwukrotnie na stacjach nie szkodzi mi. Fiakier kosztował czternaście guldenów. Taki Bratfisch...\* To nie byle co. Ona z pewnością nie zdawała sobie sprawy na-, wet z tego, ile to będzie kosztować. Tak jak z wina. Bardzo delikatna. W teatrze nie chce łożyć. Woli fotele. Subtelna i słodka.

Mimo woli zaczął liczyć, ile jeszcze posiada pieniędzy. Pomimo delikatności Amy przecież wydawał o wiele więcej, niż przypuszczał, że wyda, jadąc na kurację. I doznał jakby jakiegoś skurczu. Długie lata był przyzwyczajony do obrachunku ze swą rentą niewielką i skurczoną.

Śmierć matki i pozostawiona przez nią „realność” wyzwoliła go z drobnostkowej troski. Lecz realność owa była głównie wartościowa przez place, a te wzrastały w cenę przez „przetrzymanywanie” chytre i uparte. O tym Sadowski wiedział i to głównie przeprowadzić z samym sobą pragnął. Nędzny stan zdrowia, upadek sił, ta jakaś tajemnicza niemoc, która go trawiła, przed którą miał wielki szacunek i trwogę, skłoniła go do sprzedania maleńkiej par- celki.

Uczył to po wielkich wahaniach i bezsennych nocach. Wreszcie, zdecydowawszy się, doznał jakby wydostania się na jakieś pustkowie, gdzie czekali na niego ukryci po jamach złoczyńcy. Jedna parcela mogła pójść za drugą, powlec się całym pasmem.

A wtedy...

I tu było podłoże owego skurczu, który gdzieś w głębi Sadowskiego odezwał się na myśl owych jedenastu butelek Liebfrauenmilchu, fiakra i rozmaitych innych „nie liczących się” wydatków, które powodowała w nim rycerskość

dla kobiety z twarzą prerafaelistycznej \* Madonny, z głową okrytą białą gazą i z przeszłością słodkiej ofiary, która nawet była bita.

—I gdyby choć co za to... — już teraz zupełnie wyraźnie przemknęło przez głowę Sadowskiego. Nie odrzucił tej myśli tak jak poprzednio.

—Bo rzeczywiście... żeby choć pocałować. Takie ma delikatne, gładkie usta, troszkę wilgotne. Żeby tak w te usta... raz jeden... To przecież można i z taką, co warta. To jej przecież nie obniży.

Zaskrzypiało na piasku. Służący zakładowy odwoził do pawilonu paralytyka w wózku. Sadowski powlókł za nim oczami.

—Tabetyk\*... okropne... — pomyślał — gdyby na mnie coś takiego przyszło, odebrałbym sobie życie. Straszne...

Zamknął oczy i znów chciał myśleć o Amie, ale nie mógł. Widmo tabetyka przejęło go mrowiem.

—Pójdę, poszukam jej. Ona ma dar odpędzania ode mnie tych mar. Pojedziemy do Wiednia, do Prateru. Niech tam, będzie dwunasta butelka Liebfrauenmilchu... Trudno. Nie mogę tu siedzieć sam z myślą, że...

Nie dokończył nawet. Ciągłe w oczach miał zagasłe spojrzenie chorego i w uszach skrzyp tragiczny jego wózka, który jak karawan suwał się po żółtej wstędze alei.

I znów pojechali.

W Praterze od walców było tak gwarno, od powozów tak rojno, że Sadowski i Ama doznali zawrotu i pewnego upojenia. Szczera, skromna jakaś pomimo obecności mnóstwa kokotek i innych tego rodzaju amfibii\* wesołość narzuciła się na nich jakby złocistą siatką. Wsiedli do łódki uczepionej na ogromnym kole i wznieśli się w górę.

Tak wysoko, z gazą białą, rozwianą na wiatry, z jasną pelą \* włosów, odwróciła się ku niemu uśmiechnięta, a troskliwa.

— Czy nie doznaje pan zawrotu głowy?

— Nie.

— Bo skoro ktoś osłabiony... Zdaje mi się, że pan trochę pobladł. Proszę przybliżyć się do mnie.

Ujęła go pod rękę. On drugą ręką przycisnął jej ramię.

Pod leciuchnym muślinem bluzki uczuł jej ciało i drobniuchny szkielet.

Doznał dziwnego wzruszenia. Była mu tak bliska i byli tacy sami.

— Ama!... ty!...

Pochylił się i pocałował ją w same usta.

Potem czekał, że się obrazi i powie mu co przykrego.

Ale ona milczała i tylko miała dziwny wyraz ust. Jakby bolesny, jakby słodko rozmarzony.

I tak dojechali aż na dół, gdzie zgrzytała olbrzymia katarynka walca z Wesolej wdówki, a pomocnicy w' bluzach zapalali japońskie latarnie, które nigdy Japonii nie widziały i ujrzyć nie miały.

Sadowski z gracją pomimo pewnej ciężkości, z jaką mu nogi przylepiały się do ziemi, podał rękę Amie.

— Nie obraziła się — pomyślał — i wreszcie coś udało mu się skorzystać.

Ale usta były bardzo miłe... ciepłe, słodkie i ten jeden pocałunek rozbudził w Sadowskim jakby tysiące drżących igiełek.

— Gdyby jeszcze coś więcej... — rozzuchwalał się w myślach, płacąc za jeden tour nadpo wietrznej jazdy.

Przyszło to coś więcej tak łatwo, tak można rzec po galicyjsku, pojedynczo, że Sadowski wyjść z podziwienia nie może.

Osunęła mu się w ramiona pewnego popołudnia, prawie niespodziewanie, mdlejąc nader estetycznie w fałdach swych zielonych kreponów.

Była w miarę namiętą, sennie wyczerpaną, nie tracącą pewnego majestaciku, a ulegle wdzięczną. Zwłaszcza miała śliczne „po”, bez łamania --rąk, bez wzdychania „Cóżem uczyniła”. Zamyśliła się tylko leciuchno i uśmiech ten bo-



leśny zaznaczył się troszkę silniej koło ust różowych. Prędko jednak otrząsnęła się z tej zadumy, zbliżyła się do okna, zaczepiwszy mimochodem o lustro i puszkę z pudrem, wysunęła rękę, zerwała jedną świeżą różę i podała ją Sadowskiemu, mówiąc prawie szeptem:

— Na pamiątkę...

Wziął kwiat i ucałował go z uniesieniem studenta. Potem zachwycał się Amą i tym, że jest tak doskonałą w tak niebezpiecznej dla kobiety chwili. Nawet aż przerażała go ta doskonałość, pomimo iż według jego teorii nie była już „nic warta”, zachowywała jakoś w jego pojęciu dawną wartość. I to go derutowało. Nie była to rutyna. O to jej nie posądzał i tego instynktem nie wyczuwał. Ale to był przedziwny takt i ta królewska słodycz czyniącej ze siebie monarszy dar niewolnicy. -

Zbliżyli się teraz trochę więcej, a właściwie to ona zaczęła wychodzić już poza ramy codziennej troski o zdrowie.

W antraktach miłosnych ekstaz naprowadzała go na opowiadania o tym, ozym był, czym jest, czym być zamierza. Sadowski rozmawiał chętnie, będąc od śmierci matki pozbawiony babskiego „naciągania na słówka”. Lżej mu było chwilami. Place i ich przyszłość często przychodziły mu na temat, Ama szczerze interesowała się nimi, przepowiadając, że przez te place stanowczo musi być przeprowadzona ulica.

—Zobaczysz — mówiła — ulica...

—Skąd wiesz?

—Nie wiem, ale mam takie przeczucie.

—Trzeba więc przetrzymać.

—Tak, trzeba przetrzymać.

Siedzieli na ławce koło klombu heliotropów, a muzyka, która grała cztery razy dziennie walca z Wesołej wdówki, grała znów tego samego walca. Ale oni nie słyszeli. Rozmawiali o placach i trzymali się za ręce. Krzaki jaśminowe kryły ich przed oczami przechodzących. Nagle dał się słyszeć skrzyp wózka. Wieziono paralityka. Sadowski drgnął. Ama słodkie swe oczy utkwiała w niego pytająco.

—Co ci jest?

—Och! ten wózek...

— Skrzypi nieprzyjemnie.  
— To nie wszystko. Ja boję się!  
— Ty? przecież to nie wariat... ~  
— Ale... paralytyk.  
— A ty się boisz... tej choroby?  
— Tak.

Mówi cicho, głowę skurczył w ramiona.  
Wózek z paralytykiem przejechał.

— Och! ależ to szaleństwo... Co znowu?  
— To jest moja mania.

Słodko się do niego przygarnęła.

— Rzeczywiście mania. Proszę o tym nie myśleć, ja chcę, ja proszę...

— Ale...

Ale myśl o tabetyku nie płoszy się już z umysłu Sadowskiego. Już słodka donna i jej biały welon tracą widać moc. Pomimo jej rączek tak miluchno wplecionych w jego palce, pomimo ocząt, w półmroku w niego wpatrzonych, skrzyp wózka przejeżdża ciągle po mózgu, po sercu.

— Tak, tego się boję — myśli Sadowski.

Wracają po kolacji do swego pawilonu, w klomby róż.

Jak kadzielnice, rozmodliły się wonią słodkie kwiaty w tę księżycową noc. Pod jej drzwiami żegnają się długim uściskiem ręki. Kurytarzowa czyści na końcu kurytarza suknie.

'— Do jutra!

— Do jutra!

Pierwszy raz Sadowski uczuwa jakby ulgę pozostając sam.

Nie zapala u siebie światła i przy blasku księżycy kładzie się, paląc nerwowo papieros za papierosem. Hydra trwogi przed ohydłą chorobą ogarnęła go z całą mocą. Poprzednio Ama zaklinała ją tym, że była jeszcze dla niego daleka. Dziś zbliżeniem się swoim nie jest już w stanie zażegnać upiora. Sadowski czuje do niej żal za to, co się stało.

— Gdy pragnąłem jej, gdy zdawała mi się niedościgłą, nie myślałem o tym... o tym... o tej strasznej jakiejś doli, która może mnie spotkać. A teraz co!... co?...

Z jakąś nienawiścią patrzy na podłogę. Niżej o piętro jest ta kobieta, która mogła go ocalać jeszcze czas jakiś i sama dobrowolnie zerwała ten urok, jaki miała nad nim.

Zrozumiał, że garnął się do niej jedynie dla tego powodu.

— Aby uczynić sobie z niej tarczę... a teraz co? co?

Księżyc skrył się za chmury i zupełna prawie ciemność kłębamii wpłynęła do pokoju. W tej ciemni groza, uciskająca serce Sadowskiego, rosła.

— Tabes, tabes — powtarzał rwąc bezsilnie prześcieradło, które zdawało mu się ciężyc na nogach.

— Ona jedna... mogła... i po co ona? po co?

Wicher zaszumiał i gałęzie róż szemrały po oknach.

Po co?

Usiadł na łóżku.

— Trzeba to jakoś skończyć. Ale jak? jak? Nie mogę zrozumieć, co to za rodzaj kobiety. Mówi tak mało o sobie. Umie tylko słuchać. A gdy się odezwie, to także zajęta jedynie kimś innym i jego cierpieniem. A przecież miała tak mało instynktu. Zniweczyła wszystko! A teraz co?... Nie chcę jej być nic dłużny. Kwiaty, może drobiazg jaki. Nie obrazi się chyba... Pojadę do Wiednia jutro, sam. Jakiś brelok, może złote serduszko na łańcuszku, teraz panie to noszą. Zobaczę.

Z coraz czarniejszą rozpaczą rzucił się na poduszki.

— Tak się to kończy, a mogło być dla mnie szczęściem, odtrącającym zmyry i straszne widma. Jezu! Jezu! Dlaczego te kobiety nie wiedzą, nie czują, w czym leży ich potęga?

VI

Nazajutrz pojechał sam do Wiednia. Wymknął się niepostrzeżenie. Był bardzo zgnębiony i zdenerwowany. Jakby jakaś druga postać chodziła za nim krok w krok, potrącała go lekko.

Przy tym myśl całą opanowały najczarniejsze przeczucia co do stanu jego zdrowia. Puściwszy cugle mózgowi, nie potrafił opanować ich. Drżąc cały, włóczył się po Kartner- strasse i z wysiłkiem przypatrywał się wystawom jubilerskim, odczytywał ceny i odchodził niezdecydowany.

— Nie mogę wydawać dużo pieniędzy — myślał — ta-

betycy długo żyją, będę może potrzebował jeszcze wiele. Zostać półtrupem i być w nędzy to byłoby za dużo!

Roześmiał się gorzko; szybko odszedł od wystawy, na której rzędem leżały serduszka, przyozdobione drogimi kamieniami.

— Nie mogę... to nie na moją kieszeń — rozumował dalej — a zresztą, o cóż chodzi właściwie? O pamiątkę, nie o rzecz wartościową. Nawet ona by się obraziła za jakiś cenny prezent. Przecież nie jest kokotką. Całe jej wzięcie się tego dowodzi. Kupię jej jakiś ładny drobiazg. Oceni moje serce.

Przechodził właśnie mimo sklepu, gdzie znajdowały się damskie torbeczki.

— O! kupię jej torbeczkę z zegarkiem. To znów nie jest byle co. W każdym razie jest zegarek. A potem miała na taką torbeczkę ochotę. Wstąpił do sklepu. Wybrał ładną, na pozór solidną, białą skórzaną torbeczkę. Na rożku był umieszczony śliczny, miniaturowy zegarek, ozdobiony w rodzaj wianuszka z imitacji brylantów.

— Bardzo eleganckie!... — wieszował sobie Sadowski. — I kosztuje trzydzieści pięć guldenów. Na więcej zdobyć się - nie jestem w stanie.

Prędko powrócił na kolej. Jadąc, postanowił wyjechać jak najprędzej.

— Kuracja mi nie pomaga, zaplątałem się w romans, szczęściem jeszcze, że mam do czynienia z taką jakąś słodką kobietą. A to mogło wypaść Bóg wie co!

Aż zachnął się sam na siebie, zaszywając się w swój egoizm starokawalerski jak w skorupę.

— Oj, ty stary osle! — poczęstował się z całą szczerością kogoś pewnego, że ten „poczęstowany” nie przyśle mu za to świadków.

Lecz gdy dojechał do stacyjki i wysiadł z wagonu, cała pewność siebie, jaką przywiózł wraz z torebką z Wiednia, gdzieś zaginęła.

Oto na peronie wśród obramowania winogrodu, w złotych plamach słonecznych ujrzał Amę oczekującą na niego, białą, śliczną i słodką,

Po raz pierwszy przeraził się jej, choć uśmiechała się do niego rozkosznie i miło.

— Gdzież to? gdzież to beze mnie? — spytała ujmując go pod ramię.

— Byłem w Wiedniu.

— Widzę, ale po co?

— Za... sprawunkami.

— Pokaż, co sobie kupiłeś?

Zebrał się na odwagę, choć równocześnie mówił sobie, że ta torbeczka jest śmiesznie małym darem wobec królewskiego daru ciała tej kobiety, którego dotknięcie lekkie, a wyraźne czuł tak dokładnie, Idąc tuż przy niej.

— Nie sobie... ale... komuś.

— Komu?

— Arnie.

— O! mnie? po co?

Tak szczerze wymówiła te słowa i stanąwszy na środku gościńca, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Tak... chciałem... na pamiątkę...

— Jak to?

— No... chwaliłaś kiedyś taką torbeczkę z zegarkiem... więc...

— A!

Ściągnęła brwi i zaczęła iść pośpiesznie w stronę pawilonu.

— Obraziła się — pomyślał — masz diable kaftan! Jeszcze więcej warta, niż myślałem.

Doszli wreszcie do domu i weszli na piętro. Otworzyła drzwi do swego pokoju i rzekła z prostotą:

— Wejdz!

Wszedł za nią i nie wiedział, co począć z tą nieszczęsną torbeczką.

Trzymał ją zapakowaną w pudełko, bibułki i owiązaną różową tasiemką.

Dzień był ponury. Woń róż była prawie dusząca w powietrzu.

Ama zdjęła kapelusz i położyła go na komodzie.

Zdawała się chwilę wahać, wreszcie zbliżyła się do wciąż stojącego Sadowskiego.

— No — wyrzekła z całą pieściwą słodyczą — proszę dać już tę torbeczkę. Przyjmuję wyjątkowo. Ale proszę pieniędzy na drobiazgi nie rozrzucać. Gdy już będziemy po słu-

bie, to ja troszkę cugli skrócę. Troszeczkę. Trzeba będzie plan wytrzymać. Mówiła słodko, powoli, monotonnie. Śliczny uśmiech igrał dokoła jej ust. Tylko źrenice miała jakby mętne, jakby niespokojne, a ręce pokryły się potem, jak u kogoś, kto stawia wiele na jedną kartę.

On aż cofnął się o jeden krok. Jakby kto zerwał mu z oczów zasłonę.

Przejrzał w jednej chwili szereg minionych dni. Dążyła do... ołtarza. A! tędy była droga tej... słodkiej.

Wyprostował się, jakby gotując się do odparcia napaści straszałego wroga.

— Po ślubie? — powtórzył.

Wróciła mu cała odwaga. Przyciał się. Ustawiał baterie, obliczał broń.

Wieczysta walka kobiety z mężczyzną występowała w tej chwili brutalnie i w całej nagości.

— Ja... żenić się nie mogę! — wyrzucił przez zaciśnięte zęby.

Ona na chwilę miała blask w oczach, który przyciemnił błękit jej cudnych źrenic. Jakby zmalęła i powoli wyciągnęła się, wyprostowała w swych białych, długich szatach.

— Nie? — powtórzyła bezdźwięcznie.

— Nie — podjął gorączkowo — nie, ani z panią, ani z nikim, nigdy. Mam do tego ważne powody. Daję na to słowo, bardzo ważne.

Z tych urojonych powodów wznosił barykady, za które się cofał, gotów zepchnąć wroga na śmierć, gdyby się wdzierał do jego legowiska. Lecz wróg wdzierać się nie pragnął. Był znów słodki, miły, łagodny.

— Myślałam — wyszeptała lekko.

— Bardzo... bardzo mi to bolesne — zaczął. Lecz ona skinęła ręką.

— Ach! nie mówmy już. Dobrze jednak się składa, że rozmówiliśmy się, prawda?

— Tak. Tym bardziej że ja jutro wyjeżdżam.

— A!...

— Tak. Ale przyjadę tam, gdzie będziesz. Zobaczymy się-

—O! nie wątpię. A teraz chodźmy do parku na podwieczorek.

Podeszła do komody i włożyła kapelusz. W lustrze odbiła się jej ćliczna postać.

Teraz Sadowskiemu zrobiło się dziwnie przykro. Miał ochotę zbliżyć się do tej kobiety, objąć ją, ucałować, utulić, jeśli cierpi. Lecz była dlań ciągle zagadkowa w swej prostocie i może jeszcze więcej słodka niż dawniej, gdy zwróciła się ku niemu, kierując się do drzwi.

—No... proszę... należy się odżywiać.

I z nieporównanym wdziękiem dodała:

—Ja jeszcze czuwam!

Gdy szli alejami parku, on myślał, że wolałby stokroć, aby zrobiła mu scenę, wymówki, gniewy, nawet krzyki i obelgi, niż była tak słodką, tak dobrą niewzruszenie nawet wtedy, gdy widocznym było, iż zadał jej ciężką i bolesną ranę.

vn

Małeńki pociąg gwizdże delikatnie, sapie, porusza się w strudze światła jak niecierpliwy koń, rwący się do odjazdu.

Pasażerów mało. Ranny pociąg nie ciągnie ku sobie chorych. Wołą popołudniowy. Lecz Sadowski po prostu teraz już nerwowo nie jest w stanie dłużej pozostać w zakładzie. Cały wieczór przebyli razem z Ama.

Ona ciągle słodka, miła, łagodna, snuła się obok niego, rozmawiając o potocznych rzeczach. Tylko ręce ich nie spotkały się ani razu, a na dobranoc z uśmiechem aniołka skinęła mu głową i znikła w drzwiach swojego pokoju.

Całą noc Sadowski pakował swoje rzeczy starając się nie myśleć o tej kobiecie, która zaimponowała mu rzeczywiście słodyczą, mocą charakteru. I gdy wczesnym rankiem kurytarzowa zastukała dyskretnie i wręczyła mu pudełeczko z torbeczką, zostawioną przez niego w pokoju Amy, doznał dziwnego ściśnienia serca.

—Pani się pyta, jak zdrowie pana i czy pan wie, że już czas na pociąg?

—Proszę podziękować. Czy pani już nie śpi?



— Pani właśnie poszła w stronę kolei. Sadowski zamknął drzwi i obejrzał się rozpacznie. Torebkę nieszczęsną wrzucił do kuferka i kuferk zamknął z jakąś dziką pasją.

— Muszę jechać — powtarzał sobie bezustannie, bo czuł, że ciężko mu teraz wyjeżdżać z pawilonu róż.

— Muszę.

Nałożył palto podróżne angielskie i po raz pierwszy nie przejrzał się w lustrze z zadowoleniem.

Zwykle bowiem, ubrany do podróży, wyobrażał sobie, że jest podobny do jakiegoś lorda angielskiego.

— Bo po diabła mówiła o tym ślubie — myślał rozdzielając pieniądze na kupki. — To dla kurytarzowej, to dla numerowego, to dla portiera, to dla strzelca.

I znów wracało jak refren:

— Bo po diabła mówiła o tym ślubie.

Wreszcie już znieśli jego dość szykowne, drobne paku- neczki.

Przechodził koło drzwi Amy. Ile razy wykradał się z nich cichutko, jak żak, lękając się spotkać asystenta lub kogo ze służby. Drzwi były zamknięte.

I ciągle ze ściśniętym sercem powlókł się Sadowski na kolej. Wyszedł boczną furtką, aby uniknąć pożegnań z administracją i przygodnymi znajomymi. Zdawało mu się przecież, że coś za sobą zostawia.

— Szmata mojego życia... i może jeden z lepszych! — myślał — gdyby nie ta nieszczęsna jej mania wydania się za mnie, nie rwałbym tego tak prędko. Przecież żenić się nie mogłem. Nie sposób. Jestem już za stary, za wygodny. A potem...

Tknęło go coś w serce. Zdawało mu się, że turkocze wózek paralityka.

— Dlatego nie mogłem. Przyśpieszył kroku.

— A może właśnie dlatego należało? Wzruszył ramionami.

— Co znowu, jeszcze wczoraj profesor zaręczał mi, że nie ma mowy o tabesie. To nerwowe, zwyczajnie nerwowe. Wyrwę się stąd, spomiędzy tego otoczenia, które ohydnie na mnie działa, podsuwając takie myśli.

Wyrwę się, polecę w świat. Zapomnę.

Na peronie ujrzał Amę w białym, długim palcie, bardzo szykowną i strojną pomimo pozornej prostoty. Błada była tylko. Długi welon gazowy okalał jej biały, angielski kapelusz i podniesiony nad czołem, tworzył delikatne, czarujące obramowanie.

Nigdy nie była tak prymitywna, tak da Fiesole, jak w tej chwili. Odwróciła się do Sadowskiego i podała mu rękę. W drugiej trzymała pęk białych róż, zerwanych z krzaków, pnących się po ścianach domu.

— Ach, śpieszku śpieszku! — przemówiła z melancholijnym uśmiechem — jakże można się tak spóźnić? Oto już zamykają drzwiczki. Sadowski ogarnął ją wzrokiem i jakaś moc sympatii przeogromnej, jakby uśpionej w nim, wybuchnęła w jego spojrzeniu.

— Przyjadę — zaczął bardzo gorąco i bardzo szczerze.

Chciał nawet dodać:

— Jeszcze pomówimy.

Bo w tej chwili był nawet skłonny do jakichś koncesji.

Przed tą anielską słodyczą nie miał siły i prawie kapitulował.,

Ale ona przerwała mu i nie zmieniając wyrazu twarzy, wskazała mu wagon:

— Proszę... wsiadać.

Konduktor przeleciał:

— Wsiadać!

Sadowski pocałował rękę Amy.

— Napiszę!...

Wskoczył do wagonu i zaraz na kurytarzu spuścił okienko i wychylił się przednie. Zdawało mu się, że jakiś wróg, los nikczemny prześladowuje ich i każe im się rozłączać, pomimo że żyć bez siebie nie mogą.

— Napiszę — zaczął znów gorąco.

Ona zbliżyła się do wagonu i podniosła ku niemu swą cudną, dziewiczą twarzyczkę. Oczy jej zdawały się pływać we łzach, usta okolił bolesny, słodki uśmiech.

— Nie! — wyrzekła — proszę nie przyjeżdżać ani nie pisać. Widzi pan, dobrze się stało, że pan nie chce się ze mną zenić. Ja byłabym poszła za pana — jedynie z litości... tak, aby pana pielęgnować. Bo pan jest rzeczywiście chory, tak jak pan się lęka. Pan ma tabes. Skąd wiem? Miałam...

Patrzyła na niego ciągle oczami jak gwiazdy i słodki, melancholijny uśmiech nie schodził jej z ust.

On oparł się o ramę okna i był trupio blady. Zdawało mu się, że nie ma ani kropli krwi pod czaszką i że ta słodka kobieta, biała i śliczna, zemstą swoją dziewiczą otwiera przed nim piwniczne wnętrza grobu.

Pociąg wstrząsnął się, zadźwiewał łańcuchami i ruszył powoli.

— A tu róże... nasze... żeby pan o mnie pamiętał!

Rzuciła mu pęk róż, które cierniami uczepiły się o firankę okna.

Milczał.

- stryja, miał te same objawy, a potem wiem jeszcze... zresztą mniejsza...

Pan ma tabes.

I gdy pociąg coraz prędzej biec zaczął, on stał ciągle jeszcze w oknie i patrzył zmartwiałym wzrokiem na słodką postać, bielącą się w obramowaniu winogrodu i plam słonecznych.

## STAŚKA

Orliński obejrzał się zniecierpliwiony. Stanowczo za dużo zaprosił gości. Teraz nie wiedział, co z nimi zrobić. Wypełniali beczynną nudą jego trzy kawalerskie pokoje. Rozkładali się bryłami cielsk, opiętych w ciemne stroje, na szerokich, wysiedzianych sofach aksamitnych. Mieli pozór tych, którzy na coś czekają w tych brutalnych blaskach lampek elektrycznych, świecących głupio z wnętrza mlecznych falbanek lamp.

— Stanowczo za dużo!

Uśmiechnął się wszakże do nich spoza karcianego stolika.

— Ich wina. Dlaczego wszyscy nie łupią w karty... Jedni ze skąpstwa, drudzy niby z filozofii., głupcy!

Uśmiechał się ciągle elegancko ładnie zarysowanymi ustami, wygolony i bardzo sportowy.

— Coś przecież muszę z nimi zrobić!

W kącie pod makatą buczałą, na której rozpięły się jakieś podejrzone jatagany \*, dwóch coś cicho szeptało. Jeden z nich był w smokingu i widać było po zarysie ciała, ułożonego niedbale na ciemnym aksamicie sofy, że jest to czterdziestolatek dosyć zakonserwowany. Miał tik, jakby coś żuł, i mętne oczy niby po użyciu atropiny. Ten interesował od razu wyraźnie zaznaczoną swoją rolą w świecie. Był to *homrne d femmea \**, już tak prosto od urodzenia.

Drugi był... żaden.

Jakieś włosy, jakieś oczy, jakieś wąsy, odzienie.

Słowem, żaden. „

Ten w smokingu żuł fikcyjne, nie wygdakane słowa i kwiaty, pochwytnane z wyobraźni. I ręką gładził aksamit sofy takim gestem, jakby ciało biodra kobiecego.

Po chwili ziewnął.

— No! wiecie.., ;— rzucił inagle w przestrzeń. Orliński, rozdający właśnie karty, mignął ku niemu uśmiechem swych białych zębów,

— Co, Feluś? coś?

. Feluś w smokingu ziewnął raz drugi.

— Dlaczego nie zaprosiłeś jakiej kobiety? — rzucił na szerokość pokoju.

Orliński uderzył się w czoło. — PrawdaK I pokręcił głową.

— Tuman ze mnie.

Jakiś głos leniwy odezwał się z kąta:

— Możesz to naprawić! Poślij po jaką. - — Ha?

— A\_ no! dwunasta za ledwie...

— Ale po kogo?

Zapanowało milczenie. Nastął czas namysłu. Taki sam, jaki nastaje w chwili, gdy garson w restauracji podaje kartę potraw do Wyboru. Zbożne skupienie ducha. . Bo fakt wielkiej doniosłości. Chodzi o wybór. I tu milczano.

Wreszcie ozwał się znów leniwy głos z kąta za parawanem:

Poślij po Staśkę Chodacką, tę z chóru.

— Bene!

— A jakby jej nie było, to niech jej siostra przyjdzie.

— Bene!

I zaraz rozkaz:

— Pieter!

Z portiery wywija się twarz o szklanych oczach.

— Niech Pieter bierze dorożkę i sprowadzi tu Staśkę Chodacką. Pieter wie, na Teatralnej.

— Wiem, jaśnie panie.

Ani drgnął, ani się skrzywił

— Tylko raz dwa

— Dobrze.

— Ma Pieter pieniądze na dorożkę? „„

— Mam.

— No to dalej 1 A niech się śpieszy. Jak jej nie ma, to miech przyjedzie Mania, siostra, ta druga... Zrozumiał Piotr? „

— Zrozumiał.

Twarz blada o szklanych oczach przestaje planować na tle portier kilimowych. W salonie, w przyległych pokojach zapanowuje oczekiwanie. Karciarze oddychają ciężko, puszczając kłęby dymu. Siedzący pod ścianami rozmawiają półgłosem. Gdzieniegdzie zadzwoni butelka o kieliszek. Martel się złoci, to znów chartreuse'a jak topaz.

Orliński powiódł wzrokiem zadowolony, uspokojony.

— Będą mieli dziewczynę, i niech ich diabli!

Feluś żujący i w smokingu podniósł się z sofy i sięga po papierosy.

— Wiecie... ja nie znam Staški.

Na kanapach ozwał się rechot chóru:

— Chyba ty jeden!

— Tak się składało. Ani jej, ani tej drugiej... Mańki.

— Aha!

Wybrał papierosa, zapalił, usiadł kształtnie estetyczną pozą.

— Zabawne?

— Jak czasem.

— Przepraszam, bardzo zabawne. Mówią nieraz tak, że... —

Świnologia?

— Aha!...

fFeluś się skrzywił.

— Nie lubię... przestarzałe... Ktoś się zaśmiał ironicznie.

— Cóż? ma ci Musseta \* deklamować?

— Nie, ale jeżeli chcę ją pocałować, to lubię, aby te usta pachniały, a nie...

— EL. mdłe, nudne.

— Nie to. Ale ja mam swoje przyzwyczajenia. Ktoś znów się zftśmiał.

- Mnie to podnieca. Feluś ramionami wzruszył.
- A mnie gasi.
- Najlepiej więc być z daleka z dziewczętami i trzymać się sentymentu.
- Na to nie mam lat.
- Phi! pasja nie zna wieku.
- Ale wiek zna pasję. Enfin, dobrze, iż są takie Staśki. Przecież i one muszą umieszczać gdzieś swój towar.

Spoza parawanu dało się słyszeć:

- Ja Staśkę miałem całe dwa tygodnie i była bardzo ■ przyzwoita, a nawet nudna.
- Takeś ją nastroił.
- Może. Byłem wtedy melancholijny, "bo tonąłem w długach.
- A widzisz. Dziewczyna wrażliwa, odczuła sytuację.
- A może nie była pewna swojej i stąd owa „przyzwoitość”.

Felek przebił głosem:

- Kto ona? Zaczęto się śmiać.
- Jak to? z domu?
- No tak.
- Pewnie z chałupy.
- Analfabetka?
- Nie pisała przy mnie. Zdawała inny egzamin i wcale, wcale...

Prawda?

Chór z kanap zamruczał pochlebnie. Feluś się prawie zainteresował.

— Wszyscy?

Ten i ów mruknął: — No!... no!...

- Tylko trochę kapryśna.
- Jak czasem.
- I jak z kim. Zaturkotała na dole dorożka.
- Przywieźli.
- Ciekawy jestem którą.
- Pewnie Staśkę. Ta druga wiecznie śpi. Podobno ma gruźlicę czy co.
- Winszuję!

— Toteż Staśka jeździ za nią i za siebie... Cicho! Już idzie.

Po wschodach słycać tupot drobnych nóżek i ko- reczków. Teraz już w przedpokoju zaszemrało i bardzo prędziuchno do salonu przez muślinową portierę wsunęło się smukłe dziewczątko. W milczeniu, ruchami kota przepłynęło wzdłuż sof. ■

Oczy miało jeszcze senne, a włosy naprędce dokoła głowy owinięte i wstążką szeroką, płomiennie purpurową, przewiązane.

Jasnowłose było i ciemnookie. Śliczny kark i trochę chuda szyja. Piersi płaskie i nikłe. Była bez gorsetu, w sukni z miękkiego jedwabiu zielonego, wpadającego w szafirowy odcień. Trzewiczki szare, a na szyjce kryształowa na łańcuszku kulka.

Gdy szła tak szybko ku gospodarzowi domu, widocznie dobrze tu znana i bynajmniej nie zmieszana rolą, która jej przypadła w udziale, ruchami i zachowaniem robiła wrażenie panienci z dobrego domu, która przybyła na wieczorek do swej koleżanki.

Orliński uśmiechnął się zadowolony.

— No... Gott sei Dank! \* — wyrzekł z komiczną intonacją.

A potem rękę wyciągnął.

— Jak się masz?

Dziewczyna nie odpowiedziała nic.

Zatrzymała się przy stoliku i tępo patrzyła na karty.

Orliński podniósł się trochę i zwrócił ku sofom.

- No, macie Staśkę. Bierzcie ją sobie!... i nie nudźcie się!

Lecz na sofach nie zapanował żaden ruch. Wszyscy mężczyźni, wpół leżąc, bez widocznego zainteresowania wpa<sup>^</sup> trywali się w chórzystkę.

Orliński rzucił zniecierpliwiony:

— No, idź do nich! \_

I dodał, jakby poddając temat do rozmowy:

— Opowiedz im, co w teatrze.

— Szac! — wyrzekła ostro.

Odwróciła się jednak i ku sofom ruszyła.



Ktoś jej zrobił miejsce.

— Chodź tu, do nas.

Usiadła, lecz zaraz porwała się z piskiem.

— Nie lubię!

— Ale ja lubię — odparł jakiś gruby głos. Dziewczyna wzięła palisandrowe, obite adamaszkiem krzeselko i usiadła opodal. Była bardzo ładna, tylko oszpecona widocznie pośpiesznie nasmarowanym bielidłem. Siadając wyciągnęła nóżki, jak dawniej naiwne w teatrze.

Miała pozór wielkiego znużenia, z którym nawet się nie kryła.

— No, co w teatrze?

Odparła wyraz brutalny, cuchnący i widać było, że sprawiło jej to ulgę. Mężczyźni roześmieli się. Wzruszyła ramionami.

— Przeszlibyście rzeć jak konie! — wymówiła z niesmakiem.

— Ty przestań się dąsać! — przebił się głos zza parawanu — i lepiej opowiedz jaką nową anegdotę.

— Nie wiem nic!

— Toś nudna.

— Może!

Utkwiła oczy w lampy elektryczne i siedziała nieruchoma, jakby zahipnotyzowana. Mężczyźni przestali się nią interesować.

— Nudna!

— Pozuje!

Ktoś próbował ją usprawiedliwić.

— Nieusposobiona. Roześmiano się.

— Niech idzie do diabła!

Mówiono to prawie głośno. Ona zdawała się nie słyszeć, być nieobecna wśród nich. Śliczne, ciemne oczy trzymała utkwione w światło elektryczne. Na twarzyczce jej przecie przebijał się powoli jakby wyraz bezmiernego spokoju.

Powoli mężczyźni przestawali interesować się nią zupełnie.

Nie była dla nich odziana tajemnicą, gdyż należała już prawie do każdego z nich kolejno. Ręce więc nie wyciągały

się ku niej instynktowo. Patrzyli na nią nasyceni i sceptyczni. Niejednego z nich nawet zawiodła, bo sprośny jej sposób mówienia obiecywał całą serią wyuzdanych praktyk. Tymczasem Stasia w danej chwili była senną, cichą dziewczyniną, obojętną i pełną pogardy. Tego jej nie przebaczano tak łatwo, a różowa harmonia jej młodego ciała nie zdołała przebłagać zawodów tego rodzaju.

W kwadrans może sofy opustoszały. Mężczyźni rozchodzili się po pokojach, niektórzy wychodzili cichaczem. Bridge trwał jednak-zaciekle i dystygowanie. W saloniku pozostało tylko dwoje nieruchomych, milczących ludzi.

Staśka i Feluś w smokingu.

Feluś patrzył na dziewczynę tępo i bez zachwyty. Widział ją czasem w stadzie chórzystek, gdzie wyróżniała się zwykle nadzwyczajną fryzurą. Wiedział, że łatwo ją mieć. Chodziło tylko o napisanie kartki i posłanie za kulisy. Dlatego to właśnie nie ubiegał się o nią. Nie szło mu o to, aby wyciągnąć rękę. Odkładał zawsze taki czyn na później.

Dziś jednak był znudzony i oto Staśka była zaledwie kilka kroków od niego. Ziewając, oderwał wzrok od lampy elektrycznej, na którą także patrzył, i wbił oczy w twarz dziewczyny.

Wydała mu się — żadną. Był tak przesycony kobietami, iż ta jeszcze zdawała mu się, ot, chlebem, który bierze odruchowo do ręki przy obiedzie, bo tak być powinno. Troszkę zainteresował go wykrój jej ust bardzo młodych fizycznie, a przecież obciążonych starczym niesmakiem, skrzywieniem charakterystycznym kogoś, kto wiele pogardzał w życiu.

W tej samej chwili dziewczyna wzrok swój opuściła od świateł i powoli skierowała ku niemu.

Skrzyżowali swe spojrzenia i zawiśli wzajemnie w swych źrenicach..

I była to długa chwila milczenia, jedna z tych, w czasie których dwie istoty psychicznie podjazdowo na siebie nacierają z uczuciem, którego by zdefiniować nie były zdolne. Gdyby ta chwila miała swoje jutro, może by jakiś odruch szczerości wytrysnął z tego staroia bukietem nieoczekiwanych wrażeń. Lecz są to momenty, jak te ulice nagle urwane i przecięte barykadą banalnej kamienicy. Oczekuje się

szerokiego upustu, przestrzennej jasności, a oto potyka się o mur, poza którym przeczuwamy jamy śmietnisk i gnoju.

Staśka pierwsza przerwała milczenie.

— Panie!

Końcem bucika wskazała na Felka.

— Co, duszo mej duszy?

— Która godzina? Uśmiechnął się leniwo.

— Co ci do tego? Wygięła usta w podkówkę.

— Łatwo panu. Ja mam. jutro próbę o dziewiątej.

— No, to nie pójdziesz.

— Aha!... guzik! Żeby mnie wyleli?

— To ja cię wezmę na utrzymanie.

— Zaraz! Da mi pan rano wody, a wieczór pić.

— Co ty możesz wdedzieć.

— Ja wiem! My was wszystkie łf znamy durch — o tak, na wylot.

Wiemy, co który wart.

— No, jeszcze by mi na ciebie starczyło.

Skrzywiła się jeszcze więcej, przeciągnęła i ziewnęła bez ceremonii.

— Która godzina? — rzuciła znowu.

— Druga.

Zakłęła i powstała z miejsca.

— Ja idę.

On powstał mimowiednie także. Podeszła do lustra i zaczęła się nagle przyglądać szczegółowo swej twarzy, jak czemuś zupełnie nowemu.

— Nie, wiecie — wyrzekła hareszcie — między wami to się człowiek starzeje w try miga.

Mimo woli podszedł ku niej,

— Dlaczego?

— Bo jesteście nudni.

— Czemu nas nie zabawisz? Wyprostowała się z jakąś grandezzą V —: A czemu wy mnie nie bawicie? Roześmiał się.

— Komik z ciebie.

— Ale!

Pochyliła się, poprawiła klamrę u trzewika, który delikatną, jasną skórką odziewał ślicznie jej stopę. Podniosła wąskie spódniczki i ponad kolanem upewniła podwiązkę. Zarysowała się dość chuda, ale prosta i bajecznie kształtna noga w ażurowej szarej pończosze. Felek pochylił się.

— No... no... wyżej.

Opuściła ładnym gestem spódniczki.

— To są baletowe tajemnice! — wyrzekła dość miluchno. W tej chwili coś w nim zaszemrało.

Podobała mu się. Objął ją wpół.

— Wiesz... — zaczął.

Ale urwał. W jednej chwili wydało mu się to naiwnie szablonowe, banalne i tyle razy przeżyte.

— Nie warto! — pomyślał.

I w tej chwili sformułował postanowienie:

— Pójdę do domu.

Odwrócił się ku drzwiom, w których spotkał się z gospodarzem.

— Idę — wyrzekł krótko.

— Szkoda, że nie grasz — odparł Orliński. I zaraz zainteresował się:

— Gdzież Staśka? Czy powiedziała co ciekawego?

— Nic.

— Czemu? czemu?

Szybko zwrócił się ku dziewczynie, która właśnie do przedpokoju zmierzała. — Stasiu! czemu ich nie bawisz? W odpowiedzi dało się słyszeć mruczenie:

— Każ mnie odwieźć do domu.

— Zostań. Proszę cię. Nie po to cię tu sprowadziłem.

— Całuj mnie w piętę!

— Wróć się! połóż ten płaszcz! Dziewczynie zapalały oczy.

— Całuj mnie w piętę!

Odziewała się febrycznie. Orliński zwrócił się zakłopotany do pozostałych gości.

— No — wyrzekł wreszcie — to może ktoś z was ją weźmie?

Zapanowało milczenie. Staśce przygasły Iskry oczu. Odziana w jasny długi płaszcz, owinięta różowym welonem, ~ była śliczna w półświecie przedpokoju.

Turecka, haremowa latarnia, wysadzana kamieniami, oblewała ją fantastycznymi tęczowymi tonami. Tak, w welo- nie, w długim puszczone płaszczu, robiła wrażenie haremowej niewolnicy, oczekującej na „chustkę”, którą miał jej rzucić ktoś mało, a raczej wcale przez nią nie znany.

Milczenie przedłużało się i stawało wysoce kłopotliwym. Po ten znany zbiór wdzięków nie śpieszył się nikt. Było tak, jakby komuś pluto w twarz, -a ten ktoś nie bronił się i nie ocierał.

Feluś uczył specjalnie ten niemiły nastrój.. Nie wiedział, dlaczego ogarnął go jakby wstyd. Za co- i przez kogo się wstydził — nie wiedział. Czy za tę dziewczynę, czekającą w milczeniu, aby ją kto odprowadził, czy za tych mężczyzn, znieważających ją swoją obojętnością? Dość, że machinalnie prawie powiedział: |

— No, to ja...

Natychmiast kwestia została uznana za załatwioną. Orliński się uśmiechnął.

— Wybornie!... wybornie!... .

Inni mężczyźni rozjaśnili się także. .... | — Ten Feluś!... wiecie!...

Wzruszali ramionami.

— Niezwalczony! -Pieter się zaofiarował:

Czy po dorożkę? Feluś nie wiedział, dlaczego choiał iść stąd jak najprędzej.

— Nie, sami znajdziemy.

I odziawszy się szybko, usunął się kurtuazyjnie u drzwi wejściowych. -

— Proszę! — przemówił obojętnie.

Staśka przeszła mimo niego, jakby senna, w swym jutrz- nianym welonie.

Ktoś rzucił za nimi:

— Arnate et multiplicamini! \*

Staśka szepnęła przez zęby:

—Kretunt

Felka ogarnęła nagle nerwowa wesołość.

— Nie kretun, ale kretyn! — poprawił schodząc ze schodów. .

Dziewczyna dąsała się szeleszcząc spódnicami.

—Ech! czego gada jak ksiądz na pogrzebie!

Weszli do mieszkania Felka, który kładł szczególny nacisk na pewien komfort w urządzeniu. Lecz wionęło tu jakąś wilgocia, bo ten parter był wbity w ziemię i grzyb gnił pod podłogą. Świeże dywany dokładały swoją nutę zapachów trocinowych, a nadmiar używanej wody kłofiskiej i papierosów dopełniał miary. Staśka natychmiast podeszła do okna i otworzyła je.

Zaducha!— wyrzekła półgłosem.

Cały czas w dorożce nie mówiła znów nic, bierna i zrezygnowana. Felek wziął ją za rękę mocą nałogu i tak siedzieli w powozie, jakby małżeństwo z konwenansu, a nie ludzie obiecujący sobie bajeczne rozkosze.

Gdy znaleźli się wreszcie w mieszkaniu, znudzeni byli i jakby zdziwieni, co począć mają ze sobą. I znów ominęła ich chwila szczerego odruchu, który byłby wyprowadził ich z błędu i ustawił we właściwym świetle.

Dlaczego grali przed sobą role —oni, którzy właściwie pogardzali sobą wzajemnie i każde z nich sądziło się wyższym ponad <Jrugie?' Przecież nie byliby przyznali się do tego, że nie tylko są sobie zupełnie obojętni, ale, co więcej, udawali przed sobą zainteresowanie. Cta zatroszczył się, czy inie pnzeiębła, i bez przekonania proponował jej herbaty. W myśli przypominał sobie, czy mieć będzie pięćdziesięcio- koronowy papierek. Ona dziękowała za herbatę i sennymi oczyma wodziła dokoła, 9iląc się na uśmiech i prostując figurkę. Wreszcie upadła nagle na fotel koło parawanu, otaczającego sofę, na której sypiał Feluś. Ziewnęła i pozostała mów milcząca z oczyma utkwionymi w światło, Miała pozory tej, która przeżyła już dawno samą siebie.

Po chwili jednak ocknęła się, jakby podcięta batem. Przeciągnęła się rozkosznie i w ruchU tym uwydatniła kształt

ciała. Zwróciła się ku Felusiowi ze słówkiem krótkim, lecz przedłużonym spojrzeniem.

— No!

Podnieciło go to troszkę. Lecz nie miał ochoty do preli- minarii \*. Za wdziękzył się za to bardzo uprzejmie.

— Rozgość się! — rzucił jej — zaraz wrócę.

Znikł za drzwiami w kuchence, przetworzonej dość zręcznie na gabinet tualetowy. Zapalił lampę, ubolewając znów w duchu nad brakiem elektryczności. Zdawało mu się nagle, że posługujący mu stróż nadebrał znów wódki francuskiej, którą Feluś nacierał pracowicie swój tors i ramiona.

— Pijak! — mrucał po starokawaleraku — pijak! Muszę zacząć zamykać.

Jakiś list, położony na tualecie, zatrzymał go. Było to upomnienie o podatek osobisto-dochodowy.

„Pod grozą egzekucji do dni czternastu od...” itd.

Zirytował się.

Zadał „obniżenia skali”, wypisał całą stronicę „przyczyn” i nie uwzględniono nic. Ha, no! państwo... ustrój...

Zgrzytnął zębami

Delikatny szmer sukien doleciał go z pokoju. Mimo woli uśmiechnął się.

— Zaczynam, jak Napoleon, zapominać o obecności kobiety.

Przechodząc mimo lustro skonstatował, że ma ładne zęby.

— To... rzeczywiście... — posłał sobie komplement.

Przyciemnił lampę.

— Po oo?

Wszedł do pokoju. I nagle, bezwiednie w stronę Staśki przewinęło mu się przez myśl:

— Śmieć!

Zastał Staśkę ubraną i to go zdziwiło. Stała w kontemplacji przed parawanikiem, złożonym dość sztucznie z masy fotografii. Były to fotografie Felusia. W ten sposób oddawał hołd sam sobie.

Zbierał je nawet z pewną manią — składał, rozmieszczał wedle następstwa faktów. Była w tym kokieteria. Czul, że się trzyma dobrze, a nawet, „nabrawszy olała”, zmienia się na korzyść. Chętnie mówił:

— To ja sprzed lat piętnastu.

A nawet:

— Dwudziestu.

I błyskał zębami, prostował tors, wypinał piersi.

— Ha? co? niezwyknięzony!

Któraś mu powiedziała:

— O! lata spływały po tobie jak woda po psie.

Nie obraził się.

Nawet uklonił po wersalsku — wdzięcznie.

Jakby nie było tego — psa.

Kolekcja tych fotografii nie zdawała mu się nawet rzę? czą płytką i bez znaczenia.

Przyswoił sobie zdanie:

— Tylko głupcy się nie zmieniają.

I starał się przetwarzać.

Tylko nie duchowo, ale pod względem kształtów zewnętrznych.

Każdy robi, co może.

Nie zdziwił się nawet, widząc Staśkę przed fotografiami. Wydało mu się to naturalne.

— Musiałaś słyszeć... po? Zaraz ci wytłumaczę. Ale ona przerwała mu:

— Skąd pan ma naszą chałupę? ?

— No!... toć przecie to nasza chałupa w Pukowie. O! tu ojciec, matka w oknie... Takie coś jest i u nas.

— U was?

— A jakże. Wisi nad komodą zaraz koło drzwi. Palcem wskazywała fotografię dość dużych rozmiarów, na której Feluś w mundurze jednorocznika był wyfotografowany na koniu przed domostwem, w którym miał wyznaczoną na manewrach kwaterę.



Gabriela Zapolska

Fotografia już zrudziała, ale jednorocznik był jurny, zgrabnie siedział na ładnym koniku i ślicznie prezentował swój młody, nieskażony profil.

Feluś się uśmiechnął.

— To przecież ja.

— Kto?

— No — ten freiwilliger \* na koniu.

— A!...

Zapadła w zadumę.

Nagle zwróciła się ku niemu całą postacią i chwilę mierzyła go ostrym spojrzeniem. Wreszcie wyrzekła:

— No, to pan mój — ojciec!

Odskoczył od niej, bo już rękę wyciągał w kierunku jej bioder. ?

— No... chrzestny! Odetchnął.

— Jakże to?

— A no, zawsze mi w domu pokazywali, że ten oficer na koniu to mój ojciec chrzestny.

Usiadł na krzeselku, zamyślił się.

— Poczekaj!

Zaczął siłą woli wspominki.

Tak. Rzeczywiście. W Pukowie, na kwaterze, w ubogim dość domostwie, trochę wilgotnym, okrytym przez wino. Znalazł się tam w bardzo niestosownej chwili. Zona gospodarza urodziła właśnie dwoje dziewczynek. Ogólne panowało zamieszanie. Matka młodziuchna bladła — konała. Dzieciom nie wróżono życia. Chciano ochrzcić najspieszniej.

Rankiem proszono tych dwóch jednoroczników, to jest jego i Stasia "Stabrowskiego, na chrzestnych ojców. Proszono pokornie, usilnie.

Zgodzili się śmiejąc. Troszczyli się tylko o to, że nie potrafią odpowiadać księdzu. Lecz dwie ich „kumy", jakieś czerwone mieszczanki, pocieszały panów „lejtnantów" \*, że jakoś to będzie.

I odbyła się ceremonia śpiesznie, szybko, w ubożuchnym wiejskim kościółku, podpartym belkami i obrosłym lebiodą.

Świeży powiew czarującego ranka niósł od pól chlebną woń żyta. Przez Otwarte drzwi wpływał strumień światła i padał wprost na wielki ołtarz, na którym pęki ziół były gamą zapachów, jak żywe kadzielnice u stóp złoconych aniołów.

Feluś przypomina sobie doskonale chrzcielnicę z gołąbkami i księdza o trochę zwiędłej twarzy, pochylonego nad okruszynami ciała, prawie martwymi na bieli poduszek.

Ręce księdza długie, wąskie, sprawnie migotały dokoła maluchnych główek. Feluś w danej chwili wpatrywał się w twarzyczkę dziewczynki, którą „podawał do chrztu”.

Była to maska o oczkach jakby z paciorków, wetkniętych powieki. Zauważył, iż były ciemne i duże. W tej samej chwili oczy dziecka spotkały się z jego wzrokiem. Doznał jakby złudzenia, że ktoś ciepłym prądem przepłynął mu w środek mózgu.

Zabawiło go to.

— Patrzcie! — pomyślał — ma dzień jeden i już kokietuje! •

Lecz nagle, zupełnie niespodziewanie, ozwał się głos księdza. Prawdę surowy i oschły:

— Czy panowie znają obowiązki, jakie w tej chwili przyjmują na siebie? Felek drgnął.

Zdawało mu się, że ten wiejski, na pozór bez kultury, ksiądz przejrzał go do głębi. Towarzysz jego przyjął tę sprawę filozoficznie. Tępy wzrokiem patrzył w twarz księdza.

Ten mówił dalej:

— Od tej chwili winni panowie tym dzieciom opiekę. W sakramencie chrztu św. złączyliście się duchowo z nimi i oto — jesteście ich ojcami na resztę życia. Znaczący, gdyby rodziców ich nie stało lub gdyby okazali się niedostateczną dla tych dzieci opieką — panowie winni jesteście im zastąpić tychże rodziców.

Machinalnie prawie Felek oderwał oczy od fotografii i zapytał jakimś zmienionym głosem:

— A ojciec twój — co?

— O! umarł w trzy lata po moim urodzeniu.

— A matka?

— W dwa lata po nim.

— A!

Obrzucił ją wzrokiem. Znalazł w niej wszystkie charakterystyczne cechy wykwalifikowanych przygodnych metr es. Przepomniał sobie, iż przed chwilą sam bezwiednie nazwał ją w myśli „śmieciem”...

Pytanie o „opowieść życia” cofnął szybko, jakby instynktem nie chciał tknąć jakiegoś punktu rany, która mogłaby go niemile podrażnić. Lecz ona natarła:

—No, więc pan mój chrzestny ojciec?

Ten sam instynkt samozachowawczy podał mu do, rąk tarczę.

—Co za myśl! Skąd?

—Tak wszyscy mówili.

—Jakże się nazywał?

Wzruszyła ramionami.

—Nie wiem. Co mi z tego?

—A no... widzisz. Żartowali z ciebie chcąc wmówić, że masz takiego pięknego ojca chrzestnego.

Ziewnęła.

—A co mi z tego! - Obejrzała się dokoła. k

—Senna jestem. - Odwróciła się z pewnym leniwym wdziękiem.

—Proszę pomóc mi z tą Mu\*zką. Te-.agrafki tak tępo się zapinają...

Lecz on odsunął ją.

—W tej chwili wróć. Nie rozbieraj się.

Wyszedł do gabinetu toaletowego. Nagle uczuł się wzruszony. Z dziwną dokładnością uprzytomnił sobie słowa księdza i ten ubogi kościółek wiejski, słońce lipcowe, zapach pól i oczy dziecka, które spotkały jego oczy. I nagle poczuł, że nie spełnił jakiegoś obowiązku.

—Dług w karty byłbym oddał... mieszkanie zapłacił... podpis na wekslu święty... Hm! głupie...

Czuł, że coś przecież zrobić musi.

—Wiem!

Wyjął pugilares i zamiast banknotu pięćdziesięciokorono- wego wziął ze skrytki banknot stukoronowy.

—Tak! I nic.

—Naturalnie,

Jakiś dumny, jakby jednym krokiem wdarł się na szczyt, wszedł do pokoju.

Staśka znów stała przed fotografią.

— Proszę cię! — wyrzekł.

Spojrzała na niego zdziwiona. Podawał jej pieniądze pańskim, zadowolonym gestem.

— Ale...

— Ach nie! I ja jestem senny. Idź, zarządzę: brat stróża cię odprowadzi.

Daleko mieszkasz?

— Kilka ulic.

— Tym lepiej.

Zadzwoił na stróża, z którym miał połączenie. Gdy ten się zjawił, wydał mu rozporządzenie. Przez kilka chwil, które później spędził w przedpokoiku ze Staśką, milczał dostojnie. OrfaOdzyskała jakoś werwę i humor. Uśmiechała się, ale nie źle i szablonowo, lecz jakoś świeżo i dziecinnie.

Wychodząc wreszcie} podsunęła mu swoje śliczne drobne usta. i

— Proszę choć pocałować - wyrzekła miłym głosem.

Lecz ujął jej twarzyczkę bohatersko w obie ręce.

Tak

I pocałował ją po ojcowsku w czoło

Gdy wyszedł pogasił lampy i udał się na spoczynek dumny z siebie, ze swej moralnej siły i ze spełnionego obowiązku.

Tak!... I pocałować

## ZOLA

Zola umarł — i dużo serc ludzkich smutnych będzie.

Tak — nie waham się powiedzieć, że po tym pisarzu serca ludzkie będą smutne. Nie tylko serca Francuzów, którzy kochali w Zoli sławę wielkiego talentu, który pozyskał ciężkim bojem świat cały, lecz serca wszystkich ludzi, bo on jeden umiał wykazać, jakie to drobne na pozór, a jakie straszne tragedie mieści w sobie ludzka prze\* ciętą istotą i jaką nędzą jest to, co ludzie dokoła siebie gromadzą, aby ulżyć i upiększyć swoje życie.

Przeciętny człowiek!

Tak — nim się zajmował tylko Zola i około niego potrafił potęgą swego wielkiego ducha ściągnąć uwagę czytelnika. — To było wiele. — Bez aparatów sztucznych, bez przypinania bohaterских skrzydeł brał ludzi z krwi i kości i wpatrywał się w ich bóle, nędzę, cierpienia. Wielkie serce miał ten człowiek, wielką duszę humanitarną i szlachetną. Nie pisał dla wzbudzenia estetycznych dreszczów. On uczył, on łkał w swych powieściach nad nędzą wszechludzką, on wskazywał przyczyny złego.

Nie był to duch obstrukcyjny, za jaki go mieli obserwatorzy. To był olbrzym, który przedsięwziął dzieło wielkie, natchnione miłością bliźniego i opromienione idea. Lecz Zolę trzeba umieć czytać. Od lat bowiem panuj'e przekonanie, że Zola w dziele swym jest... rozpustnikiem. Jakież to nędzny, mały, śmieszny punkt widzenia! Taki czytelnik przypomina zwierzątko wybierające | miski tłuste kąski, a nie troszczące się o to, że to, co pozostawia, właśnie stanowi pożytek i sił dodaje. Tłustość wpadła do miski dlatego, że oddzielić ją było trudno, a zwierzątko niczego nie pożąda, tylko tej drobinki tłustości. I potem sądzi, że cała strawa była tylko tłusta.

Takie wybieranie z dzieła autora słów, sytuacji „drastycznych” dowodzi chorobliwych skłonności czytającego. To erotomani. Jeśli Zola napisał Nanę i przedstawił w całej brutalnej prawdzie życie drugiego cesarstwa, dlaczego to uczynił? Czy dlatego, aby sprawić przyjemność erotomanom i na wzór wydawnictw Kistemackera drażnić zwierzęce instynkta?

Nie — i po tysiąc razy nie!

Jeżeli Zola nie zawahał się przed jaskrawością prawdy, to jedynie dlatego, aby groźniej, słuszniej wyszła zgnilizna owego społeczeństwa, które krzycząc zuchwale „do Berlina” — zaszło aż — „do Sedanu”.

Z takim uczuciem należy czytać Nanę, z grozą przed potęgą destrukcyjną alkoholu należy czytać Assomoir. To są epepeje przeciętnych ludzi, dokumenty naszego obecnego życia i warunków, w jakich się to życie ukształtowało. Jakkolwiek Zola często przeolbrzymiał w tym lub owym szczególe martwych rzeczy, to przecież nigdzie nie widzimy sztucznego dźwigania na piedestał bohaterski i rozdymania duszy ludzkiej do rozmiarów simili-ideału. Ludzie Zoli to my wszyscy, my z naszymi wadami i zaletami, z naszymi pragnieniami i zwątpieniami, z naszymi cnotami i zbrodniami. Myśl przewodnia każdego dzieła Zoli promienieje od pierwszej karty i ku niej skupiają się nasze myśli tak silnie, że czytając każdą książkę Zoli przeżywamy ją kartka po kartce, odnajdując siebie, swoich i swoje życie, swoje warunki, swoje zbrodnie, swoje wady, swoje śmieszności.

Bo Zola, choć był Francuzem, był pisarzem wszechludzkim. Nie odcinał się właściwościami swego narodu. On pisał o człowieku, a nie o Francuzie, a człowiek, jego grunt, jego podstawa jest wszędzie jednaka, a rogatki nic tu nie pomogą. Takim samym gestem zabija zbrodniarz na sybirskiej głuszy, jak pod afrykańskim żarem słonecznym. Pożądania nasze są jedne, kult bóstwa jest wszędzie. Cywilizacja ustanowiła jedne prawa (!) i te zacieśniły indywidualność naszą jednaka obręczą. Przykazań dziesięcioro jest jednych.

Kodeksy mają niewielkie zmiany. Jednakże się rodzimy, jednakże umieramy. Grzechy główne, te odruchy naszej duszy, nie zmieniają się razem z kolorami herbów państwowych i dlatego Zola tak bardzo jest

odczuty i rozumiany, że ogarnął okiem ludzkość i jej nędzę. Ludzkość % początku go nie rozumiała. Widziała tylko formę, nie chciała wnikać ani w ducha, ani zrozumieć celu, dla którego Zola swe dzieło stwarzać zaczął. Zola miał wielki hart i siłę charakteru. Nie chciał koncesji, nie chciał ustępstw. Wytrwale, dostawszy się na ów wyniosły punkt, z którego przenikliwym swym okiem ogarniał całe społeczeństwo, nie ustąpił ani na krok jeden. Nie chciał ogródków, w których kwitną róże i lilie, a białe pawie roztaczają ogony sadzone ametystami. Pozostawiał estetyczne dreszcze innym, on sądził, że na życie w przetworach nie pora, bo zbyt wiele nędzy moralnej, materialnej i fizycznej zje ludzkość całą. Zola jednak nie jest pisarzem rozpaczliwym. Ta jego szczerość nie jest beznadziejna. Przeciwnie, stara się on zawsze dowieść, że na zło pozostał ratunek. I ta jego wiara jest punktem jasnym i wytycznym w każdym jego dziele. Stąd czytając go, nie doznajemy uczucia zgnębienia i rozpacz. Coś świta, coś migoce na hory- zontcie. Jest źle — lecz oto sposób pokonania złego. Brutalna szczerość Zoli chwilami boli i przeraża. Stąd ów rozdzwięk. Rozpustnicy widzieli tylko „bagnó”. Pęd owczy kazał pochwyć kamienie. Zewsząd podniósł się wrzask: „Gorszy nas”! Nazwisko Zoli wywieszono na pręgierz.

Stało się ono synonimem kart transparentowych. On tymczasem był ciągle sobą i co rok rzucał w świat jedno dzieło, jeden tom w żółtej jednakiej okładce, po które wyciągały się tysiące rąk. i wobec tej ciągłej pracy, tej silnej woli, aby nie zboczyć ani na cal z obranej drogi, poczęto uważnie wczytywać się w jego dzieła. Szarpnęły się serca, dusze ludzkie nagle znalazły, że to o nie troszczy się ten człowiek, troszcząc się o to, aby ciała ludzi były zdrowsze, piękniejsze, mniej skłonne do rozpustnej a fałszywej skromności, a prawdziwiej uczciwe i o przyszłości swych następców myślące. Zaczęto rozumieć, że on w swych Rougon- Maauarlach nie chce dać 6erii obrazów podniecających zmysły, lecz z prawdziwą logiką i konsekwencją wykazuje, jak błędy ojców mszczą się na całych pokoleniach, sprowadzając z degeneracją fizyczną degenerację duchową. Zrozumiano go i jasno zrobiło się w sercach ludzkich. Ten człowiek ze swym uporem, znoszący z całym zaparciem się stek obelg, jakimi go obrzucano, wpatrzony jedynie

w myśl swą przewodnią, zaczął być kochanym i wielbionym przez tłumy. Od artykułu pomieszczonego w „L'evenement”, w którym Zola stanął w obronie genialnego malarza Maneta, rozpoczęła się powolna triumfalna droga, z początku pełna razów i bólów, wreszcie u szczytu chwały jasna i wspaniała po to, aby w tej apoteozie wielkości znów za słowo odwagi i głos prawdy być zarzuconą kamieniami, które tym razem osunęły się nieszkodliwie i olbrzymia już z nóg zwalić nie mogły.

Bo — olbrzymem był Zola jako twórca i wykonawca. Każde jego dzieło, poczęte z jakiejś wielkiej i dla jakiejś wielkiej idei, imponuje ogromem koncepcji. Lecz wykonanie, techniczna strona utworu nie ustępuje pomysłowi. Zdumienie przejmuje, gdy wczytujemy się w tę drobiazgową robotę, tak subtelną i delikatną, że równać ją można z jakąś olbrzymią katedrą średniowieczną, przepelnioną całym narodem maskaryiów, kamiennych figurek zaludniających fryzy i tak dziwnie odrobionych, utrzymanych w charakterze i odrębnych typach, odpowiednich indywidualności postaci. Właściwością Zoli był „Leitmotiv”, przydany do każdej z wprowadzonych osób. Służyło to bardzo do uplastycznienia danej postaci w umyśle czytelnika.

Nikt tak jak Zola nie umiał poruszać tłumami. Pod jego ręką te tłumy żyły i dość jest przypomnieć *Germinale* lub to arcydzieło, jakim jest opis Sedanu w nieśmiertelnym *Pogromie*, ażeby zrozumieć, jak genialnym mistrzem był Zola w technice pisarskiej. Bez fałszywego sentymentu Zola, biorąc nagą prawdę życia, potrafił trafić w nutę prawdziwej poezji. Kartka miłości, czarujący Błąd księdza Moureta, wreatfjfl cie pojedyncze postacie, jak owa *Mouquette* w *Germinale* umierając na placu boju, *Lola* w *Assomoir*, *Louiset* w *Nanie*, *Paulina* w *Rozkoszach życia* — te całe szeregi kwiatów o świeżych barwach, nie sztucznie pastelowo stonowanych, ale utrzymanych na gruncie i w m i l i e u, z którego wyszły, świadczą, że Zola nie jednostronnie patrzył na życie. Ci, którzy mu to zarzucają, nie umieją czytać, nie rozumieją tego, co czytają. Poezja wydobywa się u Zoli nie ze słów, lecz z faktów. Często Zola rzuci jeden okres, jedno zdanie i cała sytuacja zarysowuje się tak jasno, jak ktoś inny potrzebowałby długo mówić, zanimby tę jasność



wydobył. Często znów Zola chwyta przedmiot i wyczerpuje go do dna, jakby pragnął przelać wreszcie w duszę czytelnika swoje przekonanie, wbić mu niejako to, co on przeprowadzić pragnie. I dlatego dla tej staranności, z jaką Zola dba o czytelnika, z jaką się troszczy, czy został odczuty, zrozumiany w swej szlachetnej tendencji, gdy zamykamy jakieś dzieło Zoli, czujemy, że przeczytaliśmy i wchłonęliśmy w nasz umysł coś pełnego, skończonego, coś przystosowanego do naszego ducha, pojęcia tak ściśle, że żadne zwątpienie ani brak nie pozostały. Tu jest mistrzostwo owego wykonania, które stanowiło potęgę Zoli. To, co założył — wystawić potrafił. Myśl nie była silniejsza od środków, jakimi rozporządzał. Strona malarska była nadzwyczajnie silna. Koloryt w słowach miał bajeczny. Potrafił działać wyrazami na wzrok i na słuch. Umiejętnością techniki wywoływał halucynacje i to potężnych obrazów i dźwięków. Umiał drobne umysły rozgrzewać tak silnie, iż zaczynały, wczytując się w niego, gorzeć jak wielkie ogniska. I dawał w ten sposób rozkosz dużą, bo czytelnik przez chwilę ogarniał szerokie widnokregi i szybował w przestrzeni. A czynił to Zola nie za pomocą fantazji i skrzydeł, lecz silnie trzymając się gruntu ziemskiego, stąpając wśród gruzów i bagnisk, wśród trupów i pijaków, wśród ńęazy ludzkiego istnienia, a dłonią swą wyciągniętą wskazywał zawsze jakieś jasne pasmo, ratunek, ulgę, poprawę możliwą, poprawę zależną od nas Bamyh i od naszej woli. Bo choć Zola był fatalistą, to przecież dopiero w konsekwencjach, starając się wykazać, że pierwsza przyczyna zła mogła nie być, że stała się tylko dlatego, żeśmy tak chcieli.

Zolę kochano bardzo we Frangi. Na dowód przytaczam fakt następujący: Antoine opowiadał mi, że ma ochotę wyrzec się sceny. Spytałam go, co będzie robił na świecie, jaki interes może mieć dla niego życie, jeżeli wyrzeknie się sceny.

— Mój Boże — odpowiedział mi z prostotą ten niezwykle inteligentny człowiek — Zola napisze przecież co rok jakąś nową powieść, przeczytam ją, a potem będę miał nad czym się zastanawiać i myśleć.

10 Pisma wybrane, t. III

Tak więc jedno dzieło Zoli mogło zaabsorbować umysł Antoine'a na przeciąg długich dni i dać mu pokarm potrzebny. Antoine był w tym powiedzeniu wyrazem uczuć niemal całej Francji.. Gdy pojawiła się książkowa edycja jakiegoś dzieła Zoli bez żadnych reklam, płatnych w „Figarze” artykułów, wszyscy biegli kupować je i chłonęli czytając bez przerwy.

Widziałam Zolę kilkakrotnie podczas prób Thaczów i Simonne, sztuki, w której debiutowałam w Paryżu. Rozmawiał z nami prosto i serdecznie. Słyszając, jak prosiłam Richepina o pozwolenie grania Lepu w Warszawie, zbliżył się i żywo zainteresował się ruchem artystycznym i literackim u nas.

Mówił mi, że chciałby napisać coś na scenę dużego i pięknego i że zazdrości Hauptmannowi Tkacz ów. Mówiłam mu, że jego *Germinal* jest równie wielkim i potężnym dziełem, lecz on skromnie wstrząsnął głową. — Nie! Nie! — mówił — tkacze to bardziej proste i bardziej ludzkie.

Bardziej ludzkie!...

Czy może być coś więcej ludzkie, jak to całe olbrzymie dzieło tak tragicznie zgasłego pisarza? Nawet Dostojewski nie czyni na mnie tak „ludzkiego” wrażenia jak dzieła Zoli. Wszystko jest w nich — ludzkość cała. I dlatego ludzkość wiecznie go kochać i czytać będzie. Dla każdego Zola miał czas, myśl i myśli. Proletariat był mu tak bliski jak złocony salon ministrów i marmury rzymskich pałaców; Tylko że on proletariat kochał, cierpiał wraz z nim, rany jego na światło dzienne wywłóczył wołając: „Patrzcie, jak cierpią ci, którzy żyć bez cierpień mają prawo”, a tych z góry, którzy zasiedli <|o festynu życia gniotąc butem głodnych, tych smagał bez litości; ironią swoją wyciągał na wierzch ich zbrodnie i egoizm dusz nikczemnych. Dlatego, choć go do grona „Czterdziestu Nieśmiertelnych” przyjąć nie chciano, on dziś pozostanie nieśmiertelny w sercach ludzkości, tej, która cieipi, która cier-

pienia swego nie zagłusza, lecz przyczyn szuka i chce, aby ci, co po nich przyjdą, choć trochę ulg dpprosić się u losu mogli. Choć Zola umarł, on wiecznie^ jak lialzac, w swym dziele żyć będzie. 1 to jest prawdziwa nieśmiertelność, to jest plebiscyt, który wynosi imię Zoli w aureoli na szczyty, to jest prawdziwy triumf, bo sercem stworzone dzieło nie zginie, a Zola sercem tworzył i dla serc tworzył.